

Podwójne zabójstwo

Jonathan & Faye Kellerman



calibre 0.9.27

JONATHAN & FAYE KELLERMAN

Podwójne

zabójstwo

Boston, Santa Fe

Tytuł oryginału **DOUBLE HOMICIDE BOSTON, SANTA FE**

Przekład Przemysław Bieliński

NOTA REDAKCJI

Jonathan & Faye Kellerman - Małżeństwo mistrzów thrillera

Jonathan Kellerman to jedyny pisarz, którego bestsellery (sprzedane w milionach egzemplarzy) dorównują Milczeniu owiec.

Faye Kellerman to nagradzana słynna autorka 20 powieści sensacyjnych

z amerykańskich list bestsellerów

Jonathan Kellerman, jeden z najpopularniejszych pisarzy świata,

laureat nagród Edgara Allana Poe i Anthony Award, zasłynął przetłumaczonymi

na

języki

wstrząsającymi

thrillerami

psychologicznymi z tym samym bohaterem, psychologiem dziecięcym

Aleksem Delaware, m.in.: *Oczy do wynajęcia, W obronie własnej,*

Doktor Śmierć, Ciało i krew, Z zimną krwią, Terapia, Pokrętny umysł.

Taki sam sukces odniosły powieści *Album morderstw, Klub spiskowców* i

napisany wspólnie z żoną Faye thriller *Podwójne zabójstwo.*

Wykorzystując naukową wiedzę o ludzkiej psychice, Kellerman —

psycholog i profesor pediatrii, a zarazem niezwykle utalentowany

pisarz — stworzył wiele fascynujących postaci literackich, zaliczanych

do najciekawszych we współczesnej prozie amerykańskiej.

Boston

Studencki mecz koszykówki. Julius, gwiazda parkietu, zostaje brutalnie sfaulowany, ale

wraca do gry, by poprowadzić drużynę do zwycięstwa. Po meczu, w dyskotecce, dochodzi

do strzelaniny— Julius ginie. Zabójca zostaje ujęty, ale śledztwo wykazuje, że przyczyna

zgonu jest zupełnie inna, niż podejrzewano...

Santa Fe

Ekskluzywna galeria sztuki. Wieczór. Zwłoki mężczyzny z roztrzaskaną głową.

Narzędzie zbrodni — surrealistyczna rzeźba. Trop wiedzie do młodej malarki i jej męża,

pastora, który z pasją niszczy znienawidzone akty malowane przez żonę. Ale motywy

zbrodni pozostają tajemnicą, do dnia gdy policjanci odwiedzają malarkę w jej domu...

PODWÓJNE ZABÓJSTWO

BOSTON

Naszym rodzicom

Syfoii Kellerman

Annę Marder

Davidowi Kellermanowi — alav hashalom

Oscarowi Marderowi — alav hashalom

Boston

w krainie olbrzymów

Dorothy wcale nie była wścibska. Przetrzęsała plecak, bo śmierdział. Z brązowych torebek śniadaniowych wyciekały gnijące resztki jedzenia z pięciu dni — po prostu marzenie mikroba. Kiedy ostrożnie, samymi czubkami palców, wyjęła cuchnące pakunki, zobaczyła coś na dnie plecaka, trochę zasłonięte przez pogniecione zeszyty i książki. Błysk stali, ledwie widoczny, ale pełny niewypowiedzianej groźby.

Serce zatłukło jej w piersi.

Ostrożnie odgarnęła śmieci z wierzchu, aż błyszczący przedmiot ukazał się w całej okazałości — rewolwer Smith & Wesson, stary. Wyjęła go z plecaka i obejrzała. Poszczerbiony, porysowany, rdza wokół wylotu lufy. Zaniedbany. Sześć ślepaków, ale to żadna pociecha.

Na jej twarzy odmalował się szok, potem jego miejsce zajęła wściekłość.

— Spencer! — Niski głos Dorothy stał się ostry i piskliwy. — Spencer, przywlecż tu zaraz swój żaloszny tyłek!

Krzyk nie przyniósł efektu. Nieco dalej, na asfaltowym boisku, Spencer grał w kosza ze swoją bandą: Rashidem, Armandem, Corym, Juwo-inem i Richiem. Piętnastolatek nie miał pojęcia, że matka wróciła już do domu, nie mówiąc już o tym że po pierwsze, jest w jego pokoju, po drugie, przegląda jego rzeczy, i wreszcie po trzecie, znalazła broń w plecaku. Dorothy usłyszała skrzypienie schodów pod ciężkimi krokami.

To był jej starszy syn Marcus. Stał w drzwiach do pokoju jak wartownik

-z rękami skrzyżowanymi na piersi i szeroko rozstawionymi nogami.

— Co się dzieje, mamó?

Dorothy obróciła się na pięcie i podetknęła mu pod nos rozładowany pistolet.

— Wiesz coś o tym?

Marcus skrzywił się i cofnął o krok.

— Co ty wyprawiasz?

— Znalazłam to w plecaku twojego brata!

— Dlaczego przeszukujesz rzeczy Spencera?

— Nie o to chodzi! — wycedziła z furją Dorothy. — Jestem jego matką i twoją także, i nie muszę mieć szczególnego powodu, żeby przeglądać twój czyjego plecak!

— Owszem, musisz — odparował Marcus. — Plecaki to nasze osobiste rzeczy. Tu chodzi o prywatność...

— W tej chwili mam gdzieś prywatność! — wrzasnęła Dorothy. — Co o tym wiesz?

— Nic! — odwrzasnął Marcus. — Zupełnie nic, w porządku?

— Nie, nie w porządku! Znalazłam rewolwer w plecaku twojego brata, i to nie w porządku, rozumiesz?

— Rozumiem.

— Jasne, że rozumiesz. — Dorothy czuła ból i skurcze w piersi, z trudem łapała oddech. Powietrze było gorące, lepkie i cuchnące.

Ogrzewanie w budynku działało w kratkę, temperatura skakała od pustynnego żaru po arktyczny ziąb. Dorothy bezceremonialnie klapnęła

na łóżko Spencera i próbowała nad sobą zapanować. Materac ugiął się pod jej ciężarem. Była zbyt gruba, to na pewno, ale pod tłuszczem kryły się silne, stalowe mięśnie.

Małeńki pokój przyprawiał ją o klaustrofobię. Dwa łóżka stały tak blisko siebie, że nie mieściła się między nimi szafka. Z otwartej szafy wysypywały się podkoszulki, spodnie od dresu, szorty, skarpetki, buty, książki, płyty, kasety i sprzęt sportowy. Żaluzji nikt nie odkurzał od miesiąca. Mieli kosz na pranie, ale brudne rzeczy zaścielały całą podłogę, choć nie było jej zbyt wiele. Wszędzie wały się papiery, opakowania po słodyczach, puste torebki i pudełka. Dlaczego chłopcy nie mogli utrzymać w pokoju chociaż minium czystości?

Marcus usiadł obok Dorothy i objął ją ramieniem.

— Dobrze się czujesz?

— Nie, nie czuję się dobrze!

Wiedziała, że warczy na niewłaściwą osobę. Była przepracowana, zmęczona i pozbawiona złudzeń. Przetarła dłońmi twarz i oczy. Zmusiła się do łagodniejszego tonu.

— Nic o tym nie wiesz?

— Nie.

— Dobry Boże — powiedziała Dorothy. — Co będzie następne? Marcus odwrócił wzrok.

— Spencer przechodzi trudny okres...

— To coś więcej niż trudny okres! — Dorothy ścisnęła broń. — To nielegalne i potencjalnie zabójcze!

— Wiem, mam. Nie jest dobrze. — Dwudziestjednolatek spojrzal matce w oczy. — Ale jeśli chcesz coś na to poradzić, nie możesz histeryzować.

— Nie histeryzuję, do cholery. Ja tylko... Jestem matką! I mam matczyne troski! — Znów warczała. — Skąd on to wziął?

— Nie mam pojęcia.

— Chyba mogłabym sprawdzić w systemie.

— To lekka przesada, nie sądzisz?

Dorothy milczała.

— Dlaczego najpierw z nim nie porozmawiasz? — Marcus popatrzył na matkę. — Porozmawiaj, mam. Nie krzycz. Porozmawiaj. — Chwila milczenia. — Albo lepiej ja porozmawiam...

— Nie jesteś jego matką! To nie twoje zadanie! Marcus załamał rękę.

— Dobra. Niech będzie po twojemu. Jak zwykle. Dorothy zerwała się i skrzyżowała ręce na piersi.

— Co to miało znaczyć?

— To chyba jasne. — Marcus przewrócił nogą plecak, a potem podniósł go, zaczepiając stopą o szelkę. Przez chwilę grzebał w środku, potem wyjął książkę. — Jakbyś nie wiedziała, mam dzisiaj wieczorem mecz, plus dwieście stron historii Europy. Nie mówiąc już o tym, że idę na ranną zmianę w bibliotece, po treningu o piątej trzydzieści. Możesz sobie iść?

— Nie bądź bezczelny!

— Nie jestem bezczelny, próbuję tylko zrobić to, co mam do zrobienia.

Jezu, nie ty jedna masz obowiązki. — Marcus wstał, a potem zwałił się na

własne łóżko, niemal zrywając powyciągane sprężyny. — Zamknij za sobą drzwi.

Dorothy musiała ustąpić. Pamiętała, żeby nie podnosić głosu.

— I co według ciebie mam zrobić? Opuścić? Ja tego nie odpuszczę,

Marcus.

Chłopak odłożył książkę.

— Nie, nie uważam, że powinnaś opuścić. Ale przydałoby się trochę obiektywizmu. Wyobraź sobie, że to jeden z twoich podejrzanych, mamó.

Zawsze się chwalisz, że jesteś najłagodniejsza w całym wydziale.

Wykorzystaj to.

— Marcus, dlaczego Spencer nosi broń?

Marcus zmusił się, żeby spojrzeć matce prosto w oczy. Duże, piwne oczy. Dorothy była potężną kobietą. Praktycznie, krótko obcięte kręcone włosy sprawiały, że jej twarz wydawała się większa, niż była w rzeczywistości. Miała wydatne kości policzkowe, ściągnięte usta. Do metra osiemdziesięciu brakowało jej centymetra. Była grubokoścista, za to palce miała długie i zgrabne. Piękna kobieta, która zasłużyła sobie na szacunek.

— Wiem, że się martwisz, ale to pewnie nic wielkiego. To niebezpieczna okolica. Może czuje się z tym pewniej. — Skupił się na oczach Dorothy. — A ty nie?

— Dla mnie to standardowe wyposażenie, Marcus, a nie szpan. I nie mówimy o papierosach, czy nawet marihuanie. Pistolety to narzędzia do zabijania. Do tego służą. Do zabijania ludzi. Mały chłopak nie może nosić

broni, choćby nie wiadomo jak bardzo czuł się zagrożony. Jeśli coś jest nie tak, powinien porozmawiać ze mną.

Przyjrzała się starszemu synowi.

— Mówił ci coś?

— O czym?

— O tym, czego tak się boi, że musi nosić spluwę.

Marcus przygryzł wargę.

— Nic konkretnego. Słuchaj, jeśli chcesz, pójdę na boisko i go przyprowadzę. Ale będzie wkurzony, że grzebałaś w jego rzeczach.

— Nie robiłabym tego, gdyby ten plecak nie śmierdział na cały pokój.

— Fakt, trochę tu śmierdzi. — Marcus się zaśmiał i pokręcił głową.

-Mamo, wiesz co, idź może na szybki obiad z ciocią Marthą przed meczem. Albo zrób jakieś zakupy na święta.

— Nie mam ochoty wydawać pieniędzy i nie mam ochoty wysłuchiwać o refluksie Marthy.

— Ciągle o nim opowiada, bo sama nic nie mówisz.

— Mówię.

— Poburkujesz.

I to właśnie miała zamiar zrobić. Powstrzymała się.

— Idę po twojego brata. To sprawa między nami dwojgiem i to ja muszę ją załatwić. Ty skup się na nauce, dobrze?

— Będzie głośno?

— Może być... stanowczo.

Marcus pocałował ją w policzek i wstał z łóżka. Zrzucił swoją ciężką

kurtkę na ramię, a pod pachę wsadził książkę.

— Chyba lepiej pójdę do biblioteki. Przyjdiesz wieczorem?

— Czy kiedykolwiek nie przyszłam na twój mecz? — Poglaskała go po twarzy. — Masz pieniądze na obiad?

— Zostały mi jeszcze jakieś drobne ze stypendium z zeszłego miesiąca.

Zaczekaj. — Upuścił kurtkę na podłogę i podał matce książkę. — Mam talony. — Przejrzał portfel i wyjął z niego cztery paski papieru. Jeden zatrzymał, pozostałe oddał Dorothy. — Rozdawali je wczoraj na treningu.

Dorothy spojrzała na talony, każdy upoważniał do darmowego posiłku za pięć dolarów.

— Kto ci to dał?

— Lokalni sponsorzy. Rozdają je wszystkim w drzwiach. Niech Bóg nas broni, żeby NCAA1 nie pomyślało, że dostajemy gratisy. — Pokręcił głową.

— Rany, za to, jak nas wykorzystują, mogliby się szarpnąć na coś więcej niż nędzny talon. Na ostatni mecz poszły wszystkie bilety. Oczywiście dzięki Juliusowi. To on jest gwiazdą. My to tylko jego osobiści przyboczni.

Dupek!

— Nie przeklinaj.

— Dobra, dobra.

Dorothy znalazła w sobie odrobinę wyrozumiałości.

— Ten chłopak nic by nie zdziałał, gdybyście nie dawali mu idealnych okazji do strzału.

— Jasne, spróbuj mu powiedzieć, że kosz to gra zespołowa. Jeśli ja albo ktoś inny powie choć słowo trenerowi, Julius się wścieknie i wylecę z

drużyny, zanim się zorientuję. A na moje miejsce czeka ze trzystu takich

1 National Collegiate Athletic Association — Krajowe Akademickie Zrzeszenie Sportowe (przyp. tłum.).

jak ja, przekonanych, że Boston Ferris to ich bilet do NBA. Nie, żeby źle było marzyć... — Westchnął. — Cholera, marzenia.

W piersi Dorothy wezbrała czułość.

— Słamarzenia, Marcus, i są płonne nadzieje. Co ci zawsze powtarzam?

Dobry agent sportowy z dyplomem prawa z Harvardu może zarabiać dużo pieniędzy, bez niszczenia sobie kolan i pleców tak, że po trzydziestce jest już wrakiem.

— Wiem, wiem.

— Nie słuchasz.

— Słucham, tylko... — Chłopak podrapał się po głowie. — Sam nie wiem, mamo. Kusi mnie to tak samo, jak wszystkich. Mam marzenie. Ale wiem też, jak wygląda rzeczywistość. Próbuję żyć w obu tych światach, ale nie wytrzymuję tempa. Z czegoś muszę zrezygnować.

Dorothy objęła syna.

— Wiem, że kochasz grać, Marcus. Ja też uwielbiam kosza. I nigdy nie chciałabym odbierać ci marzeń, po prostu chcę dla ciebie jak najlepiej.

— Wiem, mamo. Zdaję sobie sprawę z tego, że szkoły prawnicze z Ivy League po prostu uwielbiają wysokich, czarnych chłopaków z dobrymi wynikami testów i wysoką średnią. Wiem, że byłbym palantem, gdybym olał taką szansę. Ale cały czas myślę... — Jego spojrzenie stało się nieobecne i odległe. — Będzie dobrze. Kiedy przyjdzie pora, zrobię, co

będzie trzeba.

Dorothy pocałowała syna w policzek.

— Zawsze robisz.

— Tak, to prawda. — Przerwał. — Dobry, stary, odpowiedzialny

Marcus.

— Przestań! — Dorothy zmarszczyła brew. — Masz dar od dobrego

Boga. Nie bądź niewdzięcznikiem.

— Oczywiście. — Marcus włożył kurtkę i zarzucił na ramię plecak.

-Wiem, kim jestem. Wiem, kim ty jesteś, mamó, i jak ciężko pracujesz. I

nie uważam, że cokolwiek mi się należy.

Zsunięty nisko w fotelu kierowcy, popijając zbyt mocną i za gorącą kawę, McCain patrzył przez zaparowaną przednią szybę, a jego umysł podróżował szosą wspomnień do czasów, kiedy miał wszystko. Jakieś dziesięć lat temu. Miał trzydzieści parę lat, awansowano go na detektywa pierwszej klasy. Siedemdziesiąt siedem kilo samych mięśni, metr osiemdziesiąt wzrostu — w dobry dzień potrafił wycisnąć sto sześćdziesiąt kilo. Miał gęste włosy, ciemne blond w zimie, jaśniejsze w lato. Ze swoimi skrzącymi się, błękitnymi oczami i oszalamiającym, białym uśmiechem za kilka tysięcy dolarów był po prostu magnesem na laski. Nawet Grace wybaczała mu jego okazjonalne flirty, bo był wprost niewiarygodnym okazem rodzaju męskiego.

Teraz nie miała dla niego grama tolerancji.

Jeśli wrócił do domu spóźniony choćby minutę, wkurzała się na niego i obrażała na kilka dni. Nawet jeśli nie zrobił nic złego, co niestety miało miejsce coraz częściej. Chyba że ruszał na łowy, czego nie miał w zwyczaju, bo był splukany, zbyt zajęty i za bardzo zmęczony.

Nawet wtedy jednak to nie było tak, że szukał kobiet. One same do niego przychodziły.

McCain się skrzywił.

Minęło dużo czasu, odkąd ktoś — ktokolwiek — sam do niego przyszedł.

Kurewsko dużo czasu.

Po raz tysięczny włączył nawiew. Do wnętrza samochodu buchnęło zimne, a potem gorące powietrze, aż w fordzie zapanowała wilgoć tropikalnego lasu. Kiedy tylko wyłączył dmuchawę, mróz zaczął wciskać się do środka przez szpary i dziury, ujawniając nędzne wykończenie i stan samochodu. McCain przesunął się w fotelu, próbując rozprostować jakoś nogi mimo ciasnoty. Zdrętwiał mu duży palec u prawej stopy, tylek tak samo. Za długo siedział.

Był zakutany w kilka warstw ubrania, więc w jednych miejscach było mu za gorąco, w innych za zimno. Dłonie schował w skórzanych rękawiczkach, więc nie mógł utrzymać kubka. Przynajmniej nie parzyła go kawa przelewająca się przez krawędź. Marzył mu nos, w stopy za to było ciepło dzięki małemu elektrycznemu ogrzewaczowi, wpiętemu w gniazdo zapalniczki escorta. Było mu z tym dobrze — stosunkowo dobrze — i bał się tylko, że w urządzeniu zrobi się krótkie spięcie.

Biorąc pod uwagę swoje doświadczenia z przydziałowym sprzętem, McCain dawał ogrzewaczowi dwa tygodnie.

Na zewnątrz ciągnęła się pozornie wesola i gwarna Aberdeen Street.

Noc była spokojna, powietrze rozmigotane bożonarodzeniowymi lampkami rozwieszonymi na rynnach sypiących się, niszczejących domów. Śnieg z zeszłego tygodnia wciąż zalegał na krzakach i drzewach. Z okapów domów zwisały niczym lzy sople lodu.

W tej części Somerville nie pozostało już wiele domów jednorodzinnych — większość wydzierżawiono i podzielono pod kwatery.

To nie był Południowy Boston czy Roxbury. Większość tutejszych

mieszkańców stanowili porządni ludzie — ciężko pracujący, urodzeni i wychowani w mieście lub jego okolicy. Mieszkało tu też trochę studentów, zwabionych cenami, bo koszty wynajmu w Cambridge były niebotyczne. Dzielnica miała jednak swój przydział mętów.

Żółty dom, który obserwował McCain zamieszkiwali studenci, w tym obecny materac jednego z mętów — wielkooka studentka socjologii z Tufts. Zamożna dziewczyna, posuwana od jakiegoś czasu przez Romea Fritta, psychopatycznego mordercę. Protesty swoich rodziców uznała za przejaw ich rasizmu. Niektórzy idioci nigdy się niczego nie uczyli. McCain normalnie by się tym nie przejął, tyle tylko, że Fritt był poszukiwany za brutalne, wielokrotne morderstwo w Perciville w stanie Tennessee, a według anonimowego donosu być może nocował u wielkookiej dziewczyny. A to już wzbudziło zainteresowanie detektywa.

Sięgnął pod parkę i rozpiął górny guzik spodni, robiąc więcej miejsca dla brzucha. Kiedyś mógł jeść wszystko w dowolnych ilościach, a dwie godziny na siłowni cztery razy w tygodniu wystarczały, by odegnać widmo tłuszczu.

Teraz już nie.

Jakieś pięć, sześć lat temu zaczął rano biegać — dwa kilometry, potem trzy, cztery. Przez jakiś czas to działało. Teraz? Zapomnij. Nieważne, jak długo truchtał w tę i z powrotem po Commonwealth, brzuch mu rósł.

Potem, o ironio losu, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zaczął przybierać na wadze, zaczęły mu wypadać włosy. A jakby tego było mało, to, co wypadło, zaczęło odrastać w nosie i w uszach.

Co to miało być, do cholery?

Dopił kawę i wyrzucił pusty papierowy kubek na tylny fotel. Przez ostatnią godzinę żółty dom był zupełnie jak wymarły. McCainowi została godzina do końca zmiany. Z powodu mrozu pracowali w zmianach dwugodzinnych. Szefostwo uznało, że źle by wyglądało, gdyby ktoś pozwał departament do sądu o odszkodowanie za odmrożenia.

Jeszcze tylko cholerna godzina. Sam McCain nie wiedział, dlaczego tak mu na tym zależy. W domu nie czekało go nic milego. Grace zabrała Sandy i Micky'ego Juniora do swoich rodziców na Florydzie na całe dwa tygodnie ferii świątecznych. McCain miał dojechać do nich w przyszłym tygodniu, na Boże Narodzenie, gdyby się udało, gdyby nie — na Nowy Rok. Tak czy inaczej w domu nikogo nie było. Nikogo i niczego żywego, nie licząc paru roślin.

Sally zdechła trzy miesiące temu, a on wciąż ją oplakiwał.

Osiemdziesiąt-ciokilowa

suka

rottweiler

była

jego

najlepszym

przyjacielem. Przesiadwała z nim całe noce, kiedy reszta rodziny szła spać. Zasmradzała mu gabinet swoimi gazami. Rany, ależ ona pierdziała.

Było tak źle, że musiał podawać jej wyciąg z komosy. Wykończył ją zator.

Gasła przez trzy tygodnie.

Nie mógł się zmusić, żeby ją uśpić, i którejs nocy, tuż po północy, spojrzała na niego tymi swoimi łagodnymi ślepiami, sapnęła trzy razy i zdechła na jego rękach.

McCain musiał się do tego przed sobą przyznać: tęsknił za nią jak wariat. Ostatnio rozważał, czy nie sprawić sobie nowego rottweilera, ale w końcu się rozmyślił. To nie byłaby Sally. Poza tym psy tej rasy żyły dość krótko, a on nie wiedział, czy zniósłby następną żalobę, ciągle szczypanie oczu i brak kogokolwiek, komu mógłby powiedzieć, jak się czuje.

Może pomogłaby mu taka mała choinka, stawiana na komodzie — żeby rozweselić dom — ale kto miałby na to czas?

McCain potarł kark i znów się przeciągnął, patrząc przez ulicę na ciemny budynek. Dom miał charakter. Przydałoby się go odnowić. W Somerville było sporo starych drzew i parków, a w tej części, która graniczyła z Medford, niedaleko Tufts, roilo się od milutkich studenckich kafejek. Tam jednak, gdzie byli studenci, szybko pojawiały się też różne łajzy.

McCain spojrział przez lornetkę. Wciąż nic się nie działo. Dziewczyna Fritta mieszkała w pokoju na samej górze; to był pierwszy porządny przełom w sprawie, odkąd przyszło zawiadomienie z Perciville. Ale nie wszystko da się wykorzystać.

Jeszcze pięćdziesiąt minut.

McCain nagle uświadomił sobie, że czuje się samotny. Wyjął komórkę i wcisnął trójkę, wybierając przypisany tam numer. Odebrała po drugim dzwonku.

— Cześć — powiedział.

— Cześć — odparła Dorothy. — Jest coś?

— Nic.

— W ogóle żadnego ruchu?

— Dom jest ciemny jak cycek wiedźmy. Po drugiej stronie chwila milczenia.

— A właściwie jak ciemny jest cycek wiedźmy?

— Bardzo ciemny — powiedział McCain.

— Myślisz, że prysnął?

— Tak, możliwe. W takim wypadku powinniśmy się trochę bać o dziewczynę. Fakt, to idiotka, głupia studencina zapatrzona w tego psychopata, ale nie zasłużyła, żeby przez to umierać.

— Jak to miło, że tak myślisz. Była dzisiaj na zajęciach?

— Nie wiem. Sprawdzę i oddzwonię. Mam nadzieję, że nie pojechała gdzieś z nim.

— Ja też — powiedziała Dorothy. — To by było niedobrze. Ile ci zostało?

— W tej chwili... — McCain zmrużył oczy, spoglądając na fosforyzujący wyświetlacz zegarka — ...czterdzieści pięć minut. Zastępujesz mnie?

— Feldspar wziął moją zmianę.

— Co? — prychnął McCain. — Dlaczego on?

— Bo Marcus ma dzisiaj wieczorem mecz, a Feldspar był następny na liście, dlatego!

— Jezu, Dorothy, boli mnie głowa, bolą mnie plecy i zdrętwiały mi

cholerne nogi. Przestań się na mnie wściekać.

— To ty się wściekasz. Ja ci tylko odpowiedziałam na pytanie.

Cisza.

— Dobrej zabawy ma meczu — powiedział w końcu McCain. —

Pogadamy później...

— Przestań!

— Co przestań?

— Obrażać się. Jesteś taki za każdym razem, kiedy Grace zostawi cię samego.

— Umiem o siebie zadbać, dziękuję bardzo.

— Jasne, umiesz.

— Do widzenia, Dorothy.

— A może pójdziesz ze mną na mecz?

McCain chwilę się zastanawiał.

— Zapomnij. Przez cały czas byś tylko jęczała, że kiepskie ze mnie towarzystwo.

— Zawsze kiepskie z ciebie towarzystwo. Mimo to zapraszam.

— Słyszałem, że nie ma już biletów.

— Mam wejściówki.

McCain nie odpowiedział.

— Daj spokój, Micky! Walczą o wejście do okręgowej NCAA, a z

Ju-liusem mogą mierzyć nawet wyżej. Powinieneś ich zobaczyć, jak się rozkręcają. To prawie jak balet.

— Nie znoszę baletu.

— Wiem, dlatego powiedziałam, że to prawie jak balet. Przestań jęczeć. Dobrze ci zrobi, jak wyjdiesz z domu.

McCain dalej milczał.

— Twoja strata, Micky.

— O której?

— Ósma.

McCain znów spojrział na zegarek.

— Będzie ciężko.

— Do Boston Ferris nie masz daleko. Chociaż na to nie zasłużyłeś, zostawię ci bilet w kasie.

— Jak to nie zasłużyłem?

— To się rozumie samo przez się.

Dorothy odłożyła słuchawkę.

McCain się rozłączył i rzucił komórkę na fotel pasażera. Podniósł lornetkę.

Wciąż nic.

Co tam, może Feldsparowi się poszczęści.

Chociaż nie chciał się do tego przyznać sam przed sobą, zrobiło mu się lżej na duchu.

Przyjemnie było wiedzieć, że komuś na człowieku zależy.

Boston Ferris College został założony pięćdziesiąt lat temu, ale jego campus istniał już wtedy od stu lat. Uczelnię wzniesiono w nowoangielskim lesie, z dużą dbałością o szczegóły; architekt, który ją projektował pamiętał o drzewach, które zakorzeniały się tu od wieków. Ceglane budynki w stylu georgiańskim stały w cieniu wyniosłych koron, otoczone brukowanymi ścieżkami. W centrum kampusu znajdował się duży, naturalny staw, teraz skuty lodem. Na jesieni trudno było znaleźć przyjemniejsze miejsce niż ławka pod wiązami, z której można było karmić kaczki. Zimą jednak, zwłaszcza w nocy, kiedy ścieżki skuwał lód, rozległe trawniki ginęły pod śniegiem, a między drzewami hulał ostry wiatr.

Tego wieczoru było tu zimniej niż w zamrażarce.

Kiedy McCain przyjechał pod uczelnię, wolne miejsca do parkowania znajdowały się już tylko daleko od hali, przez co musiał ślizgać się po ciemku, mając nadzieję, że tylek ma odziany dość grubo, by przeżyć nagły upadek, z rodzaju tych, co trafiają człowieka niczym cios pięścią w twarz. Brnął przed siebie, czuł się głupio niezdarny, przeklinał ziąb i swoje życie. I Dorothy, za to, że go tu przywlokła.

Chociaż tak naprawdę wcale tego nie zrobiła. Przyszedł sam, bo w domu nie czekało na niego nic ciekawego, a na samą myśl, że znów miałby siedzieć w samych gaciach w przegrzanej sypialni i przerzucać kanały telewizora, chciało mu się rzygać.

Przed nim pojawiła się hala. Przyozdobiona świątecznymi lampkami witała go jak światło latarni morskiej. McCain wszedł do środka, odebrał swój bilet, poszedł do barku i kupił coś do jedzenia dla siebie i innych. Zegar na tablicy wyników powiedział mu, że od dziesięciu minut trwała pierwsza połowa meczu. Piraci z Boston Ferris grali z Morskimi Jastrzębiami z Ducaine; ich przewaga wyrażała się już dwucyfrową liczbą. Widownia była jak na-elektryzowana podnieceniem, bijącym od wygrywającej drużyny.

Przeciskając się między rzędami siedzeń w stronę boiska, niosąc szarą tekturową tackę z kawą, napojami i hot dogami, odwołał wszystkie klątwy, jakie rzucił na głowę Dorothy. Odtajały mu palce i był zadowolony, że tu przyjechał. To była liga akademicka, ale bilety na mecze Boston Ferris rozchodziły się na pniu. McCain musiał oderwać się od swojej codzienności choćby na parę godzin. Zawsze popadał w podły nastrój, kiedy Grace wyjeżdżała. Chociaż nie zawsze był najwierniejszym mężem, cenił swoją rodzinę. Gdyby człowieka nie obchodziła własna rodzina, po co miałby w ogóle wstawać z łóżka?

Piraci wymieniali zawodnika. Dawali Juliusowi Van Beestowi — gwiazdorowi drużyny i jej motorowi — szansę odpocząć. Bestia usiadł spokojnie, ocierając ręcznikiem zalaną potem twarz. Schodząc w dół po stopniach, McCain spojrział na elektroniczną tablicę wyników. Dziesięć minut gry, a Van Beest miał już na swoim koncie dwanaście punktów i sześć zbiórek. Tylko jedna asysta, ale Julius rzadko miewał aż tyle na cały mecz. Nie w tym rzecz, że chłopak nie lubił rozstawać się z piłką... Chociaż

nie, właśnie w tym rzecz. Ale kto by się tym przejmował? Jego rękami rozgrywał się prawie cały atak.

Marcus Breton był na parkiecie — piłka znalazła się właśnie w jego posiadaniu, kiedy McCain dotarł do swojego miejsca — numer 17, środkowy rząd. Dorothy przywitała go zdawkowym kiwnięciem głowy, nie odrywając wzroku od syna. McCain podał jej hot doga. Wzięła go, ale nie zaczęła jeść, skupiona na grze.

Marcus przez chwilę kozłował w miejscu, a potem ruszył pod kosz.

Naprzeciw niemu skoczył obrońca. Chłopak obrócił się w miejscu i podał za plecami do środkowego, który wpackował piłkę w obręcz. Tłum zaryczał, ale nikt nie krzyczał równie głośno, co Dorothy. Klasnęła mocno w ręce i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że trzyma w nich hot doga.

Parówka wyleciała z bułki i odbiła się od oparcia krzesła przed nią.

Dorothy wybuchła śmiechem.

— Widziałeś?! Widziałeś?!

Palnęła McCaina w plecy tak mocno, że aż się przygiął. Dobrze, że postawił tackę zjedzeniem pod krzesłem. W przeciwnym razie byłoby kiepsko.

— Tak, widziałem — odparł. Spojrzał na nieznanego siedzącego po lewej stronie Dorothy. — Gdzie Spencer?

Z jej twarzy zniknęła radość.

— Siedzi w domu, ma szlaban.

McCaina to zdziwiło. Młodszy chłopak Dorothy uwielbiał koszykówkę, a swojego brata uważał za idola. Skoro wymierzyła mu tak drastyczną

karę, sprawa musiała być poważna.

— Co przeszkrobał?

— Powiem ci w przerwie. O-bro-na... o-bro-na... o-bro-na... — zaczęła skandować.

Marcus pilnował teraz zawodnika, który górował nad nim co najmniej o dziesięć centymetrów. Niski wzrost nadrabiał szybkością. Nękał swojego przeciwnika jak komar, zmuszając go do poddania się. Piłkę złapał środkowy Morskich Jastrzębi, ruszył do wsadu, chybił, ale został sfaulowany. Wykonał pierwszy rzut osobisty, a potem rozległ się gwizd i wymieniono zawodników. Marcus zszedł z boiska, a jego miejsce zajął rozgrywający obrońca, szybki dziewiętnastolatek nazywany B.G. Ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Kiedy tylko Julius wstał z ławki, panujący w hali hałas co najmniej się podwoił. Julius spokojnie wkroczył na boisko i zajął swoje miejsce.

Samą jego obecność zdeprymowała rzucającego.

Spudłował w drugim rzucie i Julius przechwycił piłkę.

Gwizd. Czas dla drużyny Piratów.

Dorothy opadła na twarde oparcie halowego krzesła.

— Coś się tam ruszyło?

Chodziło jej o zasadzkę. Pytanie byłoby nieprzyjemne, gdyby zadał je ktoś inny. Dorothy była mistrzynią oddzielania od siebie różnych spraw.

Nazywała to multitaskingiem, czyli „wielozadaniowaniem”, co było ostatnio nowym, modnym słówkiem. McCain mimowolnie zaczął się zastanawiać, dlaczego dzisiejsza młodzież zamienia rzeczowniki takie jak

„impreza” czy „zadanie” i robi z nich czasowniki.

— Nic — odparł. — Feldspar obiecał zadzwonić, gdyby ktoś się pokazał, ale moim skromnym zdaniem drań prysnął.

— A dziewczyna?

— Nic.

— Sprawdzaleś u rodziny?

McCain obrócił nadgarstek, ukazując piętnastoletniego timeksa.

— Dwadzieścia sześć minut temu wciąż jeszcze nie mieli pojęcia, gdzie jest. Co ze Spencerem?

— Nie mówiłam, że w przerwie?

— Myślałem, że może mi streścisz.

— To skomplikowana sprawa, Micky.

Wznowiono grę.

W połowie meczu gospodarze prowadzili tuzinem punktów. Kiedy

Piraci schodzili z parkietu, Dorothy wykrzyczała kilka zachęt i pochwał do

Marcusa, który laskawie pomachał do matki.

— Dlaczego mu to robisz? — McCain podał jej świeżą parówkę. Co robię? — Dorothy wgryzła się w hot doga.

— Drzesz się do niego... robisz mu wstyd.

— Nie robię mu wstydu.

— Owszem, robisz.

— Wcale nie.

— Właśnie że tak. Spojrzała na niego kwaśno.

— Czy mogę w spokoju zjeść hot doga?

— Co to za sprawa ze Spencerem?

— Czy mógłbyś ewentualnie dać mi chwilę spokoju, zanim zasypiesz mnie pytaniami na nieprzyjemne tematy?

— To ty zaczęłaś.

— Neeee. Ja nie pytałam o rzeczy aż tak nieprzyjemne.

— Ja też cię kocham, Dorothy.

Poklepała McCaina po kolanie.

— Co zrobimy z tym dodatkowym hot dogiem, który najwyraźniej był przeznaczony dla Spencera?

— Chcesz go?

— A może się podzielimy?

— Ty go podziel — powiedział McCain. — Nie jestem w nastroju do babrania się w musztardzie i cebuli.

Dorothy zręcznie przelamała hot doga na pół i oblizała palce z sosu.

Podala McCainowi jego kawałek, po czym sama wgryzła się w swój.

— Miał broń, Micky.

McCain zatrzymał się w pół kęsa.

— O czym ty mówisz?

— O Spencerze. — Znów kęs. — Znalazłam pistolet w jego plecaku.

— Rany... to niedobrze.

Twarz Dorothy pociemniała z mahoniowej do hebanowej.

— Nigdy w życiu nie byłam taka wściekła!

— Byłaś nieźle wściekła, kiedy Gus Connelly ugryzł cię w rękę.

— Teraz bardziej.

— Jak się dowiedziałas?

— Sprzątałam jego rzeczy. — Odwróciła się do McCaina; w kącikach ust miała musztardę. — Nosił w plecaku czterodniowe resztki drugiego śniadania, które śmierdziały jak nie wiem co. Wyjęłam je i po prostu go zobaczyłam. — Pokręciła głową. — Micky, byłam taka wściekła...

Rozczarował mnie!

— Spytałaś go, po co nosi broń?

— Oczywiście, że spytałam!

— I co powiedział?

— Te same pierdoły, co oni wszyscy: „Okolica jest niebezpieczna, trzeba się jakoś bronić”. Miałam ochotę dać mu w łeb. Po tylu rozmowach na temat broni, po tylu wykładach i zdjęciach z kostnicy. Co jest nie tak z tym chłopakiem?

— Może czuł się zagrożony.

— W takim razie powinien był przyjść do mnie i o tym porozmawiać!

— Może piętnastolatek, który ma metr dziewięćdziesiąt trzy wzrostu, wstydzi się skarżyć mamie policjantce.

Dorothy się nasrożyła.

— A ty co? Jesteś jego cholernym psychiatrą? McCain wzruszył ramionami i odgryzł kawałek hot doga.

— Co zrobiłaś z pistoletem?

— Mam go w domu.

— Zamierzasz go sprawdzić w systemie?

— Pewnie tak. — Teraz to ona wzruszyła ramionami. — Nigdy nic nie

wiadomo. Nie chce mi nawet powiedzieć, skąd go ma. To mnie wkurza najbardziej.

— Chcesz, żeby twój syn był kapusiem? Znów spojrzała na niego złowrogo.

— Przydad się na coś i przynieś mi kawę.

— Tak jest, proszę pani.

Dorothy odprowadziła go wzrokiem. Pokonała obawy i zadzwoniła do domu. Ku jej natychmiastowej uldze Spencer odebrał po drugim dzwonku. Dała mu szlaban, a on siedział w domu. Dobry początek.

— To ja.

W słuchawce milczenie.

— Co robisz? — spytała Dorothy.

— Oglądam mecz.

— Sam?

— Tak, sam. Powiedziałaś „żadnych kolegów”. Co to ma być, mam?

Sprawdzasz mnie?

Tak, to dokładnie robiła. Usłyszała w jego głosie oskarżenie: nie ufasz mi.

— Jeśli któryś z twoich kumpli miałby ochotę wpaść i pooglądać z tobą, nie mam nic przeciwko.

Chwila ciszy.

— Co się dzieje, mam? Masz poczucie winy, czy coś takiego?

Nie mam powodu czuć się winna, Spencerze Martinie Breton. Okazuję tylko trochę elastyczności. Masz coś przeciwko temu?

— Nie, nic a nic. — Chwila ciszy. — Dzięki, mamó. Wiem, że Rashid jest u Richiego, oglądają mecz. Czy mogą przyjść obaj? Przysięgam, że nie zrobimy bałaganu, a jak zrobimy, to posprzątam.

— Tak, chyba...

— Dzięki, mamó. Jesteś super!

— W spizarce jest torebka precelków i chipsy. Jakies napoje też.

Żadnego piwa, Spencer. Słyszysz?

— Nie lubię piwa. Skąd to wie?

— Cały czas czeka nas rozmowa, wiesz o tym?

— Wiem, wiem. Mogę do nich zadzwonić, zanim skończy się przerwa?

— Dobrze...

— Cześć.

Rozłączył się, zanim Dorothy zdążyła zareagować. McCain wrócił, podał jej kawę i następnego hot doga.

— Wszystko gra?

— Tak. Czemu?

— Twoje spojrzenie, coś pomiędzy wkurzonym a skruszonym. Dorothy przewróciła oczami.

— Przez ciebie mam poczucie winy. Powiedziałam mu, że może zaprosić paru kolegów i obejrzeć mecz z nimi. — Napila się ostrożnie gorącej kawy. — Uważasz, że dobrze zrobiłam?

— Jasne. Chociaż to i tak nie ma znaczenia. Będziesz winna, cokolwiek zrobisz.

— To prawda. — Dorothy przez chwilę się zastanawiała. — To mnie

naprawdę przeraża... Spencer ma broń. Jestem... Boję się, Micky.

McCain odstawił tackę z jedzeniem i objął swoją partnerkę ramieniem.

— Dasz sobie radę, słońce.

Oparła głowę na jego ramieniu.

— Na człowieka czyha tyle gówna, Micky. Próbuję sobie wmawiać, że to, co widzimy, to nie jest codzienność. Ale przy tym, co się dzieje w szkołach, nawet prywatnych, coraz trudniej mi w to wierzyć.

— Popatrz na to, co masz, Dorothy -powiedział uspokajająco McCain.

-Spójrz na Marcusa! Chłopak jest na najlepszej drodze na prawo, pewnie dostanie pełne stypendium.

— Spencer to nie Marcus. Nie uczy się tak dobrze jak on, to za mało, że świetnie gra w koszykówkę!

— Wystarczy, żeby dostał się na studia. Dorothy wyprostowała się na krześle.

— Jeśli nie spełni wymagań akademickich, to na nic.

— Wszystko w swoim czasie, skarbie. — Gwizdek obwieścił koniec przerwy. — Czy mogę zaproponować, żebyśmy nie myśleli o pracy, dzieciach i małżeństwie, tylko w spokoju obejrzeliby mecz?

— Tak, dlatego właśnie sport tak dobrze wpływa na ludzi. Możemy udawać, że stawka jest wysoka, ale tak naprawdę to gra niewarta świeczki.

— Co prawda, to prawda — odparł McCain.

Goście rozegrali pierwszy atak na kosz gospodarzy i chybili przy

pierwszym rzucie.

Julius natychmiast zebrał piłkę i podał ją obrońcy, który ruszył z nią w głąb boiska. Piraci grali raczej strefami, zamiast jeden na jednego. Kiedy tylko Julius dostał piłkę, pokryło go dwóch zawodników przeciwnika, więc podał ją do linii bocznej. B.G. spróbował rzutu za trzy i spudłował.

Julius zebrał pudło.

Skoczył w górę, do wsadu.

W pierś uderzyło go ramię środkowego przeciwnika. Runął w tył, na posadzkę, z głośnym hukiem uderzając o nią głową. Całe trybuny jak jeden mąż wstrzymały oddech. Zapadło zszokowane milczenie. Wokół nieruchomego ciała Van Beesta zebrali się trener i koledzy z drużyny. Następne kilka chwil dłużyło się tak, jakby czas prawie stanął w miejscu.

— Jezu, co on sobie wyobrażał? — mruknął pod nosem McCain. — To przecież nie bójka w barze.

— A mówią, że kosz nie jest sportem kontaktowym — odparła Dorothy. — Głupi gówniarze.

— Głupi trenerzy. Założą się, że ten z Ducaine powiedział: „Nie obchodzi mnie, co zrobicie, macie go zdjąć”.

— Jeśli tak powiedział, należałoby go zwolnić — wypaliła Dorothy.

-Aresztować.

— Zgadzą się. — McCain patrzył w dół, na parkiet. — Chyba porusza palcami stóp. To znaczy, Julius.

Dorothy wyciągnęła szyję i spojrzała na olbrzymi ekran.

— Tak, mówią coś do niego.

— A więc jest przytomny?

— Tak, chyba tak. Dzięki Bogu!

Dwaj mężczyźni przynieśli nosze, ale trener Boston Ferris pokręcił głową. Julius powoli usiadł i pomachał ręką.

Widownia wybuchła ogłuszającymi wiewatami.

Dwóch pomocników trenera pomogło Juliusowi wstać. Najwyraźniej miał problemy z utrzymaniem równowagi; wsparł się ramieniem na jednym z nich i zaczął chodzić. Gdyby nie był w stanie wykonać swoich rzutów osobistych, zostałby wyłączony z gry do końca meczu.

Po jakiejś minucie Van Beestowi udało się podejść do linii osobistych bez niczyjej pomocy. Kilka razy potrząsnął głową i zamrugał oczami. Był rozchwiany i wciąż brakowało mu tchu.

Pierwszy rzut chybił, drugi się udał.

Nawet w takim stanie umiał trafić w środek obręczy tak, że piłka dotknęła tylko siatki. Niewiarygodne, pomyślał McCain. Taki talent musiał być darem od Boga.

Ponieważ faul uznano za rażący, piłkę odzyskali Piraci. Natychmiast zarządzono czas dla drużyny i wymieniono zawodników. Julius przy wtórze wiewatów został odprowadzony do szatni. Na parkiet wrócił Marcus.

Gwiazdor Piratów zniknął na ponad dziesięć minut meczu, co dało Ducaine sposobność odrobienia straty i zmniejszenia jej do jednego kosza. Wtedy jednak — jak na filmie — po rampie prowadzącej do szatni wbiegł Julius w swoim stroju rozgrzewkowym. Teatralnym gestem zerwał

go z siebie i nie zerknąłszy nawet na trenera, usiadł pod tablicą

wyników, czekając, aż gwizdek oznajmi jego obecność.

Minutę później był z powrotem na parkiecie. Na jego twarzy rysowało

się skupienie i determinacja. Spróbował rzutu — z linii bocznej, z sześciu

metrów — pokazując wszystkim, że jego ręce i oczy wciąż pracują w pełnej

synchronizacji. Na drugim końcu boiska zebrał piłkę po ataku

przeciwnika, sam przebiegł z nią pod jego kosz i zaliczył kolejny wsad.

Julius był wściekły.

Julius był naładowany energią.

Julius był niepowstrzymany.

Ostatecznie Piraci ustanowili rekord drużynowy meczów z Ducaine,

wygrywając dwudziestoma czterema punktami.

Żeby nie odmrozić sobie palców u stóp, McCain podskakiwał, czekając z Dorothy pod halą. Nie mogła sobie darować, musiała pożegnać się z synem. Woźni wypędzili ich z budynku i teraz oboje stali na kęsającym mrozie i czekali na drużynę, której trener najwyraźniej dostał ciężkiej słownej biegunki. Wokół nich tłoczyła się grupka życzliwych, przyjaciół i krewnych zawodników, w tym fanatycy w średnim wieku, którzy żyli zwycięstwami drużyny.

Ludzie bez własnego życia.

McCain poczuł ostre uklucie przygnębienia. Otrząsnął się, osłonił twarz dłońmi w rękawiczkach i chuchnął. Ciepły oddech owiał mu zlodowaciały nos.

— Nie wiem, ile tu jeszcze wytrzymam, Dorothy.

— To jedź do domu.

— Nie, dopóki ty nie pojedziesz. Odwróciła się do niego.

— To nie ja marznę.

— On nawet nie chce, żebyś tu czekała, Dorothy. Popatrzyła na niego złowrogo.

— Kto tak twierdzi?

— Ja tak twierdzę. Facet, któremu pamięć dopisuje jeszcze na tyle, by wiedzieć, że dzieci nie chcą, żeby ich matki za nimi laziły.

Otworzyło się tylne wejście do hali i ze środka zaczęli wychodzić zawodnicy. Natychmiast rozległy się wiwaty. Zaczęto się ścisnąć i

całować. Marcus podszedł do matki, a Dorothy, która nigdy nie była zbyt subtelna, rzuciła mu się na szyję i uściskała go tak mocno, że słychać było prawie skrzypienie kości. Chłopak poklepał ją po plecach, potem się odsunął.

— Cześć, Micky. — Marcus był rozradowany. — Fajnie, że jesteś.

— Miałeś dzisiaj kilka świetnych akcji, Marcus.

— Aha, to był dobry mecz.

— Co byś powiedział, żebyśmy uczcili to sernikiem u Finalego? — zaproponowała Dorothy.

Marcus uśmiechnął się, ale ze skrępowaniem.

— Właściwie, mam, mieliśmy z chłopakami wyskoczyć czegoś się napić.

Dorothy zmrużyła oczy.

— Dokąd?

— Dokąd?

— Tak. Dokąd?

— Mamo, mam dwadzieścia jeden lat.

— Wiem, ile masz lat. Urodziłam cię, pamiętasz?

— Nie będziemy tak rozmawiać, mamo...

— Nie takim tonem.

Marcus pozostał spokojny, ale twarz mu stężała.

— Skoczmy do paru klubów, to wszystko. -Pocałował ją w policzek. -

Jedź do domu. Nie czekaj na mnie.

Odbiegł do swoich kolegów, zaczął się szturchać z przyjaciółmi.

Podszedł Julius, złapał go za głowę i wcisnął kłyckie pięści w szopę kręconych włosów.

Dorothy cmoknęła, bezskutecznie próbując ukryć rozczarowanie.

McCain objął ją ramieniem.

— A może razem pojedziemy do Finalego? Nie odpowiedziała.

— Dorothy?

— Słyszę. Tak sobie myślę, że chyba jestem trochę zmęczona. I muszę jeszcze pogadać ze Spencerem. Powinnam wracać do domu. — Odwróciła się. — Ale dzięki.

— Nie odgryź mi głowy, Dorothy — powiedział McCain — ale pomyślałem... Może pozwolisz mi porozmawiać ze Spencerem? To tylko propozycja. I zastanów się przez chwilę, zanim odmówisz.

Zastanowiła się.

— Dobra.

McCain osłupiał.

— Dobra?

— Nie jestem w najlepszej formie, Micky. Mam dość rozumu, żeby to wiedzieć.

— W porządku. — McCain rozpakował i wrzucił do ust gumę nikotynową. — W takim razie do zobaczenia u ciebie.

— Dzięki, Mick. Dobry z ciebie kumpel.

Nachyliła się i pocałowała go w czubek głowy. Była od niego o trzy centymetry wyższa i o dziesięć kilo cięższa. W dobry dzień umiała położyć go na rękę. Była silna, mądra i nieustraszona. Budziła respekt u

wszystkich,

od

ważnych

szych

po

najbardziej

zatwardziałych

kryminalistów. Ludzie po prostu słuchali... z wyjątkiem, oczywiście, jej własnych dzieci.

Spencer nie był niegrzeczny ani nie okazywał braku szacunku. Nie przerywał, ani razu nie przewrócił oczami — z czego słynął Micky Junior.

Przytakiwał we właściwych momentach, był należycie poważny. Ale dla McCa-ina było jasne, że jego słowa do chłopaka nie trafiają. Spencer nosił broń, bo czuł się zagrożony, chociaż ze statystyk jasno wynikało, że prędzej postrzelilby siebie albo niewinnego przechodnia, niż został stuknięty przez bandziora, podtykającego mu spluwę pod nos.

— Musisz wiedzieć, co robisz, Spence — powiedział McCain. — W przeciwnym razie martwiejesz, a potem nagle bandzior ma w rękach broń, której może użyć przeciw tobie.

Kiwnięcie głową.

— Nigdy byś sobie nie wybaczył, gdybyś kogoś przypadkiem zabił... A nawet nie przypadkiem. Nie da się z tego otrząsnąć, z odebrania komuś życia, nawet jeśli to było zupełnie usprawiedliwione. Uwierz mi, nie chcesz, żeby cię to spotkało. Po prostu nie warto ryzykować.

Cisza.

Siedzieli przy stole. Mała choinka Bretonów stała wciśnięta w kąt skromnego salonu. Dodawała trochę życia bardzo poważnej rozmowie.

Dorothy nastawiła dzbanek świeżej kawy bezkofeinowej, kiedy wrócili do domu. McCain wypił już prawie całą, podczas gdy chłopiec wciąż bawił się swoją puszką coli. Dorothy zamknęła siew swojej sypialni, ale prawdopodobnie siedziała z uchem przy drzwiach.

W końcu Spencer się odezwał, cichym, ale beznamiętnym głosem.

— Zabiłeś kiedyś kogoś, Micky? McCain zawahał się, potem pokiwał głową.

— Dwa razy. I ten pierwszy wcale nie oznaczał, że drugi był łatwiejszy.

Spencer przytaknął.

— I było ci z tym ciężko, tak?

— Ciężko to za mało powiedziane. To męka.

— Ale wstajesz codziennie rano i idziesz do pracy z pistoletem w kaburze, wiedząc, że to się może znów zdarzyć. Dlaczego?

— Dlaczego? — McCain zaśmiał się krótko. — To moja praca, Spencer.

Jestem oficerem policji. Mam obowiązek nosić broń. Skoro o tym mowa, byłbym bardzo szczęśliwy, gdybym go nie miał. Przy moim rodzaju pracy.

Za to policjant mundurowy... To już inna historia. On musi nosić broń.

— Dlaczego?

— Bo mundurowych wysyła się w bardzo niebezpieczne miejsca. Bez broni... trach. Może być naprawdę niewesoło. I zanim coś powiesz: wiem, że państwowa szkoła to nie piknik, Spence. Rozumiem twoje położenie.

Ale musisz zrobić sobie bilans, co jest większym ryzykiem. A ryzyko jest większe, kiedy masz broń.

— Tak, powiedz to Frankiemu Goshadowi i Derekowi Trickowi. Tyle że mogą cię nie usłyszeć spod dwóch metrów ziemi.

— Twój przyjaciele?

— Derek bardziej niż Frankie, ale nie o to chodzi. Nic złego nie robili, zajmowali się swoimi sprawami, obok przejeżdżał jakiś bydlak, wygadywał jakieś głupoty i wymachiwał automatem. I zanim się zorientowali, już nie żyli. Gdyby mieli spluwę, mogliby się obronić.

— Albo nie.

— To zginęliby jak mężczyźni, zamiast dać się rozwalić jak bonusowe cele w grze wideo.

— I zastrzeliliby jakiegoś dzieciaka lub kogoś niewinnego, zanim sami by dostali. — McCain poruszył się na krześle. — Chodzi o to, Spence, że jakkolwiek byś to sobie tłumaczył, to niezgodne z prawem. Nie ryzykujesz tylko ty, narażasz też swoją mamę.

Chłopak spojrział w sufit. Od konieczności odpowiedzi wybawił go dzwonek telefonu. Spencer uniósł brwi, a na jego twarz wypełził wyraz zdziwienia.

— Któryś z twoich kolegów? — spytał McCain.

— Nie, mam komórkę. — Nastolatek powoli wstał i podniósł słuchawkę. — Tak?

Nagle szeroko otworzył zaspane oczy.

— Co się dzieje? Wszystko w porządku?

McCain usłyszał w słuchawce wycie syren i maski głos, krzyczący „Daj

mamę, szybko!” Wyrwał Spencerowi telefon.

— Marcus, mówi Micky. Co jest?

— Niedobrze, Mick!

— Co się stało? Jesteś cały?

— Tak, jestem cały, ale jest źle. Ktoś strzelał...

— O mój Boże!

— Wszyscy krzyczą i płaczą. Wszędzie krew. Policja zamknęła drzwi.

**— Gdzie jesteś, Marcus? — Serce McCaina urządziło sobie bieg przez
plotki.**

— W klubie, w śródmieściu.

— Gdzie w śródmieściu?

— W Landsowne.

W Avalonie?

— Nie, w nowym... Coś z Dżinem... Zaczekaj... Tak, Dżin Faraona.

Kilka przecznic za Avalonem.

**— Biorę twoją matkę, zaraz tam będziemy. Przysięgnij, że nic nie
ukrywasz. Jesteś cały, tak?**

— Tak, jestem cały, Micky. Ale mówię ci, jest źle. Julius nie żyje.

Czarne niebo, kiepska widoczność i oblodzone drogi sprawiły, że podróż była powolna i niebezpieczna. Na ich korzyść działało tylko to, że o tak późnej porze na ulicach nie było dużego ruchu. McCain prowadził, bo nie chciał, żeby Dorothy siedziała za kierownicą. Nawet w jego pewnych rękach samochód podskakiwał i ślizgał się na pozwężanych ulicach i prowizorycznych zaułkach i objazdach.

Całe śródmieście Bostonu było jednym wielkim objazdem, czego sprawcą był Wielki Wykop², znany także jako Wielka Przewalka. Mijały dziesiątki lat, w projekt pompowano dziesiątki milionów dolarów

² Projekt Centralna Arteria/Tunel, mający rozładować straszliwe korki w centrum Bostonu (przyp. tłum.).

nadwyżek budżetowych, a korki w godzinach szczytu wciąż były nie do wytrzymania.

Otwarto parę głównych nitek, ale planiści nie wzięli pod uwagę, że miasto będzie się rozrastać szybciej, niż oni będą w stanie na to reagować.

Genialne. Ktoś zbijał na tym fortunę...

Dorothy, partnerka McCaina od ośmiu lat, siedziała w fotelu pasażera, obgryzając paznokieć prawego kciuka. Zaciskała zęby, cała była sztywna.

Okutała się w płaszcz, rękawiczki i szalik. Na jej czole perlił się pot, bo ogrzewanie działało pełnaparą. McCainowi przyszło do głowy, żeby zacząć rozmowę, ale odrzucił ten pomysł. Zresztą co mógłby powiedzieć?

Nie mając czym zająć myśli, zaczął się zastanawiać, czego ma się spodziewać.

Marcus podał mu same ogólności. Wybuchła jakaś głośna awantura, potem strzelanina. Mówił coś o dziewczynie, która zatańczyła nie z tym chłopakiem, co trzeba, ale był w tym też jakiś podtekst. Członkowie drużyny Ducaine wdali się w wymianę obelg z paroma Piratami. Może strzelali do Juliusa, a może Van Beest dostał się w krzyżowy ogień jego wzrost tym razem zadziałał na jego niekorzyść. Z tego, co Marcus wiedział, Julius był jedynym zabitym, ale byli też ranni.

— Zastanawiam się, kto to dostał — powiedziała Dorothy. Jej niespodziewane odezwanie się sprawiło, że McCain się wzdrygnął. — Przestraszyłam cię? Przepraszam.

— Nie, troszeczkę się zamyśliłem. Też o tym myślałem. Pewnie Wilde i Gomes.

— Prawdopodobnie.

— Są nieźli.

— Tak, są nieźli. — Dorothy milczała przez dłuższą chwilę. — Mało zasadniczy.

— Nawet o tym nie myśl. Jesteś za blisko związana z tą sprawą żeby się do niej brać.

— To nie był mój dzieciak, Micky. Poza tym mogę się przydać. Znam Ellen Van Beest. Nie za dobrze, ale lepiej niż oni.

— To może być argument przeciwko tobie. Zignorowała go.

— Myślisz, że to była jakaś osobista zemsta na Juliusie?

— Kto wie?

— To dziwne, że tylko on jeden zginął.

— Marcus nie zna wszystkich faktów. Możliwe, że zginęło więcej ludzi.

— Boże, mam nadzieję, że nie.

McCain za szybko wszedł w zakręt i samochód wpadł w poślizg na lodzie.

— Rany! Przepraszam.

Dorothy zmniejszyła siłę nawiewu.

— Nie wiem, Michael. Cały czas czekam, aż to całe rodzicielstwo zrobi się trochę lżejsze. Mam wrażenie, że równie dobrze mogłabym czekać na Godota.

— Na kogo?

— Nieważne.

W samochodzie zapadła cisza, zakłócana jedynie miarowym szumem gorącego powietrza, wydmuchiwanego przez silnik hondy.

Dżin Faraona znajdował się przy Landsowne Avenue, jakieś półtorej przecznicy od zielonego, żelaznego płotu Fenway Park, niedaleko Siłowni Golda. Jak na Boston była to szeroka ulica. Stały tu stare, ceglane hale przemysłowe i magazyny, z których część przerobiono na kluby i bary.

McCain nie mógł podjechać pod samo miejsce strzelaniny. Cały kwartał był zastawiony radiowozami, nieoznakowanymi wozami policyjnymi, karetkami i furgonetkami techników. Mocne, białe reflektory przyćmiewały gwiazdkowe lampki. Za kordonem klębili się cywile, rozcierając dłonie i tupiąc nogami. Nie wahali się zmarznąć, byle tylko choć przez chwilę popatrzeć na czyjeś nieszczęście.

McCain zaparkował samochód, a potem oboje wysiedli i potruchtali w

stronę zamieszania. Kiedy znaleźli się w zasięgu głosu, próbowała ich zatrzymać para mundurowych. Niższy z dwójki, młody, rudy Irlandczyk nazwiskiem Grady, zamrugał oczami, a potem rozpoznał Dorothy. Nawet w kilku warstwach wełny jej sylwetkę trudno było pomylić.

— Przepraszam, detektyw Breton. Nie wiedziałem, że to pani —

Odsunął się na bok, żeby ją przepuścić. — Gdzie pani samochód?

Miał południowy akcent. Potem zauważył McCaina i znów przybrał urzędowy wyraz twarzy.

Na kogo ja wyglądam, jeśli nie na gliniarza? — zdziwił się McCain.

Pokazał swoją złotą odznakę.

— Musieliśmy zaparkować kawalek dalej. Kiedy przyszło wezwanie?

— Jakies czterdzieści minut temu. — Grady zakolysał się na piętach. —

Straż pożarna powinna te wszystkie lokale pozamykać. Same z nimi kłopoty.

— Pojawilyby się gdzieś indziej. — Dorothy wymięła policjanta. — Idę znaleźć Marcusa.

McCain poszedł za nią.

Klub kiedyś był magazynem. Ceglana elewację pomalowano na czarno.

Do środka wchodziło się przez małe, stalowe drzwi — w razie pożaru wszyscy zapewne udusiliby się wewnątrz, nie mając jak uciec. Kiedy tylko

McCain przestąpił próg, w twarz uderzyło go gorące, duszne powietrze, śmierdzące świeżą krwią i prochem. Dookoła panował chaos, policjanci

desperacko próbowali uspokoić świadków, a sanitariusze opatrywali

rannych. Na podłodze twarzą w dół leżał młody, czarnoskóry mężczyzna,

z rękami skutymi na plecach, pilnowany przez czterech mundurowych, bo był z niego kawał chłopca.

Dorothy szybko rozejrzała się po sali, próbując wypatrzeć Marcusa, ale tłum był gęsty, a oświetlenie słabe. Ściany również pomalowano na czarno, a purpurowe, fosforyzujące plamy zapewniały upiorne oświetlenie. Trochę światła odbijało długie lustro nad barem pod wschodnią ścianą ale był to raczej nastrojowy półmrok niż wyraźna jasność. Sala była pełna ludzi, wszędzie wałowały się przewracane stoły i krzesła. Po obu stronach sceny stały dwie pięciometrowe, aluminiowe choinki. Ich lampki wzmagaly tylko wrażenie nierzeczywistości całej sceny. Część misternych ozdób pospadała i potłukła się na parkiecie. Sanitariusze oczyścili kawałek podłogi i opatrywali na nim rannych i będących w szoku.

Nad głównym poziomem wisiała okrągła galeria, z własnym barem i kelnerkami. Zamiast stolików bez oparc i drewnianych krzeseł stały tam pluszowe kanapy i podwójne fotele. Na galerii uwijali się technicy. Nawet z tej odległości McCain zobaczył zwisającą rękę.

Wymienił spojrzenia ze swoją partnerką. W oczach Dorothy wezbrały łzy.

— Nie wiem, czy dam radę. Ty tam idź. Ja najpierw znajdę Marcusa.

— Dobry pomysł. — McCain mocno ścisnął jej ramię, a potem ruszył w stronę schodów. Windę odgrodzono żółtą policyjną taśmą. Kiedy zbliżył się do zbiegowiska, zaczęło mu się przewracać w żołądku. Dał o sobie znać hot dog, którego zjadł na meczu. Co się z nim działo? McCain

przepchnął się przez tłum i przełknął ślinę, żeby sienie porzygać.

Trzy godziny temu ten chłopak rozegrał mecz swojego życia. Teraz przystojna twarz Juliana Van Beesta była martwa i woskowa.

Oczy bez światła, usta otwarte, kropelki krwi ściekające po lewej skroni. Dostał w głowę, prawe ramię i prawy bark.

McCain poczuł dotknięcie na plecach, podskoczył i gwałtownie się obrócił. Córy Wilde trzymał w ręku torebkę na materiały dowodowe i wyglądał na przestraszonego.

Wilde miał trzydzieści parę lat, był łysiejącym mężczyzną o nijakiej twarzy, jeśli nie liczyć jednego oka zielonego, a drugiego piwnego. W rezultacie wyglądał, jakby był niesymetryczny.

— Co ty tu robisz, Micky?

— Dotrzymuję towarzystwa mojej partnerce. Jest tu jej syn. Zadzwoił po nią.

— Bez jaj! Kto to?

— Marcus Breton, obrońca Boston Ferris. Wilde pokręcił głową.

— Byłem zajęty tu na górze.

— Co się stało? — spytał McCain. Wilde zerknął na zwłoki.

— Tego, co strzelał mamy skutego na dole.

— Widziałem. O co poszło?

— Pokłócili się o mecz. — Wilde potarł nos o ramię, bo na rękach miał lateksowe rękawiczki. — Byleś na meczu?

— Razem z Dorothy.

— Ktoś sfaulował Juliusa?

— I to brzydko. To właśnie on strzelał?

— Nie wiem, bo nie było mnie na meczu. Ale wygląda na to, że dla jednych i drugich walka nie skończyła się na parkiecie. Wyzywali się. Potem Julius zaczął się przystawiać do tej dziewczyny, doszło do spięcia. Rozdzielili ich bramkarze. Ten, co się rzucał, wyszedł i wszystko było ładnie-pięknie. A potem wrócił z kilkoma kumplami i bum, zaczęły gwizdać kule.

— Wrócił po Juliusa?

— Na to wygląda. Zobacz, jak upadł... Chodź tu. — Wilde zaprowadził McCaina do zwłok i wsadził serdeczny palec w podłużną ranę po kuli na barku chłopaka. — Można wymacać, że kula szła w górę. Gdyby ktoś celował w jego głowę, musiałby strzelać w górę. Ale kąt jest cholernie ostry. — Wyjął palec. — Chcesz sam zobaczyć?

— Wierzę ci na słowo.

— Kule musiały nadlecieć z dołu i być wystrzelone w górę. A świadkowie mówią co innego.

McCain nachylił się i powąchał ranę. Ubrania nie było mocno czuć prochem, co oznaczało, że strzał oddano z dużej odległości.

— Tylko Julius nie żyje?

— Jak dotąd tak. Sanitariusze zabrali kilka osób w poważnym stanie, ale na noszach mówiły, to dobry znak.

McCain pokiwał głową.

— Jak się nazywa ten kochaś, który zastrzelił Juliusa?

— To koszykarz Delveccio. Ma paskudny charakter i nie chce

powiedzieć nic oprócz wiesz czego.

— „Ja nic nie zrobiłem?”

— Jakżeby inaczej? — powiedział Wilde. — Kiedy padły strzały, wybuchła panika. Dupek twierdzi, że tylko tu był, że to ktoś inny strzelał, że świadkowie wskazali go tylko dlatego, że jest z Ducaine. — Wilde zmarszczył brew. — Kiedy go przeszukaliśmy, nie znaleźliśmy przy nim broni.

— Znaleźliście ją w ogóle?

— Chyba musisz być detektywem — powiedział Wilde. — Tak, w tym właśnie problem. Znaleźliśmy broń. W liczbie mnogiej. Całe mnóstwo broni. — Pokręcił głową. — Chyba każdy idiota miał przy sobie broń.

Mówię ci, zejdzcie nam na to kupa czasu. Byłoby o wiele łatwiej, gdyby ktoś się przyznał.

McCain pokiwał głową. Znał zasady. Detektywi musieli sprawdzić każdą sztukę broni i spróbować zestawić ją z właścicielem przy użyciu numerów identyfikacyjnych — o ile ich nie spiłowano albo nie wytrawiono kwasem — stanowych numerów ewidencyjnych i odcisków palców. Ale z broni, z której strzelano, czasem ciężko było zdjąć odciski, bo kiedy wypalała, podskakiwała w dłoni i wszystko się rozmazywało. Mimo to, ludzie z balistyki musieli wystrzelić z każdego skonfiskowanego pistoletu do bryły żelatyny, żeby zdjąć charakterystyki kul. Przy odrobinie szczęścia któreś mogły pasować do kuli, która zabiła. Była to niewiarygodnie żmudna robota.

— Pomogę, jeśli chcesz.

— Byłoby miło. — Wilde podniósł papierową torebkę na dowody. —

Zabiorę te kule do laboratorium, jak tylko skończy koroner. Gomes znalazł na dole łuski, w miejscu, skąd według nas strzelano. Kąt się zgadza, ale dopiero technicy powiedzą coś na pewno. Gdzie dzieciak Dorothy?

— Z innymi świadkami.

— Pogadam z nim.

— A może pozwolisz mi to zrobić, Córy? Wilde popatrzył na McCaina.

— Jesteś trochę za blisko sprawy, Micky.

— Mogę z niego wydobyć więcej niż ty. Wilde prychnął. Przemyślał to.

— Nie, jeśli obok będzie Dorothy.

Miał rację, ale niełatwo będzie oddzielić Mamę Lwicę od jej małego.

— Mam pomysł, Wilde. Zawieź kule do balistyki i prześpij się, a Dorothy zaczeka na koronera. Rano wszystko ci opowie.

— To wbrew regulaminowi, Micky. Dlaczego ona się w to miesza?

— Zna matkę Juliusa, Ellen Van Beest. Wilde to rozważył.

— Mówisz, że na pewno chce w to wejść?

— Tak sądzę, znam ją nie od dziś.

— A ty?

— Jesteśmy partnerami. Posłuchaj, zrobmy tak: pomogę dopasować broń.

A im szybciej kule trafią do balistyki, tym szybciej będziemy wiedzieli, z jakiego typu broni strzelano. To nam zawęzi pole działania. W między czasie się prześpij. Wyglądasz gównianie.

Wilde spojrział na niego spode łba.

— Dobra. Dawaj ją tu.

— Mogłoby być gorzej — powiedział McCain. — Dorothy ma nosa do odtwarzania scen przestępstwa.

— No, przyda nam się każdy drobiazg. To jeden wielki chaos. — Wilde pokręcił głową. — A więc ty albo ona powiecie mi, co stwierdził koroner?

— Masz to jak w banku.

McCain spojrział w dół, na zwłoki Juliusa Van Beesta. Jakby trzeba było doktora, żeby stwierdzić, że biednego drania po prostu ktoś zastrzelił.

Dorothy Breton była potężną kobietą, ale znalezienie jej zabrało McCai-nowi ponad dziesięć minut. W tłumie nie brakowało ludzi znacznie wyższych, olbrzymów akademickiej koszykówki. Górowali nad Dorothy; w ich towarzystwie wydawała się zaledwie średniego wzrostu. Mimo to jednak dało się ją odszukać. McCain kierował się w stronę, z której dochodził jej głos.

Siedziała przy barze, trzymając rękę na ramieniu Marcusa. W geście pocieszenia, ale chłopaka to nie uspokajało. Twarz miał wykrzywioną w cierpieniu. Krzyczał na matkę.

— Powtarzam ci, że nie pamiętam, mamó! Dlaczego ciągle o to pytasz!?

— Bo za każdym razem przypominasz sobie więcej, niż ci się zdaje.

McCain przepchnął się przez tłum i usiadł obok swojej partnerki.

— Jesteś potrzebna na górze — powiedział. Dorothy spojrzała na niego ze zdziwieniem. — Powiedziałem Wilde'owi, że będziesz tam czekać na koronera. Nikt jeszcze nie zabezpieczył śladów.

— Zauważyłeś jakieś ślady prochu?

— W tym świetle w ogóle nic nie widziałem, ale zapachu nie wyczułem.

Mimo to musimy się upewnić. Jeśli pojawi się wersja o obronie własnej, a nikt nie sprawdzi, czy na jego rękach jest proch, wyjdziemy na dupy wołowe.

— Znalazłeś przy nim broń, z której strzelano?

— Nie, ale w okolicy leżało kilka łusek. Możliwe, że starych, ale

musimy to wszystko posprawdzać.

— A więc jest możliwość, że Van Beest odpowiedział ogniem... Albo strzelił pierwszy.

— Jest. — McCain wzruszył ramionami. — Wilde właśnie pojechał z kulami do balistyki. Wygląda na to, że źli strzelali z kalibru 32.

— Ile?

— Według mnie cztery.

— Czy były tam jeszcze jakieś ofiary oprócz Juliusa?

— Nic mi o tym nie wiadomo — powiedział McCain.

— A więc ktoś strzelał tylko do niego.

— Był jakiś konflikt między Julusem a jednym z zawodników Ducaine.

Tamten wyszedł i wrócił obwieszony bronią. Nie wiemy, kto strzelał pierwszy ani czy Julius w ogóle strzelał. Dlatego musimy tam iść i zabezpieczyć jego ręce, zanim przyjedzie koroner.

— Dlaczego sam tego nie zrobiłeś? — spytała Dorothy. — Jestem zajęta.

— Ja cię zastąpię.

Dorothy popatrzyła na niego spode łba. McCain się nie przejął.

— Powiedziałem Wilde'owi, że masz nosa do odtwarzania scen zbrodni. Kazał ci iść na górę i rozejrzeć się.

— Gówno mam, a nie nosa. Ktoś tu próbuje mnie splawić.

McCain nie odpowiedział. Dorothy się nachmurzyła i wstała.

Odchodząc, obejrzała się przez ramię na syna.

— Później pogadamy.

— Cholera jasna! — Marcus zaklął głośno, kiedy zniknęła. — Czego ona

ode mnie chce? Niczego nie widziałem!

McCain położył mu dłoń na ramieniu.

— Przejmuje się, jak to matka.

— Kurwa mać, ja też się przejmuję! — Marcus zaczął krzyczeć. —

Pomógłbym, gdybym mógł, ale padłem na twarz tak samo jak wszyscy, kiedy zaczęła się strzelanina. — Zmrużył wojowniczo oczy. — Mogę już iść?

— Daj mi kilka minut.

Chłopak przewrócił oczami.

— Daj spokój, pójdz mi na rękę, Marcus. — McCain wstał. — Chodź, przejdziemy się. Wygląda na to, że przyda ci się trochę świeżego powietrza.

Marcus nie odpowiedział. Potem nagle zerwał się na równe nogi i złapał kurtkę.

— Wszystko jedno, byle stąd wyjść.

Zastępca koronera okazała się dzieciakiem; chociaż Dorothy nazywała tak każdego poniżej pięćdziesiątki. To jednak był zupełny niemowlak - miała młodą białą twarzyczkę, wielkie, przestraszone błękitne oczęta, chude ciało i cieniutkie nadgarstki, okryte lateksowymi rękawiczkami. Drogi płaszcz — na oko kaszmir, a przynajmniej kaszmir z domieszką. Nowicjuszka, bo jak raz człowiek uświni sobie porządne ciuchy ludzkimi płynami ustrojowymi, to więcej tego błędu nie popełnia. Dorothy podeszła i przedstawiła się jako detektyw Breton z wydziału zabójstw. Dziewczynka powiedziała, że nazywa się Tiffany Artles. Na

identyfikatorze miała skrót dr med., ale nie używała tytułu. Jakby się wstydziała. Albo snobowała.

To wszystko jeszcze bardziej rozsierdziło Dorothy. Jeśli jest się zasranym doktorem i ma zasrany dyplom, to się używa swojego zasranego tytułu. Nie onieśmiały jej tytuły.

Głupi ci ludzie. Chociaż najpewniej Tiffany Artles miała swój tytuł z Harvardu.

Wynikało z tego jasno, że miasto, choć tak przecież liberalne, ma dokładnie w dupie śmierć czarnego chłopaka. Gdyby tak nie było, nie przysłano by żółtodzioba w kaszmirowym płaszczku.

Przecież jej się trzęsą ręce, gdy otwiera swoją lekarską torbę.

Oczywiście wcale nie było jej łatwiej pod ciężkim spojrzeniem policjantki.

Dorothy wiedziała, że jest niesprawiedliwa, ale miała to gdzieś.

— Byli tu już technicy? — spytała Artles.

Cienki, cichy głosik. Gładkie, lśniące kasztanowe włosy. Dorothy musiała użyć całej siły woli, żeby nie zacząć jej przedrzeźniać.

— Nie, chyba nie. Zresztą nikt by mi nie powiedział.

— W porządku. — Głos Artles zrobił się jeszcze bardziej piskliwy.

-Chciałam tylko wiedzieć, czy mogę ruszyć ciało, czy...

— Lekarz z pogotowia robił masaż serca — warknęła Dorothy. — Ma rozerwaną koszulę, a to na piersi to siniaki. Widać, że próbowali go reanimować. Musieli go przy tym poruszyć, bo plamy krwi nie pasują do ułożenia ciała. O, tutaj... krew na stole. Według mnie padł na twarz, a ratownicy go potem odwrócili. Wiem, że był tu fotograf. Więc niech pani

robi swoje.

Doktor Tiffany popatrzyła na nieruchome ciało Juliusa. Skrzywiła się.

— Przepraszam. Wyszłam na niedojdę. Ale nie spodziewałam się, że będę знаła ofiarę.

— Nie powiedzieli pani kto to?

— Nie. Tylko że była strzelanina w Dżinie Faraona i że ktoś zginął.

-Spojrzała na Dorothy. — Tydzień temu widziałam, jak grał. Zabrałam na mecz młodszą siostrę. Co za strata!

Nachyliła się nad zwłokami.

— Dobra — powiedziała do siebie. — Zobaczmy, co my tu mamy.

Dorothy uklękła obok młodej kobiety, która uniosła głowę Juliusa, a potem przechyliła ją w bok, żeby dokładnie obejrzyć rany po kulach na skroni.

— Dwa otarcia. Zachodzą na siebie, ale widać dwie odrębne elipsy.

Prawa jest trochę głębsza od lewej, ale na moje oko żadna nie jest przyczyną śmierci. Jest krwawienie, ale niezbyt silne, nie takie, jakie obserwuje się przy rozerwanej tętnicy.

Uniosła bezwładną rękę Juliusa.

— Brak *rigor mortis*, oczywiście. Niemożliwe, żeby stężenie pośmiertne nastąpiło tak szybko... Kiedy przyszło wezwanie, pani detektyw?

— Jakąś godzinę temu. Może trochę wcześniej.

— A więc czas śmierci nie ulega wątpliwości. — Artles obejrzała rękę.

-W ramieniu są dwie rany po kulach. Wlotowa i wylotowa, strzał był

oddany z daleka. Sądząc po ranie wlotowej, powiedziałabym, że odległość wynosiła piętnaście do dwudziestu metrów. Żeby go trafić w głowę, strzelec musiał mieć dobre oko albo szczęście, albo jedno i drugie, i czyste pole widzenia. Nikt inny nie zginął, prawda?

— Tak.

— Rozmiar otworów... Moim zdaniem kaliber 32 albo zbliżony.

Skupiła spojrzenie niebieskich oczu.

— Zgadza się. Detektyw Wilde właśnie jedzie z kulami do balistyki. Na dole znaleźliśmy łuski. — Dorothy wstała i pokazała gdzie. — Tam, w lewym rogu parkietu. A więc mówimy o kącie około czterdziestu pięciu stopni.

— Zmierzę nachylenie między raną wlotową i wylotową, zobaczymy, czy pani trafiła. Ten strzał... — pokazała Dorothy ranę — rozorał mięsień, więc nie mam wyraźnego tunelu. Ale dolny przeszedł na wylot.

Opuściła rękę zabitego.

— Jeśli chodzi o ranę barku, wygląda na to, że kula weszła tuż pod pachą, przeszła za łopatką i... — Z wysiłkiem uniosła ciało Van Beesta, żeby zajrzeć pod spód. — O, i wyszła przez kark. Prawdopodobnie rozerwała tętnicę szyjną. Chociaż nie ma dużych plam opadowych, czyli krwi spływającej pod wpływem ciężenia...

Tiffany Artles przerwała.

— Pani wie, co to są plamy opadowe. Dorothy w końcu obdarzyła ją uśmiechem.

— Dalej, skarbie, świetnie sobie pani radzi. Tiffany uśmiechnęła się

szeroko.

— To mój drugi dzień w pracy, pani detektyw. Gwarantuję pani, że gdyby góra wiedziała, że to ktoś sławny, przysłałiby starszego stażem koro-nera.

— Ale kogo obchodzi zwykły czarny chłopak, tak?

— Nie w tym rzecz, pani detektyw. Biały czy czarny, ten wypadek zgłoszono jako łatwą do ustalenia przyczynę śmierci. Nie było powodu budzić szefa. Budzi się go tylko, jeśli chodzi o kogoś sławnego... kogoś, o kim napisałyby gazety.

Wstała i ściągnęła rękawiczki.

— Nie mogę powiedzieć na pewno, która rana była śmiertelna, dopóki go nie otworzymy.

— Jak pani myśli, kiedy to będzie?

— Prawdopodobnie niedługo, skoro jest tym, kim jest... kim był.

Powiedziałabym dwie, trzy godziny. Będą chcieli jak najszybciej skończyć autopsję, bo gazety będą się domagać wyjaśnień. — Podala Dorothy swoją wizytówkę. — Nie wiem, czy to ja będę ciąć. Podejrzewam, że nie. Ale i tak może pani do mnie zadzwonić.

— Dziękuję, pani doktor.

Tiffany słabo się uśmiechnęła.

— Powiem chłopakom w wozie, żeby zabrali go do kostnicy, chyba że chcecie jeszcze coś sprawdzić.

— Technicy i ja sprawdziliśmy już wszystko. Fotograf ma zdjęcia.

-Dorothy wstała; strzeliło jej coś w kolanach. — Może dajmy już spokój

biedakowi.

McCain wyprowadził Marcusa z klubu. Powietrze było rześkie i ostre; paliło gardło i płuca przy każdym oddechu. Na atramentowym niebie tańczyły rozbłyski światła z migających kogutów pojazdów ratowniczych, przyćmionych latarni, latarek policjantów i natrętnych fleszy aparatów fotograficznych. McCain nie zdołał ująć więcej niż kilka kroków, kiedy pod nos podetknięto mu mikrofon. To Hudson, truteń z nocnej zmiany jednej z lokalnych rozgłośni.

— Derek Hudson, detektywie. Może nam pan powiedzieć, co się dzieje w środku?

McCain zaczął żałować, że nie odpiął odznaki od kurtki.

— Raczej nie.

Naciągnął czapkę na uszy i ścisnął Marcusa za ramię, rozglądając się za pustym radiowozem.

Kiedy tylko wyminał reportera, zastąpiła mu drogę młoda kobieta, której twarzy nie rozpoznawał. Od stóp do głów była zakutana w ciepłe rzeczy i musiała ściągnąć z twarzy szalik, żeby coś powiedzieć.

— Liz Mantell z CNN. Widzieliśmy, że na noszach wywieziono dużo ofiar strzelaniny. Co było jej przyczyną, detektywie?

Kiedy mówiła, szczękała zębami. Minuta na mrozie i McCainowi zdążyły zlodowacieć stopy. I to bez wiatru znad zatoki Back Bay. Nawet w słabym świetle widać było, że reporterka ma zupełnie czerwony nos.

McCainowi zrobiło się jej żal, dygoczącej na kilkustopniowym mrozie. Ale

nie aż tak bardzo żal.

— Bez komentarza. Nie dała się zniechęcić.

— A więc na pewno doszło do strzelaniny, w której brało udział kilka osób?

— Nic jeszcze nie zostało potwierdzone.

— A co z udziałem członków drużyny koszykarskiej Boston Ferris?

— Pani mi powie.

Zauważyła Marcusa. Uśmiechnęła się przyjaźnie.

— Jesteś z Boston Ferris?

— W połowie pani zgadła — powiedział McCain. — Jest z Bostonu.

Przepraszam.

W końcu zauważył pusty samochód i pociągnął w jego stronę Marcusa.

Błysnął odznaką, zapytał siedzącego w środku mundurowego, czy mogą skorzystać z tylnego fotela. Liz Mantell wciąż się nie odczepiała;

kamerzysta filmował jej wysiłki.

— Grasz w drużynie?

McCain nie dał Marcusowi odpowiedzi. Otworzył tylne drzwi radiowozu, przygiął chłopakowi głowę i wepchnął go do środka.

— Czy to podejrzany, detektywie?

McCain nie odpowiedział, wszedł do samochodu za Marcusem.

— Właśnie podjechała furgonetka z kostnicy — nie dawała za wygraną

Mantell. — Ile osób zginęło?

McCain uśmiechnął się i zatrzasnął drzwi, o mało nie przycinając reporterce palców. W środku było ciemno i zimno jak w krypcie. Nachylił

się do przodu, udało mu się przekręcić klucz w stacyjce. Z wentylacji

buchnęło zimne powietrze. Po chwili zrobiło się cieplejsze.

McCain odwrócił się do Marcusa, który ukrył twarz w zamszowych rękawiczkach. W końcu chłopak uniósł głowę.

— Powiem ci tyle, co mamie. Nic. Bo nic nie widziałem.

— Nie byłeś na górze z Julusem?

— Nie, nie byłem z Julusem. Siedział na górze i nadstawiał tylek do całowania jakiegoś typowi od butów.

— Czy to nie wbrew zasadom NCAA?

— Nie, o ile nic by nie wziął.

— Myślisz, że płacił za swoje drinki? Marcus zmarszczył brew.

— Komisja się nie przejmuje takimi pierdołami.

— Ale gdyby ktoś na niego doniósł, mógłby mieć kłopoty, prawda?

— Tak, chyba tak. Ale kto na niego doniesie?

— Któryś z przeciwników.

— Nikt z przeciwników nie doniesie na Juliusa, bo przyjął kilka drinków. Tak się tego nie załatwia. To szczeniactwo.

— Lepiej go zabić?

Marcus potarł skronie.

— Oczywiście, że nie. To straszne, to... Niedobrze mi. Gram w koszykówkę, więc nie muszę się zadawać z gangami. Robię swoje, a oni mnie nie ruszają. Szanują to, jak gram. Ciężko pracowałem, żeby tak było. Nie mogę uwierzyć... Mick, chcę do domu. Proszę, pozwól mi jechać do domu.

Muszę się położyć.

— Zrób tylko coś dla mnie. Opowiedz mi swoją wersję tego, co się stało.

Marcus westchnął przeciągle, ze znużeniem.

— Siedziałem blisko parkietu. Nie robiłem nic konkretnego, gadałem z ludźmi. Z jedną dziewczyną.

— Z Ducaine?

— Nie, miejscową. Chyba z uniwerka. Julius też się bawił z dziewczynami. Nie znam wszystkich, które na niego leciały. Sporo ich było, tyle mogę powiedzieć. Pappy'ego to wkurzało. Nie chodziło o dziewczyny. Chodziło o to, że Julius upokorzył Ducaine, kiedy wrócił na boisko po tym, jak dostał. On i Pappy zaczęli sobie dogryzać.

— Kto to Pappy?

— Pappy to Patrick Delveccio. Napastnik Ducaine.

— To on sfaulował Juliusa?

— Nie, to był Mustafa Duran. Gra z ławki rezerwowych. Ma opinię twardego, gra ostro. No i dobrze, to jego zadanie. Ale to, co się stało na ostatnim meczu, to już duża przesada.

— Co robił, kiedy Julius i Pappy zaczęli sobie dogryzać?

— Mustafy nie było w klubie. Wiedział, co by się stało, gdyby się pokazał. McCain powstrzymał odruch wyciągnięcia notesu.

— A co by się stało?

— Człowieku, nie można robić na parkiecie takich rzeczy bez konsekwencji.

— Jakich konsekwencji?

Marcus zmarszczył brew.

— Daj spokój, Micky. Wiesz, jak to jest. Jeśli sam sienie bronisz, dostajesz po tyłku. Będą z tobą próbować różnych zagrywek, bo będą uważać, że ujdzie im to na sucho.

— A więc o jakich konsekwencjach mówimy?

— Nie o spluwach, jeśli to masz na myśli. Chodzi mi o odegranie się na boisku. Można walnąć łokciem, jak sędziowie nie patrzą. A nawet jak patrzą, to po takim brudnym faulu... Nikt nic nie powie.

— Ale nie mówimy o boisku, Marcus. Mówimy o tym, co tu i teraz. Jak sądzisz, co zrobiłby Julius, gdyby Mustafa się pojawił?

— No, nie pojawił się, więc to wszystko wróżenie z kart.

— Kto zaczął bijatykę, Marcus?

— Nie było bijatyki. Chłopak podniósł wzrok. — Tylko parę słów.

— Jakich słów?

— Julius gadał różne głupoty. Pappy też. Ale nas było o wiele więcej niż ich. Zrobiło się trochę gorąco. Chyba ktoś kogoś popchnął, ale to wszystko. Ducaine wyszli. Potem Julius zabrał parę dziewczyn na górę i wtedy widziałem go po raz ostatni.

— Co zrobił, kiedy już zabrał dziewczyny na górę?

Marcus zrobił zdziwioną minę.

— Pytasz, czy posunął je w klubie? Tego nie wiem. Z tego, co wiem, były tylko na pokaz, żeby zrobić dobre wrażenie na gościach z firmy.

McCain wyjął notes.

— Znasz nazwiska tych dziewczyn? Marcus chwilę się zastanawiał.

— Nie, chyba nie. McCain czekał.

— Chyba slyszałem, jak ktoś mówił na jedną z nich Spring. Były wysokie, obie. Jedna prawie mojego wzrostu. Mogły grać w kosza, ale nie w Boston Ferris. Znam wszystkie dziewczyny z Boston Ferris.

— Kto jeszcze poszedł na górę z Julusem?

— Nikt, kogo bym znał.

— Może ochroniarz?

— Nie, nie było ochroniarza. Kto by chciał zaczynać z Julusem?

— Nie bał się, że jego fanów może trochę ponieść?

— Julius nie był aż taki znany. Jasne, szedł prosto do NBA, ale miejsce w pierwszej czwórce byłoby dla niego dużym osiągnięciem. Bardzo chciał je mieć, zanim by ogłosił, że jest do wzięcia. — Marcus pokręcił głową.

-Bez sensu! Tak głupio skończyć!

— A więc co się stało, kiedy poszedł na górę?

— Nie wiem, co robił Julius. Wiem, że Pappy wrócił z paroma swoimi kumplami gangsterami.

— Ile mniej więcej upłynęło czasu między jego wyjściem i powrotem?

Marcus odetchnął.

— Pół godziny, może trochę dłużej. Nie patrzyłem na zegarek. Kiedy Pappy wrócił, wszyscy się zorientowali, że będzie źle. Wychodziłem z kibla i, kiedy go zobaczyłem, od razu pomyślałem, że pora się zbierać. Wtedy zaczęła się strzelanina. Rzuciłem się na ziemię. Nie widziałem pistoletu. Nie mogę nawet powiedzieć, czy to Pappy miał broń.

Usłyszałem tylko huk i rzuciłem się szukać osłony.

— A więc kłótnia Pappy'ego i Juliusa nie dotyczyła dziewczyny?

— Nie, chodziło o mecz. Zawsze chodzi o mecz. Kantowałeś, przytrzymałeś mnie, popchnąłeś mnie, uderzyłeś mnie łokciem, bla, bla, bla. Dziewczyna nie miała z tym nic wspólnego.

— Może Julius przystawiał się do nie tej panny, co trzeba.

— Nie. Nie wydaje mi się. Mógł mieć każdą i zawsze.

— Niektórzy faceci lubią posuwać cudze dziewczyny.

— Nie, nie Julius. Jego jedyną pasją był kosz. Dziewczyny były mu potrzebne tylko, by zająć się czymś w czasie, gdy nie grał. Gdyby miał się z kimś o coś poważnie poprzytykać, nie poszłoby o dziewczynę.

— A więc skąd się wzięła ta plotka?

— Skąd mam wiedzieć? Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że to Ducaine. Żeby jakoś usprawiedliwić to, co zrobili. Wszyscy mówią, że Pappy i jego kumple po prostu go roznieśli, Micky. Skosili go.

— Ale ty tego nie widziałeś.

— To nie znaczy, że tak nie było. — Marcus spojrział na McCaina. — Kto inny mógłby do niego strzelać?

— A więc twierdzisz, że Van Beest nie podpadł nikomu oprócz Ducaine?

— Nie. Julius podpadł wielu ludziom. Ja też go nie lubilem. Ale nie przychodzi mi do głowy nikt, kto nienawidziłby go aż tak bardzo, żeby do niego strzelać.

— Może za słabo się zastanawiasz.

— A może muszę się położyć! — warknął Marcus. — Może gdybym się

przespał, przejaśniłoby mi się w głowie.

Zamilkł, a potem odrzucił głowę do tyłu.

— Zimno mi. Jestem zmęczony. — Popatrzył na McCaina. — Jak wy

wytrzymujecie całonocne zasadzki przy takiej pogodzie?

— Męczymy się i marzniemy.

— A więc miej litość, Micky. Puść mnie do domu. McCain pokiwał

głową.

— Każę mundurowemu cię zawieźć.

— Nie trzeba. Podwiezie mnie przyjaciel.

— Nie, synu — powiedział McCain. — Zawiezie cię policjant. Twoja

matka nie pozwoli, żeby było inaczej.

Back Bay stało na zasypanym bagnie, stąd właśnie wzięła się nazwa najbardziej charakterystycznego obiektu tej dzielnicy, Fenway Park.³

W czasach wiktoriańskich chlubiła się ona jednymi z najbardziej szykownych domów w Bostonie. Malownicza i urocza, ze swoimi brukowanymi chodnikami i lekkim wiatrem znad oceanu, w cieplejsze miesiące była popularnym miejscem przechadzek turystów. Do tego boisko bejsbolowe, kluby — to wszystko razem wystarczyło, by bez przerwy coś się tu działo, podobnie jak w niemal całym rejonie D-4. Tak samo nazywał się posterunek policji odpowiedzialny za patrolowanie tej okolicy — baza McCaina i Dorothy.

O piątej rano przychodziła dzienna zmiana. Detektyw Córy Wilde normalnie skorzystałby z pomocy zespołu techników, ale w tym wypadku było inaczej. Breton i McCain wzięli na siebie sporą część najgorszej roboty, więc nie miał na co narzekać. Mimo to był na nogach od dwudziestu godzin i zmęczenie dawało o sobie znać. Podejrzewał, że Pappy Del-veccio o tym wiedział, bo drań nie chciał pisać ani słowa. Kiedy Wilde poczęstował go papierosem, chłopak gwałtownie potrząsnął głową.

— Nie wciągamy tego świństwa. Co ty chcesz zrobić, człowieku? Otruć mnie?

Gdybym tylko mógł...

— Chcę tylko, żebyś się odprężył — powiedział Wilde. — Dolać ci wody?

Pappy nachylił się do przodu i popatrzył na niego złowrogo.

— Chcę się stąd wydostać. Zamknij mnie albo wypuść, człowieku.

Chłopak miał dwa metry dziesięć centymetrów wzrostu i ważył sto czterdzieści kilo. Od pasa w dół Patrick Luther Delveccio był chudy jak tyczka. Tak było ze wszystkimi koszykarzami, od biegania i skakania mieli chude, cienkie nogi.

3 Fen (ang.) — nizinny, błotnisty teren (przyp. tłum.).

Od pasa w górę... To była już inna historia. Najlepszy napastnik

Du-caine miał rozepchane mięśniami ramiona i barki. Jego twarz była podłużna i ciemna, o delikatnych rysach — niemal etiopska.

Delveccio. Musiał być z pochodzenia Włochem. A może wcale nie. Taki Shaquille O'Neal i Trący McGrady. Wilde sam był w sześćdziesięciu procentach Irlandczykiem; kiedyś mu się wydawało, że świat jest prosty i nieskomplikowany.

Znów spojrział na Pappy'ego. Szykowny chłopak, fryzura w modne zygzaki, cienkie warkoczyki opadające na potężny, umięśniony kark.

Del-veccio miał niskie czoło, oczy jak szparki, a usta ściągnięte we wściekłym grymasie.

Wilde powstrzymał się, żeby nie odpowiedzieć tym samym.

— Możesz to przyspieszyć, mówiąc mi prawdę, Pappy.

Szparki dziko rozbłysły.

— Słuchałeś mnie w ogóle, człowieku? Mówię prawdę.

Dłonie miał poznaczone tatuażami, ledwie widocznymi na ciemnej skórze. Po co je w ogóle robił?

Ramiona też pewnie wytatuował, ale tego Wilde nie widział. Pappy miał na sobie białą koszulę z długim rękawem. Oliwkowozieloną, jedwabną marynarkę zdjął i powiesił na oparciu krzesła, gładką i lśniącą. Była tak długa, że rozlewała się kałużą na podłodze.

— Słuchałem. — Wilde wzruszył ramionami. — Ale ci nie wierzę.

Wiesz, dlaczego ci nie wierzę? Bo to, co mówisz, nie trzyma się kupy.

— Nikogo nie zastrzeliłem. — Delveccio skrzyżował ramiona na piersi.

— Widzisz, znowu poruszamy problem prawdy. Znaleźliśmy na twoich dłoniach osady prochu, Pappy. Strzelałeś z pistoletu.

— Nie strzelałem do nikogo w klubie — poprawił się Delveccio. —

Bawiłem się spluwą wczoraj.

Wilde z trudem się pohamował, żeby nie prychnąć pogardliwie.

— Kiedy dokładnie wczoraj?

— Rano.

— I od tamtej pory nie myłeś rąk?

— Właśnie, nie myłem.

— Nie wycierałeś rąk serwetką po jedzeniu?

— Nie.

Wilde tylko na niego popatrzył.

— Nie brudzę się przy jedzeniu — palnął chłopak.

— Wiesz, Pappy, wczorajszy mecz był filmowany. Tyle miałeś potu na twarzy i rękach, kapał i kapał. Nie tylko ja jeden widziałem, jak ocierasz twarz i dłonie ręcznikiem co najmniej dwadzieścia razy. Widzieli to wszyscy, którzy oglądali mecz. Chcesz może zmienić swoją wersję?

— Chcę prawnika.

— Możesz się schować za prawnikami, Pappy, ale wtedy nie będę mógł ci pomóc. Nie będziemy mogli się dogadać. A wiesz przecież, że jeśli chcesz z tego wyjść cało, musimy się dogadać.

Dorothy patrzyła na nich zza weneckiego lustra pokoju przesłuchań.

Spojrzała na kapitana nocnej zmiany D-4. Phil O'Toole był umięśniony, rumiany i siwowłosy; Typowy Irlandzki Glina w trzecim pokoleniu.

Przeżył wiele zmian w Back Bay: napływ imigrantów, zalew narkotyków, kolejne fale chwilowych mieszkańców i studentów. To z kolei oznaczało więcej imprez i wypadków, którym winny był alkohol. Z drugiej strony, dzięki nowym mieszkańcom stopniowo wracali tu rzemieślnicy, którzy wzięli się do odnawiania starych, wiktoriańskich domów. Wśród nich nie było bandytów, czasem tylko któryś stawał się ofiarą.

— Prawnik Ducaine będzie tu za chwilę — powiedziała Dorothy. — Jak pan sądzi, ile możemy zwlekać, zanim zaczniesz się domagać zobaczenia ze swoim klientem?

— Najwyżej dziesięć minut — odparł O'Toole. — Co konkretnie mamy na tego Delveccia?

— Świadkowie widzieli, jak wyciągał broń.

— Ilu świadków?

— Trzech albo czterech, dalej szukamy.

— Co jeszcze?

— Osad prochu na rękach. Na sto procent strzelał i to po meczu.

— Ale nie macie nikogo, kto widział, jak strzela, tak?

— Cały czas szukamy — powtórzyła Dorothy. — Trudno zmusić

świadków do mówienia.

— A więc nad nimi popracujecie.

— Oczywiście.

— Strzelał z broni palnej... — powiedział O'Toole. — Mamy dość, żeby go tu potrzymać, dopóki ktoś nie ustali terminu wstępnej rozprawy i nie ustali wysokości kaucji. Ile to potrwa? Trzy godziny?

— Mniej więcej.

Oboje popatrzyli przez szybę na Wilde'a. Detektyw potarł oczy.

— Opowiedz mi o strzelaninie, Pappy. Opowiedz, co się stało. Jeśli to była samoobrona, chcę to wiedzieć. Prokurator będzie chciał o tym wiedzieć. Samoobrona to zupełnie inna sprawa.

Napastnik popatrzył na Wilde'a, rozważając swoje alternatywy.

— Masz oczy w różnych kolorach — powiedział w końcu. — Co to było?

Twoja mamuśka ruchała się z dwoma facetami naraz?

Wilde się uśmiechnął.

— Zapytam, jak będę się z nią widział.

— Wystarczy tego. — O'Toole podniósł słuchawkę telefonu i wywołał

Wilde'a z pokoju przesłuchań. Kiedy tylko detektyw wyszedł, zaczął się bronić. Ale O'Toole nie dał mu skończyć.

— Zażądał prawnika, Córy. Musimy go zamknąć z tym, co mamy:

świadkami awantury, którzy widzieli, jak wyciągał broń, i prochem na rękach.

— Niech mi pan da jeszcze kilka minut — poprosił Wilde.

Różowa twarz O'Toole'a nabrała barwy niedopieczonego steku.

— Ogłuchleś, detektywie? On zażądał prawnika. A z Ducaine już ktoś jedzie.

— No to mu to powiem. Powiem, że nie musi ze mną rozmawiać. Ale niech mi pan pozwoli dotrzymać mu towarzystwa, dobrze?

O'Toole nie odpowiedział.

— Tylko towarzystwa — powtórzył Wilde. — Nie zrobię nic wbrew Mirandzie.

Przeżegnał się.

— Dobra — powiedział O'Toole. — Towarzystwo. Tylko dopóki nie ma adwokata.

W tym momencie do pomieszczenia wszedł McCain. Kapitan spojrział na niego groźnie.

— Gdzie byleś?

— Rozmawiałem ze świadkami.

— I?

— Po długich prośbach i groźbach udało mi się nakłonić dwie młode damy do przyznania, że widziały, jak Pappy wyciąga i strzela z pistoletu.

— Alleluja! — zawołał Wilde.

— Na ile można na nich polegać? — spytał O'Toole.

— Na tyle, co na kimkolwiek z klubu. Co oznacza, że są na razie zdenerwowane. Będziemy musieli jeszcze przez chwilę się nimi pozajmo-wać.

— Czy któraś widziała, jak Pappy celuje do Juliusa?

— Cały czas wyciągamy z nich szczegóły.

— Czy ktoś widział, z jakiego pistoletu strzelał Pappy?

— Nie, proszę pana, nikt się aż tak nie przyglądał. Za dużo ludzi wpadło w panikę, kiedy zaczęły gwizdać kule. Wszyscy rzucili się na podłogę. -McCain zajrzał do notatek. — Mam też zamiar na kobietę, która mogła być na górze z Julusem, kiedy został postrzelony. Nazywa się Spring Mathers i mieszka z rodzicami w Roxbury. — Spojrzał na zegarek.

— Jest parę minut po piątej. Za kilka godzin do niej pojedę.

— Nie, pojedziesz tam w tej chwili i ich obudzisz — powiedział O'Toole.

-Potrzebne nam wszystko, co możemy zdziałać, bo nasz chłoptaş nie chce mówić.

Drzwi do pokoju przesłuchań otworzyły się. Funkcjonariuszka Rias

Adajinian była młoda i ładna, szpeciły ją jednak ciemne kręgi pod oczami.

Jako nową przydzielono ją do cmentarnej zmiany, a to klóciło się z jej biorytmami.

— Przyjechał ktoś z Uniwersytetu Ducaine, chce rozmawiać z panem

Delvecciem. Poza tym... — Westchnęła. — Jest tu Ellen Van Beest.

O'Toole spojrział na Dorothy.

— Znam ją — powiedziała natychmiast. — Ja to załatwię. Popatrzyła na młodą policjantkę.

— Gdzie ją pani zostawiła?

— W piątce.

— Będzie mi potrzebny dzbanek wody, dwie szklanki i duże pudełko chusteczek. — Dorothy przerwała. — Dwa pudełka chusteczek. Niech jej

pani powie, że za chwilę przyjdę. Potrzebuję chwili dla siebie.

— Jak to się stało? — Ellen złapała Dorothy za ramię i ścisnęła ją tak, że aż zbieleły jej kłykcie. Cała się trzęsła, głos miała mokry od łez i głębokiego smutku. — Jak to się stało? Jak to mogło...

Rozszlochala się tak, że nie mogła dokończyć.

Sama ze łzami w oczach, Dorothy wyciągnęła ramiona, żeby ją objąć, a umęczona kobieta przyjęła pocieszenie. Tak jak Dorothy, Ellen była potężna — wysoka i masywna — ale pogrążona w żalu wydawała się niemal bezcielesna.

— Jak to się mogło stać? Jak to się mogło stać? Jak mogło, Dorothy, jak mogło?

Łzy zamglily wzrok Dorothy.

— Wszystkiego się dowiemy, Ellen. Obiecuję ci, że nie spocznę, dopóki sprawca nie trafi za kraty.

— Powiedz mi tylko jedno: czy to ta świnia, która sfaulowała Juliusa, go zabiła?

— Z tego, co słyszałam, tamtego chłopca nie było nawet w klubie.

— Chłopca. — Ellen wyglądała, jakby zamierzała splunąć. — To nie był nikt z Ducaine?

Dorothy milczała. Ellen wpadła w furję.

— To nie był on, tylko jego przyjaciel, tak? Tak? Świnia z Ducaine.

Powiedz mi prawdę, Dorothy. Mów. Mów!

— Było tam kilku zawodników z Ducaine...

— Wiedziałam! — Ellen wyrwała się z jej objęć. — Wiedziałam!

Wiedziałam! Gra! To nie jest gra, skoro pozwalają w nią grać bandziorem

i potworom! Ten świat oszalał! — Zaczęła krzyczeć. — Oszalał!

— Zgadzam się, ale nie wiemy jeszcze wszystkiego...

— Wiem dość, żeby wiedzieć, że oszalał!

Ktoś zapukał do drzwi. Weszła Rias Adajinian.

— Przyjechał Leo Van Beest.

Ellen wyciągnęła chusteczkę i otarła oczy.

— Boże, to ostatnie, czego mi trzeba.

— Mam go posadzić w innej sali, Ellen?

— Tak... nie. Nie, niech wejdzie. — Odwróciła się do Rias. — Niech go pani wpuści.

Kiedy tylko Adajinian wyszła, Ellen zaczęła nerwowo chodzić w tę i z powrotem.

— Rozwiedliśmy się, kiedy Julius miał pięć lat. Chłopcu było ciężko, bo Leo wciąż grał za granicą. Ale Julius nie widywałby ojca często, nawet gdybyśmy mieszkali we Włoszech. Leo był zbyt zajęty.

Rysy jej twarzy stwardniały.

— Julius ciężko przeżył to, że Leo znów się ożenił, a ja wyszłam za mąż.

Nie chciał przyjąć nazwiska mojego męża, nawet kiedy Paul go

adoptował. Dlatego zachowałam nazwisko Van Beest. Chciałam, żeby

Julius czuł ten związek... że cały czas jesteśmy razem. Bo Leo nigdy przy nas nie było.

Z trudem przelknęła ślinę i podjęła swoją nerwową wędrówkę,

okrążając pomieszczenie jak pasterski pies.

— Nigdy go nie było, nigdy za nic nie płacił. Wydawał wszystkie pieniądze nie wiadomo na co. Na pewno nie na syna. Nie tylko na Juliusa, na inne swoje dzieci też nie. Nie to, że Leo był złym człowiekiem. Po prostu nie był dobrym człowiekiem. Był zwykłym człowiekiem.

Ellen przygryzła paznokiec kciuka.

— Kiedy rozwiódł się po raz ostatni, mocno go to trafiło. Bardzo mocno. Utył, postarzał się i zgorzkniał. Wysiadły mu stopy, kolana i plecy. Nie mógł już grać w kosza, skończyła mu się forsa. Nie stoczył się na dno. Ma swój dom, ale nie żyje już tak jak za dni swojej świetności. Rozpił się na dobre. Prawie zrobiło mi się go żal. Julius... jemu naprawdę było go żal. Postanowił sobie, że będzie dzwonił do Leo raz na tydzień, raz na dwa tygodnie. Coś w tym rodzaju. Zbliżyli się do siebie bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

— To miłe — powiedziała Dorothy.

— Tak, to było miłe. Julius próbował na nowo związać się z ojcem. Był chyba jedynym jasnym punktem w ponurym życiu Leo. A teraz, kiedy go już nie ma... O Boże, muszę usiąść.

Dorothy pomogła jej sięść na krzesło.

— Kiedy ostatni raz rozmawiałaś z Leo?

— Dzisiaj na meczu. — Ellen zaśmiała się gorzko. — Kiwnęliśmy sobie głowami. Zawsze tak robiliśmy, kiedy się widzieliśmy. Kiwaliśmy głowami, pełna kultura.

Drzwi otworzyły się zamaszyście i przez próg do środka wtoczył się Leo Van Beest.

— Ellen!

Rozłożył ramiona, ale Ellen nie miała siły wstać. Rozszłochała się tylko w dłonie. Leo położył swoje wielkie łapska na jej dygoczących ramionach. Po policzkach spływały mu łzy.

— Boże, Boże, Boże!

Nigdy nie był tak wysoki jak jego syn, nigdy nie był tak dobrze zbudowany. Grał dwa sezony w NBA, zanim go nie wyrzucono, następne piętnaście lat spędził w Europie, cały czas mając nadzieję, że któregoś magicznego sezonu lowcy talentów w domu znów go zauważą. Za młodu, kiedy mierzył dwa metry, sprawdzał się zarówno jako obrońca, jak i napastnik. Ale czas nie był dla niego łaskawy. Leo zaokrąglił się, wysuszył i poszarzał. Wyglądał jak wielka piłka lekarska. Na czole perlił mu się pot. Van Beest wyjął z kieszeni chustkę i otarł twarz.

— Jak to się stało? — zapytał ostro Dorothy.

— Śledztwo jest w toku...

— Nie chcę słuchać tych pierdol! Chcę usłyszeć odpowiedzi!

— A ja z radością ich państwu udzielenę, kiedy tylko będę coś wiedziała.

— To pierdoły!

Dorothy już miała coś powiedzieć, ale się rozmyśliła.

— Który skurwiel zastrzelił mi syna?

— Wciąż pracujemy nad szczegółami.

— Macie skurwysyna powiesić, rozumie pani?!

— Tak, proszę pana. Rozumiem.

— A jeśli wy go nie powiesicie, to znam ludzi, którzy to zrobią.

— Proszę pana, policja ma wszystko pod kontrolą. Znajdziemy

sprawcę, obiecuję panu.

— Tak, wiem, ile jest warta obietnica policji.

Dorothy znów nie odpowiedziała.

Dolna warga Leo zaczęła drżeć.

— Gdzie on jest? Mój syn!

— O Boże. — Ellen zaczęła płakać. — Nie mogę go tak oglądać, Leo. Po prostu nie mogę!

— Wiem, Ellen. Zrobię, co będzie trzeba. Nie musisz tego robić. Ja to zrobię. — Odwrócił się do Dorothy. — Chcę go zobaczyć!

— Dowiem się, czy da się to załatwić od razu.

— Tak, niech się pani dowie! — rozkazał Leo. — Niech pani to załatwi w tej chwili, pani detektyw. W tej chwili! Bo Julius nie może tu leżeć, na komisariacie. Rozumie pani? Mój syn nie może tu leżeć. — Rozplakał się.

-Nie może tu leżeć!

Dorothy bezradnie patrzyła na ich żal i tragedię, przy których jej własne problemy wydawały się bardzo małe i nic nieznaczące.

— Czy mogę kogoś państwu sprowadzić? Może kapłana?

— Pastor Ewing — powiedziała Dorothy.

— Kościół Wiary — dodał Leo. — Pomoże nam z... ze wszystkim, w czym trzeba będzie pomóc.

— Wszystko załatwi. — Ellen otarła twarz. Stanowczym tonem oznajmiła mężowi, że będzie mu towarzyszyć do kostnicy.

— Nie musisz tego robić, Ellen — powiedział Leo. — Nie musisz.

— **Wiem, ale i tak to zrobię. — Wstała, zachwiała się, ale odzyskała równowagę. Razem sprowadziliśmy go na ten świat. I razem powinniśmy go pożegnać.**

No, to była całkowita klęska! Nawet przez trzaski połączenia komórkowego Dorothy słyszała frustrację w głosie partnera.

— Spring Mathers nie było w domu?

— Nie wróciła do domu — powiedział McCain. — I to ja musiałem powiedzieć jej rodzicom o strzelaninie w klubie. Nie mieli o tym pojęcia.

Myśleli, że spała pod kołderką w swoim pokoju. Wpadli tam, a kiedy zastali łóżko posłane, dostali hysterii. Zaczęli dzwonić po ludziach, żeby się dowiedzieć, gdzie ona jest.

— O rany.

— Właśnie, orany! — powiedział kwaśno McCain. — A więc zamiast znaleźć jedyne go świadka, który mógł być z Juliusem, kiedy chłopaka postrzelono, mamy na głowie dwoje rozhisteryzowanych rodziców, którzy wypisują właśnie zgłoszenie zaginięcia i żądają ode mnie odpowiedzi. Mówię ci, Dorothy, miasto dostanie nieźle po dupie. Uczelnia to nasz towar eksportowy. Jeśli rodzice się przestraszą i przestaną przysyłać tu swoje dzieci, będziemy mieli kłopoty. Nie mówię o Harvardzie czy Politechnice Massachusetts. Cambridge jest swoim własnym lennem. Uniwersytet Bostoński to instytucja, jasne. Ale co z tymi wszystkimi bostońskimi szkołami, które się karmią resztkami z ich stołów? Rozkręcał się coraz bardziej. Dorothy starała się zachować spokój.

— Wiem. Byłoby fajnie, gdyby raz dla odmiany coś poszło jak trzeba.

Zapadła chwila ciszy.

— Nie powinienem jęczeć — powiedział McCain. — Ty też nie miałaś rano gazety i kawy do łóżka. Jak poszło z Ellen Van Beest?

— Tak, jak się można było spodziewać. Ojciec też przyjechał. Leo. Grał zawodowo przez parę sezonów, chociaż ja go nie pamiętam.

— Ja też nie. Kurczę, przepraszam. Musiało ci być ciężko.

W umyśle Dorothy zaczęły się pojawiać obrazy rozpacz, twarze rodziców, kiedy doktor wysunął szufladę i zdjął prześcieradło. Zadrzała.

— Idę do łóżka, Micky. Powiedziałam Change'owi, żeby mnie obudził, kiedy skończy autopsję. Spotkamy się pewnie, żeby to omówić.

— Change kroi sam?

Dorothy skrzywiła się, słysząc te słowa. Znała zabitego chłopca i jego matkę, i całą tę sprawę odbierała zupełnie inaczej. Musiała bardzo się starać, żeby zachować profesjonalne podejście.

— Wiesz, jak to jest — powiedziała. — Duża sprawa. A co ty zamierzasz?

— Podoba mi się perspektywa przespania. Jak sądzisz, kto będzie nas poganiał, burmistrz czy sam gubernator?

— Może obaj. Afera wydarzyła się w Bostonie, ale gubernator ma dobry powód, żeby wmieść ją pod dywan, bo obie uczelnie są w Massachusetts. — Dorothy przełożyła telefon do drugiego ucha. — Tak czy inaczej wmiecha się nam tu polityka. Dostaniemy po dupie, jeśli raz-dwa nie skończymy śledztwa.

— Znalazła się broń?

— Technicy wciąż sprawdzają to, co skonfiskowaliśmy. Jeśli znajdziemy właściwy pistolet, może Pappy zostawił na nim odcisk palca, z którym da się coś zrobić. Nie miał rękawiczek, kiedy strzelał. Wiemy to po śladach prochu na jego rękach.

— Tyle tylko, że większość odcisków palców rozmazuje odrzut przy strzale.

— A więc może ślad dłoni.

— Skoro już mowa o tym sukinsynu, co z Pappym?

— Nie ma bogatych rodziców, ale ktoś wpłacił za niego kaucję.

— Kaucję za mordercę?

— Na razie mówimy tylko o użyciu broni w miejscu publicznym.

McCain zaklął.

— Polityka. Czy przyjmowanie przez niego prezentów nie jest wbrew zasadom NCAA? Kaucja to nie prezent?

— Wątpię, żeby to było w regulaminie, Micky. A Pappy ma na głowie większe zmartwienia niż komisję NCAA.

— Bydlę. Oboje cholernie dobrze wiemy, że to on strzelał, nawet jeśli nie chciał trafić Juliusa. Miejmy nadzieję, że zbierzemy przeciwko niemu dość dowodów. Wiesz, jacy są świadkowie. Kiedy mija panika, pamięć im się rozmydła. Nawet bez nacisków polityków musimy to jak najszybciej zamknąć, bo za parę dni zaczniemy grzęznąć.

— Popatrz, ile czasu trwało, zanim aresztowali tego chłopaka z Bay-lor... Jak on się nazywał?

— Carlton Dotson — powiedział McCain. — Tak, zapomniałem o nim.

Co się w ogóle dzieje z tymi koszykarzami?

Pytanie było retoryczne. Dorothy je zignorowała.

— Ile to było? Sześć miesięcy, zanim dostali nakaz?

Różnica polegała na tym, że Dotson zwierzył się jednemu z kumpli, że zastrzelił tamtego chłopaka, Dennehy'ego. A trwało to tak długo, bo nie było ciała. My ciało mamy, ale nie wiem, czy nie zamieniłbym tego na przyznanie się.

Dorothy nagle poczuła falę zmęczenia po ostatnich dwunastu godzinach.

— Szkoda czasu na takie rozmowy. Spróbuj się przespać, Micky.

— Spróbuję — odparł McCain. — Jak mi się nie uda, zawsze są jeszcze proszki.

Dorothy spodziewała się, że obu chłopców nie będzie, miała nadzieję, że uda jej się w samotności odpocząć kilka godzin w ich małym domku.

Obaj synowie jednak na nią czekali. Siedzieli z ponurymi minami, jakby pełni żalu za wszystkie grzechy, jakich się w życiu dopuścili. Śmierć „bohatera” potrafiła tak działać na ludzi.

Ich skrucha była wyjątkowo szczerą, przygotowali dla Dorothy

śniadanie. Grzanki z dżemem, kawę, świeżo wyciśnięty sok

pomarańczowy. Kiedy weszła, Marcus złożył i zamknął książkę do

antropologii, a Spencer uniósł głowę znad swoich ćwiczeń z algebry. Obaj

popatrzyli poważnie na matkę; ona spojrzała na nich. Odezwała się

pierwsza.

— Nie powinniście być w szkole?

— **Odwołali dzisiaj zajęcia — odparł Marcus.**

— **Co z drużyną?**

Starszy chłopak westchnął i wzruszył ramionami.

— **Wszystko stoi. Mamy zebranie, cała drużyna, o trzeciej. Dorothy spojrziała na młodszego.**

— **A ty? Jaką ty masz wymówkę? Spencer przygryzł wargę.**

— **Mam duże zaległości, mamo. Próbuję je nadrobić, i pomyślałem...**

— **Możesz je nadrabiać w wolnym czasie, młody człowieku. Pakuj się.**

—

Możesz

zadzwoić

do

szkoły

i

powiedzieć,

że

mam

nieusprawiedliwioną nieobecność. Nie mogę wrócić na lekcje, dopóki nie

będę wiedział, o co chodzi z tą algebrą. Marnowałbym tylko czas i niczego

bym się nie nauczył. Byłoby lepiej, gdybym uczył się tutaj, ale jeśli mnie

wykopiesz, pójdę do biblioteki albo gdzieś indziej.

Dorothy westchnęła.

— **Ile czasu zajmie ci nadrobienie zaległości?**

— **Jeśli będę pracował od rana do wieczora, jakieś dwa dni.**

— Możesz być pewien, że będziesz pracował od rana do wieczora.

Zwłaszcza, jeśli napiszę ci usprawiedliwienie! Zakaz wychodzenia z kolegami, dopóki nie nadrobisz wszystkiego.

Spencer pokiwał głową, a Dorothy usiadła.

— Dziękuję wam, chłopcy, za śniadanie. Wiem, że zachowujecie się tak, bo męczy was to, co się stało z Juliusem. I to, że ja się tym zajmuję... i jego rodzicami.

— To musiało być okropne — powiedział Spencer.

W oczach Dorothy stanęły łzy.

— Nie da się tego opisać. — Podniosła grzanekę i ugryzła ją z roztargnieniem. — Nalejcie mi kawy. — Upiła łyk soku. — Zaparzyliście bezkofeino-wą czy zwykłą?

— Bezkofeinową — odparł Marcus. — Pomyślałem, że pewnie będziesz chciała się przespać.

— Dobrze pomyślałeś.

— Tak, on zawsze ma dobre pomysły — powiedział Spencer.

— Przestań — warknął Marcus.

— Nie kłóćcie się, chłopcy.

— Nikt się nie kłóci — powiedział Spencer. — Mogę z tobą chwilę porozmawiać?

— Zdawało mi się, że właśnie rozmawiamy — stwierdziła Dorothy.

Spencer milczał.

— No, mów — zachęciła go matka.

— Może to zły moment...

— Mów! — zirytowała się Dorothy.

Spencer odchrząknął i spojrzał na starszego brata. Marcus postawił przed matką kubek kawy.

— Pójdę do swojego pokoju, jeśli chcesz.

— Nie, zostań — powiedział Spencer. — Mogę potrzebować pomocy.

Dorothy zmrużyła oczy.

— Co znów przeszkrobałeś?

— Nic nie przeszkrobałem. Po prostu posłuchaj, dobrze?

Wtedy właśnie Dorothy olśniło. Zrozumiała, dlaczego tak na niego po-warkuje. Bo dzięki temu czuła się jak normalny rodzic. W tej chwili, gdyby nie zachowywała się jak normalny rodzic, załamałaby się i rozplakała, dziękując dobremu Bogu za swoich dwóch pięknych synów i za to, że są cali i zdrowi. Nie chciała tego robić — pokazywać swojej słabości i bezradności — przed chłopcami.

— Słucham — powiedziała — ale ty nic nie mówisz.

Spencer zmarszczył brew.

— Dobrze. Będę bardzo się starał w szkole, mamó. Będę... Będę się starał nie przejmować tym wszystkim, co się tam dzieje: spluwami, narkotykami, gangami. A dużo tam tego gówna.

— Uważaj, co mówisz!

— Przepraszam.

— Koniec z noszeniem broni, tak?

— Tak — powiedział Spencer. — Możesz dać mi dokończyć?

— Kto ci przerywa?

Spencer nie zadał sobie trudu i nie odpowiedział na to oczywiste pytanie.

— Zamierzam ciężko pracować. Ale musisz wiedzieć jedno. Wiem, że Marcus to wie. I wiem, że ja sam to wiem.

— Co wiesz?

— Już do tego dochodzę, dobra?

Nikt się nie odezwał.

Spencer westchnął.

— Mamo, nie jestem typem kujona. Nie lubię szkoły, książek i nie chcę siedzieć na tyłku przez pięć godzin, kiedy wszyscy ziewają, rzucają w siebie różnymi rzeczami albo robią jeszcze gorsze rzeczy.

— Są chyba jacyś porządni nauczyciele.

— Oni się starają, mamó, ale to jest zoo. W klasach jest za dużo ludzi, książki są stare i nudne, a mnie nie interesuje to, czego mnie tam uczą.

Spojrzał z rozpaczą na swojego brata. Marcus wzruszył ramionami.

— Szkoła nie jest dla każdego.

— Zamknij się— powiedziała Dorothy. — A ty posłuchaj, młody człowieku...

— Mamo, proszę!

Dorothy zaczęła coś mówić, ale się powstrzymała.

— Czy mogę skończyć? — zaskomlał Spencer. Jego matka nie odpowiedziała.

— Nie podoba mi się, że muszę uważać na noże, kule i prochy, i na ludzi, którzy co chwila każą mi coś udowodniać albo pokazują, jacy są

cholernie twardzi. Wiem, wiem. Mam nie przeklinać. Ale ja to muszę znosić codziennie.

— A jak myślisz, co ja muszę znosić?

— To samo. Dlatego właśnie doszedłem do tego wniosku. Skoro mam się męczyć z tymi bzdurami — widzisz, powiedziałem „bzdurami” — to mogę równie dobrze dostawać za to pieniądze. Nie chcę iść na studia. Nie mam głowy do nauki, tak jak ma ją Marcus. Czekaaj, mamó, nie przerywaj.

— Nic nie powiedziałam.

— Masz wszystko wypisane na twarzy.

— Nie da się ukryć — mruknął Marcus.

— Nie kazałam ci się czasem zamknąć? — powiedziała Dorothy.

— Tak, królowo Dorothy, wybac mi me niewczesne słowa.

Dorothy uśmiechnęła się wbrew sobie.

Spencer zaczął obgryzać paznokieć.

— Mamó, chcę iść do akademii. To właśnie chcę robić, jeśli nie uda mi się zawodowo grać w kosza.

Dorothy wytrzeszczyła oczy na młodszego syna.

— Do akademii policyjnej?

— Nie, do Exeter.

— Nie bądź bezczelny.

— Tak, do akademii policyjnej. Chcę być gliniarzem, jeśli nie wyjdzie mi z koszem.

Przez chwilę nikt nic nie mówił.

— Kawa ci stygnie, mamó — powiedział w końcu Marcus.

— Mam gdzieś swoją kawę!

— Nie krzycz — poprosił Marcus.

— Nie krzyczę, tylko głośno mówię! Spencerze Martinie Breton, nie życzę sobie, żebyś był policjantem. Stać cię na więcej.

Spencer spuścił wzrok na stół. Zadrżały mu usta.

— O co chodzi? — zapytała Dorothy.

— O nic.

— O co?

Spencer wciąż na nią nie patrzył.

— Jestem dumny z tego, co robisz. Może któregoś dnia ty też będziesz z siebie dumna, mamó.

Dorothy nie miała na to odpowiedzi.

— To nie jest mój główny wybór — ciągnął Spencer. — Przede wszystkim chcę zawodowo grać w kosza. Jeśli nie dostanę się do NBA, pojedę do Europy. Wiem, że nawet to jest mrzonką. I dlatego mam plan awaryjny. Ale wierzę w siebie. Naprawdę wierzę. Nasze liceum doszło do ligi półzawodowej. Myślę, że dam radę wprowadzić je do finału. Mój trener też tak sądzi. On też we mnie wierzy.

— Ma rację — powiedział Marcus.

— Ja też w ciebie wierzę, Spencer — powiedziała Dorothy. — Bo jesteś po prostu dobry. Dlatego możesz dostać stypendium sportowe.

— To strata czasu i pieniędzy, mamó. Niech dadzą je komuś, kto ma głowę do nauki. Bo ja nie mam. Ja tego nienawidzę!

— W dzisiejszych czasach trzeba mieć wyższe wykształcenie.

— Nie, mam, nie trzeba. Ale trzeba mieć jakiś plan, a ja mam dobry plan. I chciałbym, żebyś mnie w tym wspierała.

Dorothy milczała.

— Albo... — Spencer znów odchrząknął. — Albo, jeśli nie możesz mnie wesprzeć od razu, przynajmniej o tym pomyśl.

— To dobry układ — powiedział Marcus.

Dorothy spojrzała na niego ze złością. Potem odwróciła się do Spencera.

— Nie wiesz, w co się pakujesz. Praca policjanta to bardzo poważna sprawa. To robota ciężka, stresująca, całymi dniami i nocami nie wraca się do domu i nie ma w tym ani krzty chwały.

— Myślę, że wiem, jak to jest, mam. Nie wpadłem na to przed chwilą. Myślałem o tym od dawna. I to wszystko, co mam do powiedzenia. A teraz, jeśli pozwolisz, mam dużo nauki.

Spencer podniósł ołówek i zaczął robić jakieś obliczenia.

Marcus i Dorothy wymienili spojrzenia. Chłopak wzruszył ramionami, usiadł i zaczął czytać.

A więc teraz Spence chce być policjantem. Kolejna zachcianka jej syna.

Nastolatki zmieniały zdanie równie często, co skarpetki. Ale strzelanina sprawiła, że w Spencerze pojawiła się jakaś powaga. Miał swój plan.

Wydawał się zdecydowany. Mówił z przekonaniem i wiarą w siebie. Może wytrwałby w tym postanowieniu dłużej niż trzy dni, ale Dorothy poważnie w to powątpiewała.

Ponieważ Dorothy widziała zwłoki podziurawione kulami na miejscu zbrodni, a potem znów, wysuwane na metalowym blacie z chłodni, czuła głęboką awersję do oglądania ich po raz kolejny. Pokrojonych, rozebranych i poskładanych z powrotem -jak ludzka układanka.

Chłopak był w wieku jej syna, był jego kolegą z drużyny. Ta śmierć była dla niej ogromnym ciosem. Poprosiła patologa, żeby porozmawiał z nią i z Mickym w swoim gabinecie, a nie nad zimnym, stalowym stołem.

John Change był pięćdziesięciodwuletnim patologiem z harwardzkim wykształceniem, urodzonym i wychowanym na Tajwanie. Kiedy trzydzieści dwa lata temu składał papiery na uczelnię, uznał, że będzie miał większe szanse z anglosaskim nazwiskiem. Stąd dodane na końcu „e”. Modyfikacja ta dała początek jego całemu komediowemu repertuarowi: „Zmiany są dobre. Popatrz na mnie”⁴.

Był stałym mieszkańcem Bostonu, dobrze sobie radził w maratonie, od dwudziestu pięciu lat zachowywał ten sam wzrost i wagę. Jediną widoczną oznaką starzenia były srebrne pasma w jego gładko zaczesanych, czarnych włosach.

Laboratorium koronera i jego biuro znajdowało się w podziemiach kostnicy przy Albany, czystej, zimnej, pozbawionej okien, zalanej ostrym, białym światłem, którego słońce nie uznałoby za warte naśladowania.

Gabinet mieścił się w przestronnym pomieszczeniu, ale Change zagracił go książkami, pismami i słojami tkanek zakonserwowanych w formalinie.

Większość okazów stanowiły potwomiaki, które, jak dowiedziała się Dorothy, były dziwacznymi nowotworami łagodnymi, wyrosłymi z komórek niezróżnicowanych. Ulubione okazy Change'a zawierały włosy, kawałki kości i zęby; jeśli spojrzano się na niektóre z nich w odpowiednim oświetleniu, wyglądały jak wyszczerzone gargulce. Pośród tych anomalii stały zdjęcia ładnej żony Change'a i jego dwójki jasnookich dzieci.

Dorothy przyjechała ostatnia, ale Micky powiedział jej, że sam był zaledwie kilka minut przed nią. Wyglądał na zmęczonego, miał ten specyficzny, ściągnięty wyraz twarzy, który bierze się ze stresu, niewyspania i braku nadziei na pozytywne zakończenie sprawy. Siedział

4 *Change* (ang.) — zmiana (przyp. tłum.).

na jednym z dwóch krzeseł przed biurkiem Change'a i pił kawę z tekturowego kubka. Dorothy zabrała mu ją, napiła się i skrzywiła.

— Coś okropnego.

— Nie dałaś mi szansy, żebym cię ostrzegł. Siadaj.

Dorothy rozważała przez chwilę, czy odwiesić płaszcz, potem się rozmyśliła. W gabinecie było zimniej niż w markecie przy mrożonkach.

Kilka godzin temu zwolniono DeWeccia — powiedział McCain.

— Jaka kaucja?

— Pięćdziesiąt kawalków.

— Kto wpłacił?

— Ducaine, jak przypuszczaliśmy.

— Gdzie doktor? — spytała Dorothy.

— Przebiera się.

— Właściwie już skończyłem. — Change wszedł do gabinetu i zamknął drzwi. Miał na sobie garnitur i krawat, ale spod podwiniętych nogawek wystawały robocze chodaki na gumowej podeszwie. — Lepsze buty mam na górze. Z jasz-czurczej skóry. Cholernie ciężko wywabić z nich zapachy. Skóra bardzo dobrze je wchłania, a gadzia skóra jest chyba bardziej porowata, chociaż na zdrowy rozum powinno być odwrotnie, prawda? Nie, żebym ja cokolwiek jeszcze czuł, ale żona czuje. Dzisiaj mamy rocznicę ślubu.

— Wszystkiego dobrego — powiedział McCain.

— Ile lat? — spytała Dorothy.

— Dwadzieścia osiem.

— Długo.

— Denise ma dużo cierpliwości powiedział Change. — Pracują do późna, do tego jestem trupojadem. Za to wie, gdzie jestem i że mój zawód nie sprzyja zdradom.

Usiadł i oparł złączone ręce o blat biurka.

— Spodziewałem się znaleźć coś rutynowego. Zamiast tego znalazłem coś interesującego. Julius Van Beest wykrwawił się na śmierć, ale nie z powodu ran postrzałowych. Według mojej oceny żadna z nich nie była śmiertelna.

Change rozłożył na biurku cztery zdjęcia z polaroidu.

— To rany postrzałowe: dwie, które na siebie zachodzą, w okolicach prawej skroni, dwie dziury w ramieniu i jedna w barku. Ostatnia wyglądała na śmiertelną, dopóki nie zobaczyłem, że kula przeszła tylko

przez mięsień.

Wyłożył dwa następne zdjęcia, oba dość makabryczne. Dorothy odwróciła głowę. McCain z obrzydzeniem ściągnął usta.

— Na co patrzymy, doktorze?

— Na wnętrze klatki piersiowej pana Van Beesta. To właśnie zobaczyłem, kiedy go rozkroilem. Nie da się tam rozróżnić żadnych szczegółów anatomii, ponieważ wszystko pływa we krwi.

Change podniósł wzrok znad zdjęć.

— Kiedy oczyściłem ten obszar, mogę powiedzieć z całą pewnością, że chłopak umarł wskutek pęknięcia tętnicy podobojczykowej, w miejscu, w którym wychodzi ona z łuku aorty. Według mojej oceny przyczyną pęknięcia był tętniak, czyli, mówiąc po ludzku, osłabienie ścian naczynia krwionośnego. Ponieważ ściana jest osłabiona, zaczyna się wybrzuszać i w końcu tworzy pęcherz, woreczek, jeśli wolicie. Jak balon. A wiecie, co się dzieje, kiedy nadmuchuje się balon. Jego ścianki robią się coraz cieńsze, aż w końcu, kiedy wdmuchnie się do środka za dużo powietrza, balon pęka.

Obojgu detektywom odjęło mowę.

— Jak do tego doszło? — spytał w końcu McCain. — Do tego tętniaka?

— Zazwyczaj jest to schorzenie długotrwałe. Ale można założyć, że sanitariusze spowodowali niechcący pęknięcie tętnicy przy próbie masażu serca. Jak w greckiej tragedii, kiedy się nad tym zastanowić.

Dorothy nie była w stanie wykrztusić słowa.

— Z waszego punktu widzenia — ciągnął Change — ważne jest to, że

być może nie będziecie mogli oskarżyć waszego podejrzanego o

morderstwo z premedytacją. Tylko o usiłowanie morderstwa, bo rany

postrzałowe nie były bezpośrednią przyczyną śmierci.

— Ale... — Dorothy odchrząknęła. — Po co sanitariusze robiliby masaż serca, jeżeli jeszcze żył?

McCain podchwycił pytanie.

— Właśnie, wstrząs po postrzale zatrzymał serce. A więc mamy

bezpośredni związek z Delvecciem, prawda, doktorze?

— Serce musiało się zatrzymać — powtórzyła z naciskiem Dorothy.

— To jakaś myśl — przyznał Change. — Mimo to obrona mogłaby twierdzić, że rany postrzałowe w połączeniu z istniejącym wcześniej uszkodzeniem aorty mogły wystarczyć, żeby drastycznie spadło ciśnienie krwi. Chłopak mógł mieć puls, ale tak słaby, że sanitariusze go przegapili.

— Ale wciąż wiąże się to jakoś z ranami postrzałowymi.

— Niestety, pani detektyw, to wszystko teoria. W rozumieniu medyczno--prawnym przyczyną śmierci nie była rana postrzałowa. Pan Van Beest zmarł z powodu pęknięcia tętnicy. A nie mamy sposobu, żeby ustalić dokładnie, kiedy do tego doszło. Obrona może nawet twierdzić, że to sanitariusze pogorszyli sytuację, że bez nacisków na klatkę piersiową ofiara by przeżyła. Każde naciśnięcie mostka sprawiało, że ścianka rozciągała się coraz bardziej, aż w końcu pękła. To rejon tuż pod obojczykiem, niedaleko miejsca, gdzie aorta rozdziela się na tętnicę szyjną, która dostarcza krew do głowy, i tętnicę podobojczykową, dostarczającą krew do górnej części korpusu. To jedno z większych

naczyń krwionośnych, płynie nim dużo krwi.

— To bez sensu — powiedział McCain.

— Być może, ale wykracza poza wątpliwości podyktowane zdrowym rozsądkiem.

W pokoju zapadła cisza. McCain odchrząknął.

— Stres po postrzale musiał przyspieszyć bicie serca, a to z kolei musiało nadwerżyć ścianki tętniaka. Tak?

Change milczał.

— Tak czy nie, doktorze?

Change podniósł ołówek i machnął nim jak czarodziejską różdżką.

— Tak, nerwowy układ współczulny włącza się w chwilach stresu.

Jestem pewien, że w którymś momencie jego serce biło bardzo szybko.

— Czy to zwiększyłoby prawdopodobieństwo pęknięcia tętniaka?

— To spekulacja. Nie można tego wykluczyć, ale nie wiem dokładnie, jak szybko biło to serce. Obrona na pewno tego nie przeoczy. Gdybym był prawnikiem Delveccia, skoncentrowałbym się na nacisku przy masażu serca.

— Nie ma takiej możliwości, żeby pęknięcie tętnicy spowodował któryś z postrzałów? — spytała Dorothy.

Change pokręcił głową.

— W tej części ciała nie było ran postrzałowych.

— A odbita kula?

— Nie, pani detektyw.

— Julius upadł twarzą do przodu, kiedy został postrzelony —

powiedziała Dorothy. — Może tętniak pękł od uderzenia w pierś.

Change się nad tym zastanowił.

— To możliwe. Ale skoro o tym mowa, słyszałem, że na wczorajszym meczu Julius został mocno uderzony w pierś. Obrona mogłaby twierdzić, że to od tego wszystko się zaczęło.

— Byliśmy tam — powiedziała Dorothy. — Jak dla mnie został uderzony w szyję.

— Przy takim faulu ręka uderzyła go prawdopodobnie w twarz, szyję i pierś — nie zgodził się Change. — To musiał być silny cios, skoro przewrócił takiego potężnego mężczyznę. Słyszałem, że dłuższą chwilę nie mógł wstać.

— Wrócił na boisko i zagrał mecz swojego życia — powiedziała Dorothy.

— To nie znaczy, że nic mu się nie stało. Może faul nadwerżył ścianki tętniaka. Do tego naciski na klatkę piersiową... — Change rozłożył ręce.

— Obrona to, obrona tamto — powiedział McCain. — Może dla odmiany dalby pan coś nam?

— Chciałem was tylko ostrzec, z czym być może będziecie musieli się zmierzyć i co będzie ciekawiło prawników. Co do usiłowania zabójstwa, detektywie, macie to jak w banku. Ale nie mogę stwierdzić bez żadnych wątpliwości, że tętniak pękł przez cokolwiek, co zrobił strzelający.

— To bez sensu — powtórzył McCain.

— Za usiłowanie zabójstwa też się idzie do więzienia — odparł Change.

— To nie to samo, co zabójstwo z premedytacją — stwierdził McCain.

-W tym wypadku dostałby dożywocie bez prawa zwolnienia

warunkowego. I na to duppek zasłużył. Za strzelanie w takim klubie.

— Czy mogę do czegoś wrócić? — powiedziała Dorothy. — Powiedział pan, że to była dolegliwość długotrwała.

— Niemal na sto procent. Jeśli to był tętniak.

— Jeśli?

— Teoretycznie — powiedział Change — pęknięcie mogło nastąpić samoistnie. Ale uważam to za bardzo mało prawdopodobne i to samo powiedziałbym w sądzie.

— Mimo to nie można powiedzieć, że to niemożliwe, prawda? A czy pęknięcie samoistne nie mogło być efektem nieszczęśliwego upadku na stół po postrzale? Wtedy główną przyczyną śmierci byłby znów postrzał.

— Nie sądzę, żeby upadek na stół wystarczył.

— Ale gdyby to nie była długotrwała dolegliwość?

— A skąd mielibyśmy to wiedzieć bez poprzednich prześwietleń klatki piersiowej? — spytał Change.

Dorothy się uśmiechnęła.

— W Boston Ferris wszyscy sportowcy mają obowiązek poddawać się co rok badaniom, w tym robić sobie prześwietlenia. Wiem to od mojego własnego syna. Ponieważ Julius był w drużynie czwarty rok, oznacza to cztery zdjęcia. Tętniaka byłoby widać na prześwietleniu, tak?

Change kiwnął głową.

— Gdyby był odpowiednio duży.

— A lekarz, gdyby go zobaczył... Na pewno nie pozwoliłby Juliusowi

grać, prawda?

Change znów pokiwał głową.

— Gdyby tętniak był odpowiednio duży i gdyby ktoś go zobaczył.

Tętnica biegnie pod obojczykiem. Tętniaka mogła zasłaniać kość.

— Ale może go nie zasłaniała, a mimo to pozwolili mu grać. Grał cztery lata bez żadnych problemów.

Change wzruszył ramionami.

— Myślę, że Dorothy ma rację — powiedział McCain. — Warto by zerknąć na te prześwietlenia. Bo jeśli tętniaka nie widać, to może zasłania go kość, oczywiście. Ale może w ogóle go tam nie było. Co by znaczyło, że pęknięcie tętnicy spowodował upadek na stół, doktorze.

— Detektywie, tętnice nie pękają ot, tak sobie.

— Ale nie może mi pan powiedzieć, co się naprawdę stało ze stuprocentową pewnością?

— Mogę panu powiedzieć, że pęknięcia tętnicy nie spowodowało trafienie kulą — odparł Change. — Nie było tam przebicia spowodowanego żadną przyczyną zewnętrzną. Nie było żadnych odłamków kości. Dlatego też przyczyna śmierci musiała być idiopatyczna.

Zabiło go coś wewnątrz jego ciała, od właściwego panu Van Beestowi.

— Widzi pan, doktorze — powiedział McCain. — Chodzi mi o to, że skoro nikt niczego nie zobaczył na rentgenach, które Julius robił sobie przez cztery lata, ten tętniak musiał być zupełnie malutki. W takim razie być może udałoby się nam przekonać przysięgłych, że jego serce odmówiło posłuszeństwa podczas strzelaniny.

— A mnie się cały czas podoba teoria upadku na stół — powiedziała

Dorothy. — Tak jak pan powiedział, ciśnienie spadło mu na leb, na szyję, a serce przestało bić.

— Właśnie — przytaknął McCain.

Dorothy przysunęła się bliżej biurka patologa.

— Było już po chłopaku, zanim jeszcze dobiegli do niego sanitariusze.

Change wysłuchał ich teorii i uśmiechnął się słabo.

— Nie mogę tego potwierdzić, proszę państwa.

— Ale nie może pan też stwierdzić, że na pewno tak nie było —

powiedziała Dorothy. — A skoro na żadnym prześwietleniu nie było niczego widać...

— Najpierw prokurator musi to kupić.

— Pan się zajmie kwestiami medycznymi — powiedział McCain — a prokuratora zostawi nam.

— Nie mogę obiecać, że będę mógł powiedzieć to, co byście chcieli.

— Doktorze, niech pan robi swoje, a my swoje. Rzygać mi się chce, kiedy pomyślę, że następny bandzior ma wyjść na wolność ukarany klapssem w tyłek!

— Usiłowanie zabójstwa to nie klaps w tyłek — zaprotestował Change.

— Jeśli oskarżymy go o morderstwo z premedytacją, a potem w ramach ugody zejdziemy do usiłowania, to w porządku — powiedział McCain. -W przeciwnym razie wie pan, co będzie? Będziemy mieli usiłowanie zabójstwa. Oskarżenie z tego wykroczenie, użycie broni w miejscu publicznym i spowodowanie paniki. Za to też się idzie siedzieć,

ale nie na tyle, na ile ten drań zasłużył.

— To nieco pesymistyczny scenariusz — powiedział Change. — Ofiara została jednak postrzelona.

— A ten bydlak powie, że nie chciał nikogo trafić, że tylko się wyglupiał, że wypił trochę za dużo. Wiem, jak to zwykle z nimi bywa, doktorze. Zwłaszcza ze sportowcami. Prawnicy obstawiają ławę przysięgłych fanami. Musimy wyjść od maksimum, a potem iść na ustępstwa.

Change rozparł się w fotelu.

— To już wasze zadanie.

— Jak cholera! — McCain zapalał się do pomysłu.

— Jeśli zdobędziemy prześwietlenia — przerwała im Dorothy — będzie je pan w stanie odczytać, prawda?

— Oczywiście — powiedział Change. — Właściwie mnie zaciekawiliście.

— Przerwał. — Zdobyć prześwietlenia. Sprytne.

— To sprytna kobieta — powiedział McCain. — Dlatego ona jest detektywem, a pan lekarzem.

Jako efekt połączenia Politechniki Bostońskiej i Akademii Sztuk Pięknych Ferris, Boston Ferris była rozwiązaniem zadowalającym obie finansowo niewydolne instytucje jeszcze w latach pięćdziesiątych.

Zebrawszy podwojone fundusze, nowy zarząd Boston Ferris kupił nieczynną szkołę średnią i stworzył hybrydę na wzór nowojorskiej Cooper Union: ateński tygiel sztuk pięknych, technicznych i nauk ścisłych.

Ale był w tym haczyk. Statut Boston Ferris zobowiązywał uczelnię do obsługiwanego miejskiej części bostońskiej dychotomii miasto-akademia. Komisja rekrutacyjna robiła, co mogła, żeby wybierać swoich. To była akademia z ludzkim sercem.

Sport nie wchodził nawet do programu studiów, dopóki zarząd nie odkrył, że wielu mieszkańców miasta, wychowanych na ulicach, spędza cały swój wolny czas, rzucając piłki do kosza. Niedługo potem Boston Ferris zaczęło aktywnie ściągać do siebie sportowców i liczba przyjmowanych gwałtownie wzrosła. Uczelnia wybudowała nowoczesną salę gimnastyczną, siłownię, basen i saunę i zaczęła rozdawać dyplomy z, na przykład, elektroniki stosowanej i praktycznej obsługi sieci wodociągowych — co było po prostu wydumanym określeniem hydrauliki. Nie miało to znaczenia dla Micky'ego McCaina i Dorothy Breton. Dla nich liczył się tylko fakt, że dział opieki zdrowotnej uczelni nie zmienił się od czasów jej powstania.

Czyli trwał niezmienny od zawsze.

Dział był biurokratycznym bagnem, z którym równać się mógł tylko bostoński Departament Policji, i podobnie jak tam, każdą prośbę trzeba było składać na piśmie. Dogmatyczna głupota doprowadzała McCaina do furii. Dorothy nie znosiła tego wcale lepiej.

— To jest dochodzenie w sprawie zabójstwa — powiedziała. — Nie możemy przynieść zgody pacjenta, ponieważ on nie żyje!

Rozmawiali z Violet Smaltz, sześćdziesięcioletnią wiedźmą o zastygłej w nieprzyjemnym grymasie twarzy przypominającej papierową torebkę. Violet zmrużyła oczy i prychnęła.

— Wiem, że ten chłopak nie żyje, pani detektyw. Nawet gdyby żył, niczego by to nie zmieniło. Jeśli biuro koronera chce mieć wyniki jego badań, to niech biuro koronera napisze podanie o przesłanie wyników badań i przyśle je razem z wymaganymi dokumentami. Dokumenty medyczne przekazuje się od lekarza do lekarza.

— To jakieś pierdoły! — nie wytrzymał McCain. Violet spojrzała na niego wilkiem.

— Nie ma powodu przeklinać, detektywie McCain.

— Mógłbym załatwić nakaz...

— Więc niech go pan załatwi!

Violet skrzyżowała ramiona na piersi. Miała na sobie długą, szarą spódnicę i szary, rozpinany sweter, wiszący na jej chudych ramionach jak na wieszaku. Wyglądała jak wypłowiały strach na wróble.

Dorothy się poddała.

— Czy moglibyśmy w takim razie dostać odpowiednie formularze?

Violet nawet nie drgnęła. Wciąż wpatrywała się z niechęcią w McCaina.

— Proszę? — złamała się Dorothy. Kolejne prychnięcie.

— Chwileczkę.

— Napadanie na nią nic nie da, Micky — powiedziała Dorothy, kiedy tylko kobieta zniknęła.

— Właśnie że tak. Mnie daje bardzo dużo.

Smaltz wróciła kilka minut później.

— Proszę, tu są trzy egzemplarze. Proszę dopilnować, żeby wszystkie trzy zostały czytelnie wypełnione.

McCain wyrwał je jej z ręki.

— Założę się, że nie musiałbym się z tym męczyć, gdybym był rektorem McCallumem.

— Ale nim pan nie jest, prawda?

Kiedy wyszli na zewnątrz, Dorothy okręciła szyję szalikiem.

— Bardzo sprytnie, Micky. Kiedy tylko dostanie podanie, wywali je do kosza.

— Nie ona. To by było pogwałcenie obowiązującej procedury. Aż bym chciał jakoś to wykorzystać przeciw tej suce.

— W całym dziale medycznym prawdopodobnie tylko ona wie, gdzie co leży.

— Każdy musi kiedyś umrzeć.

— Co ja mam z tobą zrobić?

— Możesz mi pogratulować — powiedział McCain. — Właśnie sam

sobie podsunąłem pomysł. Co do rektora McCalluma, może go

poszukamy? Może on będzie mógł przyspieszyć bieg rzeczy.

— Dlaczego uważasz, że będzie chciał z nami rozmawiać?

— Nie dowiemy się, dopóki nie spróbujemy.

Próbowanie zajęło czterdzieści pięć minut pokazywania odznak i przeskakiwania od jednej zapory do drugiej. W końcu zaprowadzono ich na najwyższe, czwarte piętro centrum administracyjnego. Rektor McCallum nie miał jednej sekretarki — to był cały sztab. Dorothy naliczyła przynajmniej piętnaście boksów, w większości obsadzonych przez studentów. Prawdopodobnie odpracowujących chesne.

McCaina zaskoczyły rozmiary gabinetu rektora. Był mniejszy, niż się spodziewali. Mimo to wyposażono go we wszystkie obowiązkowe akcesoria: lśniącą, orzechową boazerię na ścianach, dobrze zaopatrzone barek, rzeźbione regały na książki i błyszczące, palisandrowe biurko. McCallum miał też własną choinkę, wysoką zieloną, stojącą w kącie pod oknem. Rozciągający się za nim widok wyglądał jak zimowa pocztówka z Nowej Anglii.

McCallum był tłustym mężczyzną o białych włosach, cerze bardziej rumianej niż u starego wilka morskiego, pokrytym siatką żyłek na kartoflanym nosie i wodnistych, niebieskich oczach. Jego obwisła twarz i wymięty garnitur świadczyły, że nie spał zbyt wiele w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin.

Witamy w klubie, pomyślał McCain. Razem z Dorothy usiedli naprzeciw mężczyzny, oddzieleni od niego szykownym biurkiem. W

gabinecie było gorąco jak w piecu. Dorothy się spociła, bo wciąż miała na sobie jesionkę. Zdjęła ją, a McCallum wskazał jej drewniany wieszak, na którym wisiał kaszmirowy, czarny płaszcz.

— Nie trzeba, proszę pana.

— To był okropny dzień — powiedział McCallum — i obawiam się, że jestem trochę wytracony z równowagi. Proszę, rozgoście się państwo. Chlubię się tym, że lepiej się czuję w towarzystwie ciężko pracujących, zwykłych ludzi niż uniwersyteckich nababów. Wychowałem się w tym mieście. Mój ojciec był dokerem, a matka harowała w fabryce. Sam ukończyłem Boston Ferris.

— Wybił się pan — powiedział McCain.

W jego głosie było sporo sarkazmu, ale McCallum nie zauważył tego albo postanowił nie zwracać na to uwagi.

— Ja to nazywam odplacaniem społeczeństwu za wiarę, jaką we mnie miało.

— To bardzo szlachetne — powiedział McCain.

Dorothy kopnęła go w kostkę.

— Co możecie mi państwo powiedzieć o dochodzeniu? — spytał rektor.

— Aresztowaliście już to zwierzę?

— Jakie zwierzę?

— Wie pan równie dobrze, jak ja. Ten chłopak to zwykły bandzior. Za to, co zrobił, zasługuje, żeby trafić za kratki.

— O kim pan mówi? — spytał McCain.

— Nie próbujemy zatajać czy omijać fakty — powiedziała Dorothy.

-Chcemy tylko się upewnić, że nadajemy na tych samych falach.

— Oraz, czy nie wie pan czegoś, czego my nie wiemy — dodał Micky.

Spojrzenie McCalluma stwardniało. Rektor splótl dlonie, oparł je o

blat

biurka i nachylił się do przodu.

— Szkoła oplakuje straszliwą stratę. Właściwie całe miasto pograżyło się w kryzysie. Czytaliście państwo poranne gazety?

— Lepiej — odparł McCain. — Wczoraj w nocy rozmawiałem z pismakami.

— A więc rozumie pan chaos, z jakim muszę sobie radzić. Cały rano rozmawiałem przez telefon z Ellen Van Beest, a w międzyczasie odbierałem telefony od szefa policji, burmistrza i gubernatora. Z tego, co zrozumiałem, legislatura przygotowuje specjalną komisję do zbadania powiązań sportowców z przestępczością. To bardzo irytujące, zwłaszcza że to wszystko bzdury!

— Przestępczość to bzdura? — spytała Dorothy.

— Oczywiście, że nie. Ale kojarzenie sportu z agresją, te wszystkie nonsensy, że kluby to pola bitew, to wszystko po prostu rozdmuchane bzdury! Dochodzi do tragedii, a media w typowy dla siebie sposób robią z igły widły. Władze zaczynają trząść portkami, że rodzice przestaną wysyłać swoje dzieci do Bostonu. A wszystko to z powodu jednorazowego wybryku.

— Jednorazowego? — spytał McCain.

— Kiedy ostatnio słyszał pan o sportowcu zastrzelonym w klubie?

— Dźgnięcie nożem Paula Pierce'a się nie liczy?

— To było pięć lat temu — odparł McCallum. — Z tego co wiem, w pełni doszedł do siebie. Gra w pierwszej lidze, na litość boską. Nie dajmy się zwieść wczorajszym wiadomościom. — Zacisnął zęby. — Mam bardzo napięty rozkład dnia. Czy mogę dla państwa zrobić coś konkretnego?

— Skoro o tym mowa... — Dorothy podała McCallumowi papiery w trzech egzemplarzach, które dała im Violet Smaltz. — Potrzebna nam karta zdrowia Juliusa Van Beesta i chcielibyśmy prosić, żeby nam to pan ułatwił.

— Co to jest? — spytał McCallum.

— Biurokracja — odparł McCain. — Z działu zdrowia. McCallum przejrzał papiery i skrzywił się.

— Po co państwu karta Juliusa?

— Jesteśmy po prostu dokładni, proszę pana — powiedziała Dorothy.

— Kto chce ją obejrzeć?

— Koroner.

— W jakim celu?

— W celu bycia dokładnym — powtórzyła Dorothy. McCallum pokręcił głową.

— To nie moja działka, pani detektyw. Jeśli koroner chce obejrzeć te dokumenty, niech złoży podanie. To standardowa procedura.

— Tak, to już wiemy — powiedział McCain. — Ale skoro to jest dochodzenie w sprawie morderstwa i wszystkim bardzo zależy, żeby je szybko zakończyć, pomyśleliśmy, że może byłby pan skłonny nam pomóc.

— Wie pan, jak to jest — dodała Dorothy. — Gazety są wiecznie głodne informacji, a my bardzo chcielibyśmy móc im powiedzieć, że Boston Ferris w pełni z nami współpracuje.

— Bo współpracujemy — powiedział McCallum. — Proszę złożyć podanie, a dostaniecie kartę.

Żadne z detektywów nie drgnęło. McCallum westchnął z obrzydzeniem.

— Dobrze. Dobrze. Zadzwonię. — Poklepał formularze. — Chociaż to nie jest właściwy sposób załatwiania tych spraw.

— Bardzo panu dziękujemy — powiedziała Dorothy. — Naprawdę to doceniamy.

— Wszyscy na tym skorzystają — dodał McCain.

— Tak, tak. — McCallum podniósł słuchawkę telefonu. — Nawet państwo nie wiecie, jaką wam robię przysługę. Jakbym miał mało zmartwień na głowie, muszę się jeszcze užerać z Yiolet Smaltz!

W towarzystwie ciężko pracujących”! — mruknął McCain pod nosem, uruchamiając silnik. — Co za dupek! Dorothy rozłożyła plik zdjęć rentgenowskich.

— Złatwił nam to, czego chcieliśmy.

— Wiesz co, jak jesteś snobem, to bądź uczciwy i zachowuj się jak snob. — McCain odkręcił ciepły nawiew na fuli. — Wtedy wszyscy zainteresowani wiedzą, na czym stoją.

— To jest Boston. Powinieneś się już do tej pory przyzwyczać — odparła Dorothy. — Najpierw byli bramini. Teraz uczelnie. Służymy w krainie pretensjonalnych jajogłowych i chronimy ich.

Zadzwoiła komórka McCaina. Wyłowił ją z kieszeni i otworzył klapkę.

— McCain... To wspaniale, pani Mathers, po prostu świetnie.

Chciałbym... Tak... Tak... Tak... Rozumiem, pani Mathers, ale jest ważnym świadkiem... Tak... Tak, rozumiem. Czy moglibyśmy przyjechać do państwa i zamienić parę słów? Obiecuję, że zachowamy pełną dyskrecję...

Halo? — Westchnął. — Rzuciła słuchawką.

— Kto?

— Rayella Mathers. Jej córka Spring żyje i ma się dobrze, przebywa w jakimś nieznanym miejscu, gdzie, cytuję, uspokaja zszarpane nerwy.

— Boi się.

— A kto by się nie bał tego oprycha?

— Którego oprycha masz na myśli? — zażartowała Dorothy.

McCain uśmiechnął się i zamyślił.

— Musisz ze mną pojechać do Mathersów. Musisz przekonać tę panią, żeby nam powiedziała, gdzie jest Spring.

— Chcesz, żebym pogadala z nią jak czarna z czarną.

— Jak jedna silna, dzielna czarna matka z drugą. Co ty na to:

podrzucimy zdjęcia Juliusa do kostnicy, a z doktorem pogadamy później.

Musimy dotrzeć do Spring, zanim zrobi to Pappy.

— Niemożliwe, żeby był aż tak głup... — zaczęła Dorothy i przerwała. —

Nieważne. Jedziemy.

Dorothy nie musiała długo naciskać, żeby Rayella Mathers podała im

„sekretny” adres swojej córki. Było to mieszkanie dalekiej kuzynki w

Rox-bury, w podzielonym na pokoje do wynajęcia domu.

Dużo tłumaczenia za to wymagało przekonanie Rayelli, żeby nie

uprzedziła swojej córki o przyjeździe policji. Nie chcieli przecież, żeby dała nogę.

Kiedy tylko dojechali na miejsce, oboje detektywi opracowali strategię

postępowania. Byli całkowicie pewni, że Spring Mathers nie otworzy im

drzwi z własnej woli, żadne z nich nie miało też dokumentów, które

pozwalaby im tego od niej zażądać. Po krótkiej dyskusji postanowili, że

Dorothy będzie udawać Rayellę, stojąc tuż poza zasięgiem wzroku z

judasza.

Spring Mathers otworzyła drzwi, zobaczyła obcych i skuliła się z

przeżeniem. Prawie udało się jej zatrzasać je przed ich nosami, ale

McCain był szybszy i zablokował drzwi barkiem.

— Tylko kilka minut, Spring. — Wepchnął się do środka i pokazał jej swoją złotą odznakę. — Przysięgam, że przyjechaliśmy ułatwić ci życie.

— To zabierajcie dupy, ale już! Wynocha! Wynocha!

Krzyczała głośno, ale Dorothy była głośniejsza.

— Jeśli my cię znaleźliśmy, dziewczyno, myślisz, że Pappy nie da rady?

Uspokój się i dziękuj Jezusowi, że przyjechaliśmy tu przed nim!

Słowa dotarły do przerażonej Spring. Cofnęła się dwa kroki, a potem skrzyżowała ramiona na piersi. Nic dziwnego, że wpadła Juliusowi w oko.

Była oszalamiająco piękna. Miała cerę barwy kawy z mlekiem, szeroko rozstawione, wielkie oczy, ponętne, czerwone usta i doskonale kości policzkowe. Szczupła, ale piersiasta, z długimi nogami i idealną pupą.

Nawet w młodości Dorothy nie miała takiej figury.

— Czego chcecie? — Tym razem Spring mówiła ochryplym szeptem.

— Chcemy wsadzić Pappy'ego Delveccia za kratki. A ty nie?

— Nie widziałam strzałów. — Po gładkich policzkach dziewczyny popłynęły łzy. — To prawda, proszę pani. Nie widziałam strzałów i nie widziałam, kto strzelał. — Rozplakała się. — Dlaczego nie możecie mnie zostawić w spokoju?

— Bo nie chcemy, żeby bydlak, który zastrzelił Juliusa, chodził wolno

— powiedział McCain.

— Jak myślisz, po kogo przyjdzie, jeśli go nie zamkniemy? — spytała Dorothy.

— Nie przyjdzie, jeśli nic nie powiem! — odpaliła Spring. — Anie nie

powiem, bo nic nie widziałam. Tylko słyszałam. Trach, trach, trach. I tyle.

Za bardzo się bałam, żeby się rozglądać i patrzeć, kto strzelał.

McCain wyjął notatnik.

— Gdzie siedziałaś?

— Obok Juliusa. Podrywał mnie, rzucał słodkie gadki. Wiedziałam, czego chce. — Wzruszyła ramionami. — Ja też chciałam.

— Dobrze ci idzie, Spring — powiedziała Dorothy. — Gdzie siedział Julius? Dziewczyna popatrzyła na nią z pogardą.

— Przy stoliku.

— Gdzie przy stoliku?

— Jak to gdzie?

— Stoliki stały przy barierce, prawda? — spytał McCain. Spring pokiwała głową.

— Siedział przodem do barierki czy tyłem? — zapytała Dorothy. Spring zmrużyła oczy, usiłując wydobyć obraz z pamięci.

— Siedział... przodem do barierki... odwrócony w stronę drzwi, żeby widzieć, kto wchodzi. A potem powiedział... powiedział: „Oho, Pappy wrócił”. Wstał. Wtedy usłyszałam strzały. Wszyscy zaczęli krzyczeć.

Ukryła twarz w dłoniach.

— Rzuciłam się na ziemię i zwinęłam w kłębek. Zaczęłam się modlić. -

Opuściła ręce i pokręciła głową. — Kiedy wszystko się skończyło, Julius leżał na stole i płynęła z niego krew.

Popatrzyła na Dorothy.

— Nie widziałam Pappy'ego ani tego, że wyciągał broń.

Dorothy próbowała ją uspokoić.

— Spring, kiedy wstałaś, zobaczyłaś Juliusa na stole. Leżał na brzuchu czy na plecach?

— Chyba na brzuchu. Upadł z łomotem. Słyszałam. Pamiętam, jak pomyślałam, że stół się rozleci pod jego ciężarem, a on zgniecie mnie na śmierć.

— A więc upadł raczej mocno — stwierdziła Dorothy.

— Tak. Upadł mocno. Ale nie widziałam, żeby ktoś do niego strzelał.

— Jeśli nie widziałaś, jak Pappy strzela, to trudno. Musisz tylko powiedzieć nam, co mówił Julius, a potem opowiedzieć, co widziałaś — powiedział McCain.

— Nic nie powiem. Boję się tego bydlaka jak cholera.

— Możemy cię ochronić...

— Gówno prawda! Policja nikogo nie chroni, zwłaszcza czarnych kobiet. -Spring spojrzała na Dorothy. — A pani obecność niczego tu nie zmienia.

— Wrócimy z nakazem, Spring — rzucił McCain.

— Najpierw będziecie musieli mnie znaleźć. Następnym razem nie pójdzie wam tak łatwo.

— Powinniśmy ją aresztować — powiedział McCain.

— Za co? — Dorothy wyjęła komórkę.

— Jest naocznym świadkiem morderstwa, istnieje ryzyko ucieczki. Do tego dochodzą wrzaski na policjantów.

— Nie widziała nic konkretnego — powiedziała Dorothy. — Kiedy

będziemy mieli Pappy'ego pod kluczem, uspokoi się. Możesz włączyć silnik i nawiew? Zmarzłam. Boże, to chyba rekordowo zimny grudzień.

— Co roku tak mówisz.

— Włącz silnik, proszę.

McCain zrobił, o co prosiła, i ustawił ogrzewanie na maksimum.

Dorothy odsłuchiwała pocztę głosową. Po kilku sekundach w samochodzie zaczęło śmierdzieć przypalaną wełną,

— Coś ważnego?

— Kapitan OToole chce nas widzieć.

— To niedobrze.

— Raczej nie.

— Nie powiedział, o co chodzi?

— Nagrała się tylko jego sekretarka, kazała przyjechać nam obojgu na drugą.

— Nie podoba mi się to.

— Ćśś... — Dorothy skupiła się na odsłuchiwaniu wiadomości. Potem się rozłączyła i zamknęła klapkę telefonu.

— Dzwonił doktor Change. Na prześwietleniach nie widać tętniaka.

— Żartujesz!

— Nie.

— A więc to dobrze, prawda? — spytał McCain.

— Mimo tego jest pewien, że Juliusa zabił tętniak.

— Jak to możliwe?

— Mogło być tak, jak mówił Change. Na prześwietleniach zasłaniała go

kość.

— Albo Julius zginął od rany postrzałowej, której Change nie zauważył.

— Nie mów tego przy nim na głos, Micky. — Dorothy spojrzała na zegarek. Była pierwsza piętnaście. — Nie zdążymy do biura koronera i z powrotem przed drugą. Powiem Change'owi, że przyjedziemy o wpół do czwartej, może o czwartej.

— Brzmi nieźle.

— Może po drodze zjemy jakiś obiad — zaproponowała Dorothy.

— Obiad — zaśmiał się McCain. — Wreszcie jakiś pomysł.

Może być o czwartej — powiedział Change przez telefon. — Jeśli się trochę spóźnię, poczekajcie na mnie państwo.

— Nie ma problemu, doktorze. Mogę zadać panu kilka pytań? — powiedziała Dorothy.

— Jeśli chodzi o te prześwietlenia, nie jestem w tej chwili w kostnicy.

— Tylko pana wrażenia.

— Wiem, o co pani zamierza zapytać. Na pierwszy rzut oka nie stwierdziłem żadnych widocznych oznak tętniaka. Ale to nie znaczy, że go tam nie było. Wciąż będę twierdził, że to najbardziej prawdopodobna przyczyna śmierci.

— Dobrze, załóżmy, że tętniak był. — Dorothy przelożyła komórkę do drugiego ucha. — Możemy założyć, że był mały?

— Może.

— A jeśli był mały, jeśli to było małe wybrzuszenie, które nie pojawiło się nawet na prześwietleniach, a Julius upadł piersią na stół, to czy możemy założyć, że takie uderzenie spowodowało pęknięcie takiego małego tętniaka... teoretycznie?

— Może poczekajmy z tą rozmową, aż spotkamy się w kostnicy? — *tsl*-proponował Change.

— Niech mi pan tylko odpowie na to jedno pytanie. Czy to możliwe, że upadek spowodował pęknięcie tętniaka?

— Wszystko jest możliwe — odparł Change. — Ale w sądzie będą

państwu potrzebne mocniejsze dowody. — Pauza. — Takie jest moje zdanie.

— Dziękuję. — Dorothy rozłączyła się i spojrzała na McCaina. — Mam ochotę na koszerne pastrami, to rumuńskie. Jesteśmy dwie przecznice od Rubinsa. Pasuje?

— W porządku — odparł McCain. — Co powiedział Change?

— Że upadek mógł być przyczyną śmierci lub nie. Jego zdaniem to zbyt niepewne, żeby iść z tym do sądu.

— Opinie są jak dziury w dupie — powiedział McCain. — Każdy ma własną.

Kapitan O'Toole zamknął drzwi do sali przesłuchań — pozbawionego okien, dusznego pomieszczenia, w którym z trudem mieścił się zwykły stół i krzesła. Podłogę pokrywała mozaika niedopasowanych, zielonych płytek; niegdyś słonecznie żółte ściany teraz nabrały koloru spłowiałej musztardy. Kapitan stopą wysunął sobie krzesło i siadł na nim odwrotnie, z brzuchem rozplaszczonym na oparciu. Był czerwony, na czole perlił mu się pot. Wyjął chustkę i porządnie otarł twarz.

Obok niego siedziała Harriet Gallway, od dziesięciu lat pracująca w biurze prokuratora okręgowego. Była drobniutka do tego stopnia, że ludzie zauważali ją tylko dzięki jej ogniście rudej burzy włosów. Miała ich mnóstwo; opadały na jej ramiona i spływały falą wzdłuż pleców. Nosila oliw-kowozielony kostium i czarne pantofle na płaskim obcasie. Jej zielone oczy rzucały iskierki, kiedy się uśmiechała. Ale teraz była poważna.

— Gorąco tu — mruknęła.

— I nie pachnie tak ładnie — dodał O'Toole. — Siadajcie wszyscy.

Dorothy i McCain spojrzeli po sobie i usiedli.

O'Toole skinął głową Harriet.

— Najpierw panie.

Harriet odchrząknęła.

— Mój szef poinformował mnie, że adwokat DeWeccia twierdzi, iż

Ju-lius zmarł z przyczyn naturalnych.

— Niezupełnie — powiedział McCain.

— Nie podoba mi się to — stwierdził O'Toole. — Co to znaczy

„niezupełnie”?

— To właśnie próbujemy ustalić, proszę pana.

— „My”, czyli kto? — spytała Harriet.

— Doktor Change — odparła Dorothy. — John Change. Myśli, że Julius

zmarł przez tętniaka, a nie od rany postrzałowej.

— Myśli? — powtórzył O'Toole.

— Myśli, więc zabagnia nam sprawę — mruknął McCain.

— Jak dotąd to jedyny wniosek — powiedziała Dorothy.

— Niedobrze — stwierdziła Harriet.

— Mimo to — ciągnęła Dorothy — strzały Delveccia mogły spowodować

pęknięcie tętniaka. Bo kiedy Julius został trafiony, upadł na stół twarzą

do przodu.

— Siła uderzenia pierśią o blat mogła uszkodzić tętniaka — uzupełnił

McCain.

— A więc strzały doprowadziły do łańcucha wydarzeń, który zakończył się śmiercią Juliusa Van Beesta — powiedziała Harriet. — Możemy z tego zrobić morderstwo z premedytacją.

— Czy tak właśnie było? — spytał OToole. — Zabił go upadek? Tak mówi Change?

— Upadek nie spowodował tętniaka — powiedziała Dorothy. — O ile to faktycznie był tętniak. Ale mógł spowodować jego pęknięcie.

— Co to znaczy „o ile to był tętniak”?

— Jak dotąd na prześwietleniach niczego nie widać — powiedziała Dorothy.

— Cała ta sprawa zaczyna podejrzanie śmierdzieć — stwierdził OToole. Harriet zaczęła się bawić kosmykiem włosów.

— A więc możliwe, że Julius nie miał tętniaka.

— Change twierdzi, że z prześwietleń nic takiego nie wynika — powiedział McCain.

— A więc jak doszedł do wniosku, że Julius zmarł przez tętniaka?

— Podczas autopsji trafił na rozerwaną tętnicę i krew zbierającą się w jamie klatki piersiowej — powiedziała Dorothy. — Szanuję Change'a, ale zastanawiam się, czy nie przeoczył czasem rany po kuli.

— Twierdzicie, że Change spierdolił sprawę? — spytał OToole.

— Nikt nie jest doskonały — odparł na pół szeptem McCain.

Kapitan zrobił się jeszcze bardziej czerwony.

— Mamy się z nim spotkać za godzinę — wtrąciła Dorothy. — Dowiemy się wszystkiego ze szczegółami.

— Odwołajcie to spotkanie — warknął OToole. — Mamy ważniejsze rzeczy na głowie. Po pierwsze, w stosie skonfiskowanej broni znaleźliśmy pistolet, z którego zastrzelono Juliusa. Po drugie, był na nim kawałek odcisku prawego kciuka Delveccia.

Dorothy i McCain się uśmiechnęli.

— Zamykamy go? — spytała Dorothy.

— Już zamknęliśmy. Zła wiadomość to taka, że nasi świadkowie, którzy twierdzili, że widzieli, jak Pappy wyciąga broń, odwołali zeznania. Ale mając odcisk palca, wiemy, że dupek miał w rękach broń. I wiemy, że zastrzelono z niej Juliusa.

— Przysięgli będą chyba w stanie dodać dwa do dwóch — powiedziała Dorothy.

— Ale jeśli mam dowieść, że to było morderstwo z premedytacją — wtrąciła Harriet — muszę mieć pewność, że zastrzelenie Juliusa było zamierzonym, bezpośrednim czynem popełnionym przez oskarżonego. A wy mi mówicie, że tego nie wiemy.

OToole popatrzył groźnie na detektywów.

— To pytanie do Change'a — powiedział McCain. — Ale w międzyczasie...

— Problem wygląda następująco — przerwała mu Harriet. — Jeśli oskarżymy Pappy'ego o usiłowanie zabójstwa, zamiast o morderstwo, jego adwokat zorientuje się, że nie możemy udowodnić, że Julius zginął wskutek postrzału. W ten sposób dostarczymy mu amunicji do obalenia nawet tego zarzutu.

— A więc co mamy zrobić? — spytała Dorothy.

— Macie spróbować przestraszyć go zarzutem morderstwa z premedytacją— powiedziała prokurator. — Wtedy prawdopodobnie uda nam się stargować do usiłowania zabójstwa. W przeciwnym razie sprawa zejdzie do jakiegoś drobnego zarzutu.

— To chyba jakiś żart! — powiedział McCain. — Celował do Juliusa, miał w rękach tę cholerną spluwę, a kule trafiły w cel.

— Ale niekoniecznie ze skutkiem śmiertelnym, detektywie. A jeśli nie znajdziemy kogoś, kto widział, jak Pappy strzelał, będzie nam brakowało jednego ogniwa w tym łańcuchu. A Pappy potrafi być bardzo uroczy, kiedy chce -powiedziała Harriet. — Jeśli na ławie przysięgłych znajdzie się kilku fanów kosza, może jedna czy dwie mdlejące kobiety, będziemy mieli kłopoty.

W pomieszczeniu zaległa cisza. McCain odezwał się pierwszy.

— A może tak: na zdjęciach rentgenowskich nie ma jednoznacznych śladów tętniaka. A więc w tej konkretnej chwili nie wiem, co zabiło Juliusa. Czyli mogę powiedzieć Delvecciowi, że to była jego kula.

Wzruszył ramionami. — Co tam, Sąd Najwyższy powiedział jasno, że wolno mi oszukiwać, prawda? Dajcie mi go, popracuję nad nim.

— Już zażądał prawnika — odparła Harriet. — Kiedy aresztowano go po raz pierwszy.

— Nie słyszałem, żeby dzisiaj żądał orawnika.

— To nie ma znaczenia — powie Harriet. — Skoro już raz...

— Chyba, że z własnej woli postanowi ze mną porozmawiać —

przerwał jej McCain. — Jak facet z facetem.

— Dlaczego, u diabła, miałby to robić? — zapytał O'Toole. McCain się uśmiechnął.

— Wie pan, kapitanie, kiedy chcę, potrafię być bardzo ujmujący.

McCain popatrzył przez weneckie lustro na Patricka Luthera

Delvec-cia, potężnego, barczystego mężczyznę, jeszcze niedawno

nastolatka. Rozpuszczony dzieciak w olbrzymim ciele. To właśnie

sprawiało, że był taki groźny. Ubrany był swobodnie w dżinsy i bluzę. Na

nogach miał sportowe buty — modne, niebieskie — rozmiar chyba

pięćdziesiąt pięć. Usta zaciskał w nadąsanym grymasie i bezustannie się

poruszał: bębnił palcami w stół, tupał, kiwał głową do jakiegoś

wewnętrznego rytmu. Mimo to sprawiał wrażenie zrelaksowanego, jakby

perspektywa czekającej go celi była czymś na miarę wakacyjnego wyjazdu

na obóz. McCain oblizal wargi i wszedł do sali przesłuchań.

— Cześć, Pappy.

Delveccio popatrzył na niego spode łba.

— Nie gadam z tobą.

— Dlaczego nie? Jestem aż taki brzydki?

— Tak, jesteś aż taki brzydki. Ale nie gadam z tobą bo nie gadam z

psami.

— Prędzej czy później będziesz musiał z nami pogadać. Pomyślałem

sobie, że jak będziemy tylko my dwaj, wiesz, jeden na jednego, to będzie

prościej.

Delveccio się roześmiał.

— Pierdol się.

McCain pogroził mu palcem. V^

— Tak, o tym też się myśli, kiedy igła wbija się w żyłę.

Delveccio prychnął.

— W Massachusetts nie ma kary śmierci. A poza tym oskarżą mnie tylko o wykroczenie, czy coś takiego.

— Kto ci tak powiedział?

— Wszyscy.

— No — powiedział McCain, siadając na krześle i mrugając do chłopaka — co do igły masz rację, ale może sam za nią zatęsknisz, jak posiedzisz pięćdziesiąt lat w pudle. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Delveccio się roześmiał.

— Pieprzysz.

— A ty masz kłopoty, młody człowieku. Bo dzisiaj jest nowy dzień, i wiesz co, Pappy? Mamy spluwę. Mamy śliczne, wyraźne wyniki testów balistycznych, które pasują do kul wyjętych z Juliusa, i śliczny, wyraźny odcisk palca, który pasuje do ciebie. Teraz to już morderstwo pierwszego stopnia, Pappy. Zapakujemy cię w paczkę z kokardką i oddamy w ręce prokuratora okręgowego.

Delveccio wydał wargi, ale nic nie powiedział. McCain postanowił go wyczekać. W końcu:

— Julius nie zginął od postrzału. Nic na mnie nie macie.

— Tak ci powiedzieli? — McCain pokręcił głową. — Każdy coś mówi, a potem wszystko się zmienia.

Teraz to on się zaśmiał.

Delveccio próbował zachować spokój, ale młodzieńcza porywczosć nie dała się opanować.

— Co cię tak, kurwa, śmieszy?

— Nic — powiedział McCain. — Nie mam do ciebie pretensji, Pappy.

Większość sportowców w sali sądowej radzi sobie bardzo dobrze.

Wszystkie te mdlejące dziewczyny i tak dalej. — Przerwał. — Ale z drugiej strony, większość sportowców nie zostawia odcisków palców na dymiącym pistolecie. Większość sportowców nie zabija swoich kolegów.

Ludzie lubili Juliusa. Może bardziej niż ciebie.

— To nie ma znaczenia, bo nie zabiła go kula.

— Cały czas to sobie powtarzasz, Pappy. Może w końcu kogoś przekonasz. — McCain wstał. — Fajnie się gadało. Powodzenia z prawnikiem.

Ruszył do drzwi.

— Hej! — krzyknął Pappy.

McCain się odwrócił, ale nic nie powiedział.

— Kłamiesz — rzucił chłopak.

McCain zaczął się obracać w stronę drzwi.

— O co ci chodzi, człowieku? — powiedział Pappy. — Co wiesz?

— Przykro mi — odparł McCain. — Nie mogę ci nic powiedzieć bez twojego prawnika.

— Jebać prawnika. Co chcesz powiedzieć?

McCain przekrzywił głowę i wsunął ręce do kieszeni.

— Dlaczego mam ci coś mówić, skoro ty nie chcesz nic powiedzieć

mnie?

— Bo... — Delveccio wydał wargi. — Bo mnie wrabiasz. A ja nie gram w takie gierki. Tak, zaczekam na prawnika.

— Słuszna decyzja — powiedział McCain. — Mam nadzieję, że to nie jest jeden z tych, co próbują zrobić karierę na cudzym nieszczęściu.

Ruszył do wyjścia. Miał już rękę na klamce, kiedy Delveccio się odezwał.

— Może mogę wam coś dać. Bo nic nie zrobiłem. I taka jest prawda.

McCain stał plecami do chłopaka.

— Słyszysz mnie?

Micky znów się odwrócił, spojrział chłopakowi w oczy. Zobaczył, że coś w nich błyska. Pappy oblizal usta, potem kępkę zarostu pod nimi.

— Słucham.

— Siadaj — rzucił chłopak rozkazującym tonem. Był przyzwyczajony do wydawania poleceń. — Nie lubią, jak ktoś nade mną stoi.

McCain usiadł.

— Zrobimy tak — powiedział Delveccio. — Nie powiem nic o tym, co się stało w klubie. Nie jestem głupi.

Nachylił się nad stołem. Daleko. McCain w pierwszym odruchu chciał się odsunąć, ale wytrzymał. Czekał.

— To, co powiem, nie ma nic wspólnego z Juliusem — ciągnął chłopak.

— Chodzi o coś innego.

— Słucham. — McCain starał się panować nad głosem. Nie było to

łatwe sam na sam z twarzą olbrzymiego, wykrzywionego bandziora tuż przed nosem.

Powiedz, co wy mi dacie — powiedział Delveccio.

— Nie mogę tego zrobić, dopóki się nie dowiem, o czym rozmawiamy,

Pappy.

— Człowieku, wręczasz mnie.

— Wiesz co, Pappy? Uchyl rąbka tajemnicy.

Delveccio opadł na oparcie krzesła i skrzyżował ręce na piersi.

— Mogę wiedzieć, gdzie się ukrywa pewien człowiek, którego szukacie.

— Czyżby? — Głos McCaina pozostał spokojny, ale jego mózg pracował na najwyższych obrotach.

— Nie wiem nic na sto procent — powiedział Delveccio — ale słyszałem różne pogłoski.

— Mów dalej.

— Nie pójdę siedzieć, jasne?

— To niemożliwe, Pappy.

— Dobra... W takim razie minimalny wyrok. Pół roku za nieostrożne obchodzenie się z bronią, czy coś takiego. W miejskim areszcie, na to idę.

Już tam siedziałem, kiedy miałem czternaście lat.

— Naprawdę?

— Aha. — Pappy wyszczerzył się w uśmiechu. — Pobitem się z paroma kolejami. Dawno temu. Rejestr młodocianych już się przedawnił.

— Tak jak powinien.

— Trzy miesiące — rzucił Pappy. — Żebyś zdążył na sezon.

— Tamten chłopak nie żyje, Pappy. To poważna sprawa, muszę być z tobą szczery. Ale nie twierdzę, że się nie dogadamy, jeśli tylko dasz mi coś konkretnego.

— Uwierz mi, to coś bardzo porządnego.

— Posłuchaj, Pappy. Zrobię, co będą mógł. O czym rozmawiamy?

Delveccio się wyszczerzył.

— Szukacie kogoś, prawda? — Cmoknął kilka razy. — Pana Amanta. I

to wszystko, co powiem, dopóki się nie dogadamy.

McCain patrzył na niego bez słowa. Szukacie kogoś. Amant.

Ten bydlak mówił o wielokrotnym mordercy, ściganym listem

gończym w Perciville, w Tennessee. Ten bydlak mówił o Romeo Fritcie.

O wpół do dziesiątej Pappy i Amant siedzieli już obaj za kratkami.

Następnego dnia Romeo Fritt miał pojechać z powrotem do Tennessee, gdzie mógł dostać igłę. A Delveccia czekała podróż autobusem do więzienia.

Prawnicy Pappy'ego, kiedy dowiedzieli się o jego rozmowie z McCai-nem, dostali ataku szału. Grozili i krzyczeli, aż w końcu zdali sobie sprawę, że chłopak wytargował sobie dobry układ. Po trzech godzinach zmagañ z Harriet oskarżono go o nieumyślne spowodowanie śmierci. Ponieważ został wykreślony z rejestru młodocianych, nie było mowy o recydywie. Za kilka sezonów mógł wrócić na boisko.

Dorothy i McCaina nie zachwycało takie zakończenie sprawy. Ale Change wciąż uparcie twierdził, że przyczyną zgonu był tętniak i że niemożliwością

było

utrzymanie

oskarżenia

o

morderstwo

z

premedytacją.

Nawet usiłowanie zabójstwa nie dawało się łatwo obronić.

— To Boston — powiedział McCain. — Trzeba wiedzieć, na ile można

sobie pozwolić. Moim zdaniem poszło nam całkiem nieźle.

Dorothy owinęła się szczelniej płaszczem. Znad zatoki wiał zimny, przenikliwy wiatr. Niebo było ciemne i czyste. Nie padał śnieg, ale przez to mróz był ostrzejszy.

— Dla Ellen Van Beest to nie będzie w porządku — powiedziała, szcękając zębami.

McCain owinął szalikiem usta i nos.

— Pappy pójdzie siedzieć, a my zwinęliśmy jeszcze gorszego mordercę.

— Nie rozumiem, co mówisz.

McCain ściągnął szalik z ust i powtórzył.

— Ogólnie rzecz biorąc, nie jest tak znów źle, prawda?

— Aha... To może ty odbierzesz telefon od Ellen?

McCain przez chwilę milczał, wyciągając z kieszeni kluczyki do samochodu.

— Jedźmy na obiad. Umieram z głodu.

— Chcę wrócić do domu, do chłopców.

— Weźmy ich ze sobą. Ja stawiam. Chodzi mi po głowie homar. Co powiesz na Legal?

Dorothy nie była w stanie odmówić.

— Wiesz, ja też jestem głodna. Zadzwonię do chłopców i umówimy się na miście.

— Brzmi świetnie.

McCain otworzył drzwi samochodu. Trząśnięcie, włączając zapłon i ogrzewanie. Minęło kilka minut, zanim powietrze ogrzało się na tyle, by

można było nim oddychać.

— Na początku nie podobał mi się pomysł świąt na Florydzie. Wiesz, co sędzę o Florydzie. Ale teraz, kiedy wymarzęm i nie wysypiałem się przez ostatnie parę dni, Floryda brzmi kusząco.

— Zabierz mnie ze sobą.

— Proszę bardzo.

Dorothy wyłowila telefon z przepastnej kieszeni płaszcza. Spojrzała na wyświetlacz i przeczytała SMS.

— Zapomnij o homarze. Change chce się z nami natychmiast widzieć.

McCain jęknął.

— Już po wszystkim.

— Najwyraźniej nie. Mam olać szefa trupojadów?

— Tak — powiedział McCain. — Nie. — Zabrał jej telefon. —

Oddzwonisz do niego, tyle że po obiedzie.

W laboratorium w piwnicy było ciemno, dopóki Change nie włączył jarzeniówek. Lamy pod sufitem zamigotały po kolei, aż całe pomieszczenie zalał ich ostry blask. Kiedy oczy Dorothy już się do niego przyzwyczaiły, zdjęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku. Potem zmieniła zdanie i włożyła go z powrotem. W piwnicy było zimno jak w igloo.

— Dobry wieczór — powiedział Change.

— Niech mi pan tylko nie mówi, że Julius zginął od kuli. Pappy wytargował niższy wyrok.

— Nie, nie zginął od kuli. — Change włączył naścienny podświetlacz zdjęć rentgenowskich, a potem zajrzał do kilku szarych, dużych kopert.

-Przepraszam za ziąb. To nie powinno potrwać długo.

— A więc dlaczego nie możemy poczekać z tym do rana? — powiedział z niezadowolaniem McCain.

— Pomyślałem, że będziecie to państwo chcieli zobaczyć — odparł Change. — Możliwe, że zmienicie potem swój jutrzejszy rozkład dnia.

— Więc niech nam pan to pokaże jutro — mruknął McCain. Dorothy szturchnęła go łokciem w bok.

— Co to takiego, doktorze?

— Proszę. — Change wyjął duże zdjęcie z koperty i umieścił je na pod-świetlaczu.

— Prześwietlenie klatki piersiowej — powiedział McCain.

— Właśnie.

— Znalazł pan tętniaka? — spytała Dorothy.

— Nie. Ale teraz jestem jeszcze bardziej przekonany, że na to właśnie zmarł Julius. — Change podniósł wskaźnik. — Powinien być mniej więcej tu. Widzicie państwo tę szarą plamę, ten łuk? Tutaj aorta rozdziela się na tętnicę podobojczykową i szyjną.

— Widzę tylko jakieś żebra — gderał McCain.

— Za chwilę do tego dojdziemy — odparł Change. — Na tym zdjęciu nie ma nic anatomicznie podejrzanego. Wszystko wygląda normalnie... Nie, przepraszam: wszystko wygląda normalnie, jeśli chodzi o naczynia krwionośne. — Odwrócił się do McCain. — Skoro zwrócił już pan uwagę na żebra, przyjrzymy się zębom. Ogółem jest ich dwanaście.

— Ja widzę o wiele więcej niż dwanaście — stwierdził McCain.

— To dlatego, że widzi je pan podwójnie. Dziesięć żeber jest przymocowanych. Wyrastają z kręgosłupa, okrążają klatkę piersiową i łączą się z mostkiem. — Doktor pokazał to wskaźnikiem. — Ponieważ obraz jest dwuwymiarowy, widzi pan każde z tych żeber w części przedniej i tylnej.

— Jasne — powiedział McCain. — Niech pan mówi dalej.

— Tutaj mamy coś, co nazywamy żebrami wolnymi. To te wypustki z obu stron kręgosłupa, które wyglądają, jakby wisiały luzem.

— I to nie jest normalne? — spytała Dorothy.

— Nie, to zupełnie normalne. Proszę słuchać. — Znow wskazał żebra.

-Dwunaste żebro widać wyraźnie, nic go nie zasłania. Jedenaste na tym zdjęciu jest trochę krótsze niż normalnie, co znaczy, że jego końcówkę zasłania częściowo klatka piersiowa, konkretnie łuk dziesiątego. Ale jeśli przyjrzy się państwo uważnie temu, co tu pokazuję, powiedzcie, co widzicie. Detektywi wpatrzyli się w zdjęcie.

— Coś jakby rozszczepienie — powiedział McCain.

— Tak, tak — dodała Dorothy. — Widzę.

— To nie jest „coś jakby rozszczepienie” — oznajmił Change. — To po prostu rozszczepienie. Nazywa się to żebrzem nadliczbowym, w tym wypadku żebrzem podwójnym. Jest to przypadłość dość niespotykana, ale niekoniecznie rzadka, występuje w jednym przypadku na dwadzieścia. Odwrócił się do detektywów.

— Przeprowadziłem autopsję tego chłopca. Obejrzałem go dokładnie od środka. Dodatkowe żebro nie ma nic wspólnego ze śmiercią Juliusa.

Ale nie ma też nic wspólnego z samym Juliusem. To prześwietlenie nie

przedstawia

ciała,

które

kroilem.

Ciało,

którego

autopsję

przeprowadzałem, nie miało, powtarzam: nie miało nadliczbowego

zębra. Byłoby to wyraźnie widać, a ja bym to zauważył. Dla pewności

jednak jeszcze raz to sprawdziłem.

Oczy Change'a rozgorzały. Detektywi widzieli to u niego po raz

pierwszy.

— To nie jest prześwietlenie Juliusa — stwierdziła Dorothy.

— To państwo jesteście detektywami — powiedział Change. —

Powinniście dowiedzieć się, co się tu dzieje.

Zapadła cisza.

Koroner postukał zdjęcie swoim wskaźnikiem.

— Na państwa miejscu przejrzalbym wszystkie wyniki badań Juliusa,

nie tylko te z ostatniego roku.

— Dali panu tylko jedno? — spytała Dorothy.

— Tylko tyle przysłała mi szkoła. Wtedy uznałem, że tyle wystarczy.

Potrzebne nam było najświeższe zdjęcie, żeby stwierdzić, czy tętniak

występował. Julius nie był na pierwszym roku, prawda?

Dorothy pokiwała głową.

— A więc dział zdrowia Boston Ferris powinien mieć inne prześwietlenia jego klatki piersiowej. Wróćcie do nich państwo i spróbujcie znaleźć inne zdjęcia, przynajmniej jedno, które naprawdę przedstawia Juliusa.

Zdjął zdjęcie z podświetlacza i schował je z powrotem do koperty.

— Zatrzymam to u siebie.

— Boże drogi, wiesz, co to znaczy, Dorothy? — zawołał McCain. — To znaczy, że musimy wrócić do Boston Ferris i znów użerać się z Violet Smaltz!

— Ta kobieta jest po prostu niemożliwa — powiedziała Dorothy. —

Będzie nam rzucać kłody pod nogi, nie dlatego, że ma coś do ukrycia, tylko dlatego, że uwielbia zarzucać ludzi papierami.

— Znam ten typ — powiedział Change. — Wiecie państwo co, pojedę z wami. Może to coś przyspieszy.

— Pomogłoby też wtajemniczenie w tę sprawę rektora McCalluma -dodała Dorothy.

— Lepiej, żeby nam pomógł — powiedział McCain. — W tej cholernej szkole coś jest mocno nie tak.

O ósmej rano campus był ciemny od ciężkiego, wilgotnego nieba.

Gdzieś za cynowoszarą mgłą było słońce, które próbowało przebić się ze swoimi promieniami, dając trochę światła, ale nie grzejąc. Ścieżki wijące się przez teren uczelni były wciąż śliskie od lodu. Pod butami McCaina chrzęścił żwir. Nos zdrętwiał mu z zimna. On, Dorothy i Change musieli się bardzo starać, żeby dotrzymać kroku rektorowi McCallumowi.

— Jestem pewien, że to przeoczenie. — McCallum owinał się szczelnie płaszczem. — Zwykła pomyłka. — W jego głosie brakowało wiary we własne słowa. — Takie rzeczy się zdarzają, sami państwo wiecie. Pomyłki w szpitalach.

— Ta była śmiertelna w skutkach. — McCain dzwonił zębami. — Żaden lekarz przy zdrowych zmysłach nie pozwoliłby Juliusowi Van Beestowi grać z zaawansowanym tętniakiem.

McCallum nachmurzył się i otworzył podwójne szklane drzwi centrum zdrowia, wpuszczając całą trójkę do środka. Poczekalnia była pełna czer-wononosych,

marnie

wyglądających

studentów,

kaszlących,

kichających, osłabionych i dygoczących. Pielęgniarki przywitały

McCalluma z zaskoczeniem i szacunkiem. Rektor minął je bez słowa i

wpadł do archiwum, gdzie Violet Smaltz modliła się nad swoimi papierami.

Podniosła wzrok znad biurka i omiotła nim twarze przybyłych. Potem wstała, usiłując stłumić zirytowane prychnięcie.

— Rektorze McCallum.

— Proszą mi przynieść wszystkie wyniki badań Juliusa Van Beesta.

Archiwistce opadła szczęka.

— Proszę pana, to nie jest standardowa procedura. Muszę mieć zgodę...

— Ten chłopak nie żyje! — wrzasnął McCallum. — Proszę mi przynieść te dane, ale już!

Violet przygryzła wargę.

— To chwilę potrwa.

— A więc niech pani nie marnuje czasu! — Rektor zagryzł paznokiec kciuka. Złagodniał. — To niezwykle ważne, Violet. Stawką jest reputacja uczelni.

Smaltz kiwnęła poważnie głową i zniknęła za stosami teczek.

McCallum roztarł dłonie.

— Jest pan całkowicie pewien, doktorze Change, że zdjęcie, które pan oglądał, nie przedstawiało Juliusa Van Beesta?

— Na sto procent.

— W takim razie musimy poczekać i... — McCallum ucichł.

Nikt się nie odzywał, dopóki Violet nie wróciła z teczkami.

— To wszystko. — Podalała dokumenty rektorowi, który z kolei

przekazał je Change'owi.

Koroner wyjął prześwietlenia klatki piersiowej.

— Macie tu państwo podświetlacz?

— Oczywiście — powiedziała Violet. — To nie szpital polowy.

Zaprowadziła ich do pustego gabinetu i włączyła podświetlacz. Change

przypiął do niego zdjęcia i przejrzał je. Pierwszy odezwał się McCain.

— Żebro dalej jest rozdwojone.

— Tak — powiedział Change. — Żadne z tych zdjęć nie przedstawia

Juliusa.

— Skąd ta pewność? — rzucił wyzywająco McCallum. — A może

przeszedł operację usunięcia dodatkowego żebra?

Change zastanowił się nad tym pytaniem.

— Kiedy ma być pochowany?

— Został pochowany wczoraj — powiedziała Dorothy.

— Wypiszę polecenie ekshumowania zwłok.

— Doktorze — powiedziała Dorothy. — Może zanim zaczniemy

wykopywać z ziemi zmarłych, zastanówmy się. Pierwsza sprawa: czy jest

pan pewien, że Juliusa zabił tętniak?

— Postawiłbym całą swoją reputację, że ten chłopiec cierpiał na jakąś

długotrwałą anomalię naczynia krwionośnego. I nie widzę powodu, dla

którego miałby przechodzić operację usunięcia nadliczbowego żebra.

Właściwie jestem nawet pewien, że jej nie przeszedł, nie miał żadnych

wskazujących na to bliźn. Te zdjęcia nie przedstawiają Juliusa Van

Beesta.

— Nie wiem, czy przedstawiają Juliusa, czy nie — powiedziała Violet.

-Ale mogę panu powiedzieć jedno. Żadnego z nich nie zrobiono na terenie uczelni.

Obróciły się w jej stronę cztery pary oczu. Violet wskazała oznaczenia na dole zdjęcia.

— Tu jest napisane „Professional Urban Imaging”. Nigdy nawet nie słyszałam o tym laboratorium. Moim zdaniem to jakaś chałtura.

McCain odwrócił się do rektora.

— Czy większość sportowców robi sobie prześwietlenia klatki piersiowej na uczelni?

— Dlaczego pyta pan jego! — prychnęła Violet. — Ja znam odpowiedź.

McCain zaczekał.

— Odpowiedź brzmi: tak. Badania robi się zazwyczaj na dwa tygodnie przed rozpoczęciem semestru. Osobiście nadzoruję archiwizację wyników.

Raz zostawiłam to jednemu z podwładnych i narobił okropnego bałaganu.

— Na pewno sprzątała go pani godzinami — przyciął jej McCain.

Violet zgasła go wzrokiem, ale powściągnęła język.

— Nie dość, że te zdjęcia zrobiono poza campusem, to jeszcze zrobiono je za późno. Proszę spojrzeć na datę: miesiąc po rozpoczęciu semestru.

To wbrew zasadom.

Dorothy odwróciła się do Change'a.

— Mówi pan, że żaden doktor przy zdrowych zmysłach nie pozwoliłby

Juliusowi grać z tętniakiem.

— Zgadza się.

— A jeśli drużynowy lekarz ukrył to przed Juliusiem?

— Musiałby być psychopatą — powiedział Change.

— To absurd! — zaprotestował McCallum. — Mamy pierwszorzędnego personel i nie zamierzam tolerować takich oskar...

— Oskarżenia czy nie — przerwała mu Dorothy — zaniedbalibyśmy nasze obowiązki, gdybyśmy nie porozmawiali z lekarzem drużyny.

— Jestem pewien — dodał McCain — że przejmie się tym tak samo jak my. W końcu jest pierwszorzędny i w ogóle.

McCallum się skrzywił. Spojrzał na sufit. Rozłożył ręce.

— Nie wiem nawet, czy jest na terenie uczelni.

— Trener na pewno jest — powiedziała Dorothy. — Drużyna miała o ósmej spotkanie, żeby porozmawiać o Juliusie. Wszyscy, żadnych wyjątków. Założę się, że lekarza też to dotyczy.

— A więc na co jeszcze czekamy? — spytała Violet.

— My? — zdziwił się McCain.

— Chłopak robił sobie prześwietlenia poza uczelnią i prawdopodobnie przez to zmarł. Nie powinien był móc tego robić. Cała ta sprawa naraziła na szwank moje archiwum i mój system. Nie zamierzam tolerować takich rzeczy! — Violet porwała swój płaszcz z wieszaka. Dalej, drodzy państwo, idziemy.

Chłopcy wykonywali codzienne ćwiczenia, prawdopodobnie po to, by zachować pozory normalności. Ale po zgarbionej postawie swojego syna

Dorothy poznała, że Marcus nie potrafił się skupić, pozostali pewnie też nie. Kierował nimi trener Albert Ryan, były zawodnik Celticsów, weteran akademickiej koszykówki z dwudziestoletnim stażem. Mierzący ponad dwa metry, chudy jak tyczka i łysy Ryan był zazwyczaj spokojnym człowiekiem, teraz jednak sprawiał wrażenie sparaliżowanego przez tragedię, która się wydarzyła. Miał wyraz twarzy kapitana idącego na dno razem ze swoim statkiem. Zapytany o lekarza pokręcił głową i wskazał wysokiego, brzuchatego mężczyznę pod sześćdziesiątkę, ubranego w błękitny, kaszmirowy blezer, szare spodnie i niebieską koszulkę polo, stojącego na linii bocznej boiska.

Martin Green był chirurgiem ortopedą, specjalizującym się w medycynie sportowej. Oprócz prowadzenia prywatnej praktyki od piętnastu lat współpracował z Boston Ferris. Mówił wyraźnie i stanowczo, ale Dorothy ledwie go słyszała przez echo tupotu stóp i huk odbijanej piłki.

— Słuchajcie, może porozmawiamy gdzieś, gdzie jest trochę ciszej?

— Trenerze — powiedział McCallum. — Na dzisiaj już skończmy.

Ryan pokiwał głową i dmuchnął w gwizdek, a potem kazał chłopcom się pakować. Powoli wymaszerowali z sali gimnastycznej. Marcus pozdrowił Dorothy ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy, ale trzymał się z kolegami. McCallum zaczął tupać. Pusta sala powtarzała wszystko echem jak katedra. Julius upierał się, żeby robić sobie prześwietlenia poza uczelnią—powiedział doktor Green. — Bał się badania i chciał, żeby przeprowadzał je jego własny lekarz.

— Bał się rentgena? — spytał McCain.

— Z jego opowieści wynikało, że jego dziadek zmarł na raka po przyjęciu zbyt dużej dawki promieniowania. Julius nie ufał szkolnemu aparatowi. Że niby za bardzo świeci, czy jakiś temu podobny nonsens.

— Zupełny nonsens! — zgodziła się Violet.

— Jakiego rodzaju promieniowania doświadczył jego dziadek? — spytał McCallum.

— Podobno pracował jako asystent w uniwersyteckim laboratorium.

-Green wzruszył ramionami. — Nie udało mi się wydobyć z Juliusa całej tej historii, a to, co mi opowiedział, brzmiało dziwnie. Ale Julius był niespokojny, poza tym już załatwił sobie prześwietlenie poza uczelnią. Nie widziałem powodu, żeby się z nim kłócić.

— To wbrew regulaminowi! — wtrąciła Violet.

— Tak, wbrew — powiedział Green. — Ale nie widziałem w tym nic złego. Robił tak od czasów liceum. Zadzwońłem nawet do tamtejszego trenera i przynajmniej częściowo jego opowieść się potwierdziła. Jak większość sportowców o dużym talencie Julius miał swoje przesady i rytuały, i uznałem, że to po prostu jeden z nich. Poza tym, dopóki prześwietlenia nie wykazywały nic złego, jaka to różnica, gdzie je zrobiono?

— A więc oglądał pan zdjęcia — powiedział Change.

— Oczywiście. Przynosił mi je osobiście i oglądaliśmy je razem. — Oczy Greena pociemniały. — Czemu? O co chodzi?

— Wie pan, jaka była przyczyna śmierci Juliusa? — spytał Change.

— Został zastrzelony.

— Został postrzelony, ale zmarł wskutek pęknięcia naczynia krwionośnego, prawdopodobnie tętnicy podobojczykowej. Jestem pewien, że ten chłopak miał tętniaka, i to od dawna.

— Hola, hola — parsknął Green. — Nie widziałem tam żadnego tętniaka.

— To dlatego, że nie oglądał pan żadnych prześwietleń Juliusa — powiedziała Dorothy.

Greena zupełnie zbiło to z tropu.

— O czym pani mówi?

Dorothy spojrzała na Change'a, który wyjaśnił całą sytuację.

— Co pan próbuje powiedzieć? — przerwał mu trener Ryan. — Że to uderzenie w klatkę przez tego patalacha Durana zabiło Juliusa?

Był blady jak ściana, a po twarzy spływały mu strużki potu.

— Albert, siadaj — powiedział mu Green.

— Nie, nic mi nie jest! Chcę wiedzieć, co tu się dzieje. Mówi pan, że zabiła go gra w kosza?

— Niezupełnie — odparł Change.

— A więc co, do cholery, próbuje pan tu powiedzieć?

— Albert — powiedział ostrzegawczo McCallum. Ryan oklapł.

— Przepraszam. Moje nerwy... Rektor poklepał go po ramieniu.

— Wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. — Odwrócił się do Change'a. — Czy może nam to pan jasno wytłumaczyć, proszę?

— Żeby powiedzieć, co dokładnie spowodowało pęknięcie tętnicy,

musiałbym spekulować — powiedział patolog. — Jest jednak jasne, że Julius nie powinien był uprawiać żadnego rodzaju sportu kontaktowego. — Nie pozwoliłbym mu grać — powiedział Green — gdybym zobaczył cholernego tętniaka na cholernym prześwietleniu.

— Widzi pan, co się dzieje, kiedy się nie przestrzega zasad! — przerwała mu Violet.

Wszyscy popatrzyli na nią z irytacją, ale tym razem miała rację. Nawet McCain musiał to przyznać.

— Jeśli chłopak robił to od czasów liceum — powiedział — podmieniał prześwietlenia, to znaczy, że wiedział o swojej chorobie. A więc gdzieś w tym łańcuchu musi być zdjęcie, na którym widać tętniaka.

— Możemy się opierać tylko na tym, co mamy tutaj — stwierdził McCallum z wyraźną ulgą w głosie. — A te zdjęcia są prawidłowe, zgadza się, doktorze Change? Mieliliśmy pełne prawo sądzić, że chłopak był zdrowy.

— Zdjęcia są w porządku, ale nie przedstawiają Juliusa.

— Boże, co za koszmar! — powiedział Green.

— Detektyw McCain ma rację — oznajmiła Dorothy. — Musi gdzieś być takie zdjęcie. Pytanie brzmi, jak daleko musimy się cofnąć?

— Założę się — powiedział McCain — że jego pediatra ma zdjęcia z czasów, kiedy Julius był dzieckiem.

— Co oznacza, że powinien poinformować o tym jego matkę — zauważył Change.

— Żadna matka przy zdrowych zmysłach nie pozwoliłaby swojemu

synowi robić czegoś, co groziłoby mu śmiercią — powiedziała Dorothy.

-Jestem pewna, że Ellen o niczym nie wiedziała.

— Czy dzieci przechodzą obowiązkowe prześwietlenia klatki piersiowej? — spytał McCain.

— Nie wchodzi to w zakres zwyczajowych badań — odpowiedział Green. -Nie należy wystawiać dziecka na działanie promieniowania bez powodu. Ale przy ciężkich przypadkach krup, silnym zapaleniu oskrzeli, podejrzeniu zapalenia płuc, wtedy, oczywiście, miałby zrobione prześwietlenie.

— Pora porozmawiać z pediatrą Juliusa.

— Musimy mieć na to zgodę Ellen — powiedziała Dorothy. — Nie chcę jej w tej chwili przekazywać takich wiadomości. To dla niej wielka tragedia. -Spojrzała na lekarza drużyny. — Doktorze Green, powiedział pan, że rozmawiał z trenerem Juliusa z liceum i że tamta szkoła miała jego prześwietlenia?

Green pokiwał głową.

— Zaczniemy tam, porównajmy tamte zdjęcia z naszymi. Dowiemy się przynajmniej, czy cały czas podmieniała go ta sama osoba.

— Do której szkoły chodził? — spytał McCain.

— Do Świętego Pawła — odparł trener Ryan.

— Świętego Pawła w Newton? — spytała Dorothy.

— Tak — powiedział rektor McCallum. — Jak większość naszych studentów był tutejszy.

— Jedziemy do Newton — oznajmił McCain. — Zawsze podobały mi się

przedmieścia zimą.

Szkoła Świętego Pawła zajmowała blisko trzy hektary łagodnie nachylonych wzgórz Newton. Była typowym nowoangielskim liceum epi-skopalnym, ale tabliczka na kolonialnej kaplicy głosiła: Uczestnictwo we mszy jest dobrowolne. Wszyscy jesteśmy dziećmi Boga.

Głównym trenerem był Jim Winfield, kolejny były rezerwowym z NBA, mierzący blisko dwa metry piętnaście, z ogoloną na łyso głową, bródką i rzeźbioną twarzą masajskiego wojownika.

Czarne jest jednak piękne, pomyślała Dorothy. Jak by to było żyć z mężczyzną takiej urody?

Podobnie jak Ryan, Winfield wydawał się przybity śmiercią Juliusa.

Powiedział detektywom, że tak, pamięta telefon z Boston Ferris z zapytaniem o prześwietlenia klatki piersiowej Juliusa Van Beesta.

— Nie pamiętam, czy to był doktor Green, czy Al Ryan. Znam ich obu dość dobrze, bo przez ostatnie kilka lat często się nawzajem polecałimy, że tak powiem.

Siedzieli w jego gabinecie, bogatym, wyłożonym dębowa boazerią i pełnym gablot z trofeami. Szkoła zajmowała pierwsze miejsca w futbolu, koszykówce, bejsbolu, piłce nożnej, hokeju, tenisie, pływaniu, polo, szermierce i lacrosse. W Świętym Pawle sport traktowano bardzo poważnie.

— A o czym pan wtedy rozmawiał? — spytała Dorothy.

— Nie pamiętam dokładnie samej rozmowy, proszę pani — odparł

Win-field. — To było ponad trzy lata temu. Chcieli wiedzieć, czy Julius zawsze przynosił swoje własne prześwietlenia. Powiedziałem, że wszyscy nasi uczniowie uprawiający sport przynosili własne. Nie mamy sprzętu do robienia zdjęć rentgenowskich.

Ktoś zapukał do drzwi. Do środka wszedł potężny nastolatek, ubrany w szare flanelowe spodnie, białą koszulę, niebieski blezer i szkolny krawat. Niósł kilka dużych, szarych kopert.

Ładne ciuchy, pomyślał McCain. Lepsze niż on sam kiedykolwiek miał na sobie, wliczając w to pogrzeb jego własnego ojca.

— Aha... proszę — powiedział Winfield. — Dzięki, Tom. Jak kostka?

— Coraz lepiej, panie trenerze.

— To dobrze.

Tom uśmiechnął się i wyszedł. Winfield pokręcił głową.

— Chłopak skręcił kostkę przed ważnym meczem i mimo to zagrał.

Zwykle nadwreżenie zamieniło się w zerwane ścięgno.

— To straszne — powiedziała Dorothy. — Gdzie byli jego rodzice?

— Chyba o niczym nie wiedzieli. Te dzieciaki doprowadzają się do szaleństwa. Wszystkie chcą dostać te same stypendia i konkurencja jest zażarta. To straszne, ale takie jest życie. — Podał koperty Change'owi.

-Proszę, doktorze.

— Jestem zaskoczony, że szkoła tak długo trzymała wyniki badań

Juliu-sa — powiedział koroner.

— Trzymamy wszystko przez dziesięć lat, a potem kopiujemy na mikrofilmy. — Winfield się uśmiechnął. — W Świętym Pawle jesteśmy

mocno przywiązani do historii. Wielu naszych absolwentów staje się sławnych, a przynajmniej znanych.

Change wyjął zdjęcie z ostatniej klasy Juliusa i podniósł je do okna.

Światło nie było najlepsze, ale wystarczyło, żeby ukazać to samo podwójne żebro.

Detektywi westchnęli z frustracją.

— Wszystkie są takie same? — spytała Dorothy.

— Sprawdźmy — powiedział Change. Wyjął następne zdjęcie.

— Czego państwo szukacie? — spytał Winfield.

Change wskazał nadliczbowe żebro.

— Tego szukamy. Winfield zmrużył oczy.

— Tak... widzą. Kość jest rozwidlona. To coś znaczy?

— To znaczy, że to nie jest prześwietlenie Juliusa Van Beesta — odparł

Change.

— Co? — zdziwił się Winfield. — Nie rozumiem. Co tu się dzieje?

— Sami chcielibyśmy wiedzieć. — McCain odwrócił się do Dorothy. -Ty mu opowiedz.

Winfield słuchał. Robił coraz większe oczy, w miarę jak Dorothy streszczała mu przebieg wydarzeń ostatnich kilku dni. Kiedy skończyła, plas-nął się dłonią w policzek.

— Boże, nie miałem pojęcia.

— Najwyraźniej nikt nie miał — powiedziała Dorothy. — Dlaczego ktokolwiek miałby zakładać, że chłopak miał coś do ukrycia?

Trzecie zdjęcie było identyczne z poprzednimi. McCain westchnął z

rezygnacją.

— Wygląda na to, że będziemy musieli prześledzić historię jego badań jeszcze dalej wstecz. — Spojrzał na Winfielda. — Domyśla się pan, do kogo może należeć do zdjęcie?

— Nie mam pojęcia.

— Z kim Julius trzymał się w szkole? — spytała Dorothy.

— Był gwiazdą — powiedział Winfield. — Miał swój fanklub. —

Przerwał. -Prawdę mówiąc, byłem bardzo zadowolony, ale i trochę zaszokowany, kiedy wybrał studia zamiast NBA. Był rozrywany przez łowców talentów. Wszyscy wiedzieli, że chłopak dałby sobie radę w zawodowej koszykówce. Zawsze się dziwiłem, dlaczego nie spróbował. Teraz rozumiem, że musiał zdawać sobie sprawę, jak bardzo sport może być niebezpieczny dla jego zdrowia. Musiał też wiedzieć, że jego podstęp nie przejdzie w lidze zawodowej. Ale nawet liga akademicka... Co ten biedak sobie wyobrażał?

— Chłopak zrobił duży błąd — powiedział McCain. Zamilkł na chwilę, a potem spojrzał na trzy zdjęcia. — Panie trenerze, to jest szkoła trzyletnia czy czteroletnia?

— Czteroletnia.

Dorothy zrozumiała, o co mu chodzi.

— Gdzie jest czwarte prześwietlenie?

— Julius przeniósł się do Świętego Pawła w połowie pierwszej klasy.

— Skąd? — spytał McCain.

— Wydaje mi się, że przez dwa miesiące uczył się w domu —

powiedział Winfield. — Przedtem chodził do liceum Lancaster w

Brookline.

— Dlaczego się przeniósł?

— Daliśmy mu pełne stypendium, więc zakładałem, że właśnie dlatego.

Potem się dowiedziałem, że w Lancaster też miał pełne stypendium, więc

odpowiedź brzmi: nie wiem. Zawsze się zastanawiałem, dlaczego to

zrobił, ale... Dobrze sobie u nas radził i wszyscy się cieszyli, że go mamy.

Szło nam dobrze we wszystkich rodzajach sportu oprócz koszykówki. Z

przyjściem Juliusa zmieniło się to na lepsze.

Winfield opadł na oparcie swojego fotela i westchnął.

— Może w Lancaster wiedzieli, ale ja nie wiedziałem. — Pokręcił głową.

— To boli.

Szkoła Lancaster była fabryką kandydatów na uczelnie Ivy League.

Miała staromodne podejście do uczniów, a jej sponsorzy byli

przedstawicielami starych fortun. Liceum również było episkopalne, ale

bez wyjątków dla kogokolwiek. Uczniowską populację stanowiło w dużej

mierze siódme pokolenie tych samych rodzin, nie licząc sportowców,

których Lancaster ściągало do siebie bardzo energicznie. Na liście

szkolnych priorytetów bardzo wysoko stało zwycięstwo w dorocznym

meczu futbolu z Xavier.

I jeszcze jeden trener, kolejny emerytowany zawodowy, trzeciorzędny

koszykarz, Richard Farnsworth, mierzący metr dziewięćdziesiąt obrońca,

któremu na starość urusł brzusek, a grał sześć sezonów w ośmiu

różnych drużynach. Według swoich własnych słów był pracoholikiem i

niemal zawsze można było go zastać w jego gabinecie albo na boisku.

Gabinet miał skromny i funkcjonalny, ale podobnie jak siedziba

Winfielda pełen trofeów. Usiadł za swoim biurkiem i przeczesał dłonią siwe, kędzierzawe włosy.

— Nie marnujcie państwo czasu na przeglądanie szkolnych archiwów badań — powiedział. — Szkoła ich nie ma. Kiedy Julius nas opuścił, zabrał swoje papiery ze sobą.

— Był pewien problem — powiedział Change.

Farnsworth się skrzywił.

— Grożono mi procesem i zwolnieniem, gdybym komukolwiek o tym powiedział. Tajemnica lekarska i tak dalej.

— Chłopak nie żyje, a to jest śledztwo w sprawie morderstwa — powiedziała Dorothy.

— O czym pani mówi? — zdziwił się Farnsworth. — Juliusa zastrzelili.

Change podał mu najważniejsze fakty. Farnsworth wyglądał, jakby miał zwymiotować.

— O rany... Nie, nie, niech mi pan dalej nie opowiada! — Huknął pięścią w stół. — Boże, to obrzydliwe!

— Co pan o tym wie, proszę pana? — spytał McCain.

Farnsworth wyszarpnął pęk chusteczek higienicznych z pudełka i zamaszyście wytarł twarz.

— Niech to szlag! Jak tylko dostałem wyniki, zadzwoniłem do rodziców i powiedziałem im, że szkoła nie pozwoli chłopakowi grać w koszykówkę.

— Rozmawiał pan z Ellen Van Beest? — spytała Dorothy.

— Nie, nie. Rozmawiałem z jego ojcem... Leonem.

— Leo — poprawiła Dorothy.

— Tak. Właśnie. Leo powinien wiedzieć, że jego syn nie może grać.

Sam grał, kilka lat przede mną. — Farnsworthowi zamglili się wzrok; trener podążył spojrzeniem gdzieś w przeszłość.

— *A* więc rozmawiał pan z Leo — drażniła temat Dorothy.

— Powiedziałem mu, że musimy porozmawiać. On na to, że matka chłopaka jest w pracy, więc on przyjdzie. Wyjaśniłem mu, że Julius musi iść do specjalisty. On odparł, że natychmiast się tym zajmie. Nie miałem powodu mu nie wierzyć. W końcu to był jego syn, prawda?

Farnsworth mruknął coś pod nosem.

— Niedługo potem zabrał chłopaka ze szkoły. Powiedział, że będzie go uczył w domu, dopóki Julius nie dojdzie do siebie po zabiegu, jakiejś operacji. Pomyślałem, że to dobry pomysł. Julius nie był głupi, ale nie przyjęliśmy go na podstawie wyników egzaminów wstępnych. A więc może nauczanie w domu byłoby najlepszym rozwiązaniem, dopóki leżałby w łóżku.

— Leo zabrał prześwietlenia ze sobą — powiedziała Dorothy.

Farnsworth pokiwał głową.

— Żeby zasięgnąć opinii drugiego specjalisty. To też logiczne, prawda?

Zaklął pod nosem.

— Jakies trzy, cztery miesiące później zobaczyłem Juliusa, jak grał w meczu szkolnym w Świętym Pawle. W pierwszej chwili pomyślałem, że

musiał mieć cholernie dobrego chirurga. Żałowałem, że nie wrócił do Lancaster. Potem, kiedy to sobie przetrawiłem, doszedłem do wniosku, że to jednak dziwne, że Julius uprawia kontaktowy sport tak szybko po operacji. To nie była moja sprawa, ale do niego zadzwoniłem.

— Do kogo?

— Do Juliusa — powiedział Farnsworth. — Chyba miałem cichą nadzieję, że wróci do Lancaster, jeśli go zbajeruję. Chłopak był zimny jak lód. Powiedział, że jego dolegliwość została wyleczona. Dziękuję. Do widzenia.

Trener obliział usta.

— Coś było nie tak. Zadzwoniłem do jego starego, a on mnie obsobaczył z góry na dół, powiedział, że jak będę się wtrącał w sprawy jego syna, to narobi mi kłopotów. Powiedział, że jeśli komukolwiek o czymkolwiek opowiem, złamię tajemnicę lekarską, a on zabierze mi dzieci i dom. — Rozłożył ręce. — To nie było tak, że chłopak o niczym nie wiedział.

— Nie przyszło panu do głowy, żeby zadzwonić do jego matki? — spytała Dorothy.

— Myślałem, że chłopak mieszka z ojcem. Uznałem, że jeśli powiem o wszystkim matce, a prawo do opieki ma ojciec, uzna to za złamanie tajemnicy i pozwie mnie do sądu. — W oczach Farnswortha wezbrały łzy.

-Nie zastanawiałem się nad tym za bardzo, bo Leo był ojcem Juliusa.

Znów lupnął w stół.

— Sam nie wiem, o czym wtedy myślałem.

— Myślał pan, że Leo dba o swojego syna — powiedziała Dorothy.

Farnsworth pokiwał głową, wdzięczny za tę odpowiedź.

— Myślał pan, że żaden ojciec nie narazi rozmyślnie swojego dziecka na niebezpieczeństwo.

— Zgadza się. Od początku do końca.

— Myślał pan, że skoro Julius grał, to zdrowie pozwalało mu grać.

— Tak, tak, właśnie!

— Myślał pan właściwie — powiedziała Dorothy. — Niestety, wniosek, do jakiego pan doszedł, był mimo to błędny.

Było w pół do trzeciej po południu, a Leo Van Beest zdążył się już pogрузić głęboko w alkoholowych wspomnieniach. Cofnął się do dni, kiedy był ludzkim ferrari. Przez krótką chwilę żył szybko, niepohamowanie i niebezpiecznie elektryzująco.

Teraz stało nad nim dwoje detektywów, wspomnienia znikły, a Leo zrobiło się żal samego siebie.

Mieszkał w jednopokojowym, obitym sidingiem baraku, zaniedbanym i zapuszczonym, z połacią brudnego lodu zamiast trawnika. Na dziurawym podjeździe stał pordzewiały, zielony mercedes diesel.

W środku na podłogach leżała wytarta wykładzina, a okna zasłaniały prześcieradła. W zlewie leżały brudne zaskorupiałe naczynia, wszędzie wały się pomięte ubrania i pogniecione papiery. W salonie cuchnęło zgnilizną. Pożółkłe ściany obwieszane były czarno-białymi zdjęciami z europejskich czasów świetności Leo. Sam Leo, ubrany w podarte dresy, pił coś z kubka do kawy, wpatrzony w jego zawartość. Alkoholowy opar unosił się znad krawędzi i zasnuwał parą jego twarz.

— Nie zrobiłbym tego, gdyby sam Julius nie chciał.

— Rodzice powinni wyperswadować dzieciom złe decyzje, panie Van Beest — powiedziała Dorothy.

Leo spojrział na nią znad kubka. Przekrwione oczy usiłowały skupić się na twarzy Dorothy. Siedział, ale ona stała. Nie zamierzała nawet dotykać tej kanapy. Kto wie, co na niej wyprawiał?

— Uważa pani, że to była zła decyzja, tak? — Upił łyk zawartości kubka.

— Miałem wmówić synowi, żeby nie był kimś wielkim... kimś sławnym?

Żeby do końca życia mógł dorabiać się garbu od harówki?

— Były inne możliwości — powiedział McCain.

Leo uśmiechnął się, a potem głośno roześmiał.

— O, tak. Inne możliwości. Na przykład studia. Jakby Julius był

kujonem. — Znów się zaśmiał, ale jego śmiech był wyprany z weselości. -

Ten chłopak urodził się, aby być w ruchu... urodził się, żeby biegać,

skakać i być gwiazdą. Był koniem wyścigowym, a nie pociągowym

perszeronem. Julius był olbrzymem! Był wielki, silny, miał świetną

koordynację i talent, który Bóg daje raz w życiu. Ten chłopak był

olbrzymem nawet wśród olbrzymów. A ja miałem mu powiedzieć, żeby

dał sobie spokój?

Pokręcił przecząco głową, potem znów podniósł wzrok.

— Chcecie wiedzieć, co mi powiedział? Powiedział „Tato, wolę być

spadającą gwiazdą niż żadną. Musisz dotrzymać tajemnicy. Nie możesz

powiedzieć mamie, choćby nie wiem co! Musisz być mężczyzną, tato. I

mnie także musisz pozwolić być mężczyzną”.

— To pana definicja bycia mężczyzną? — spytał McCain. — Wiedzieć, że

za każdym razem, kiedy wchodzi na boisko, może paść trupem?

— A gliniarz nie zagląda śmierci w oczy za każdym razem, kiedy jedzie

na wezwanie?

— To było niskie zagranie — powiedziała Dorothy.

— Nie, nie rozumiecie! — oznajmił z mocą Leo. Dźgnął palcem

powietrze. — Jest pani glina, to pani zawód. Julius był koszykarzem. To był jego zawód! I niech mnie szlag, gdybym miał przeszkodzić mu w spełnieniu jego marzenia.

— Jego marzenia czy pańskiego? — spytała Dorothy.

— Teraz to już nieważne — parsknął Leo. — Bo teraz to już nie jest niczyje marzenie.

Nikt się nie odezwał.

— Wiem, co sobie wszyscy myślicie, że zabiłem swojego syna, pozwalając mu grać. Gówno prawda! Lepiej umrzeć szybko, niż umierać długo i w męczarniach, rozumiecie?

— Nie, nie rozumiemy, proszę pana — powiedziała Dorothy. — Ale to nie ma znaczenia. Gdyby Julius zmarł w liceum, aresztowałabym pana za narażenie życia swojego dziecka, może nawet za morderstwo. Ale Julius umarł trzy lata po osiągnięciu pełnoletności. Znał swój stan zdrowia i wiedział, że uprawianie sportu wiąże się z dużym niebezpieczeństwem. W którymś momencie wziął na siebie odpowiedzialność.

Leo przytaknął.

— Ma pani rację. Chłopak chciał grać, choćby nie wiem co.

— Dlatego przynosił prześwietlenia pana klatki piersiowej, zamiast swojej — powiedział McCain.

Leo nie odpowiedział.

— To były pana prześwietlenia, prawda? — spytała Dorothy.

— Mój chłopiec poprosił mnie o pomoc, a ja mu pomogłem — odparł

Leo.

Dorothy zacisnęła dłonie w pięści. Wciąż nic do niego nie docierało.

— Pomógł pan własnemu synowi przybić wieko do jego trumny, panie

Van Beest — powiedział McCain. — Ale, jak powiedziała detektyw Breton, ostatecznie to była decyzja Juliusa.

— I co teraz będzie? — spytał Leo.

— Z prawnego punktu widzenia jest pan wolny — powiedziała

Dorothy. — Ale z moralnego... — Nie dokończyła. — My już idziemy. Jeśli chce się pan z nami skontaktować w jakiegokolwiek sprawie, może mnie pan zastać pod tym numerem.

Podala mu wizytówkę.

Leo wydał wargi i wyrzucił ją.

— Po co miałbym z panią rozmawiać?

— Nigdy nic nie wiadomo — powiedział McCain.

— Czy Ellen wie, jak zginął Julius? McCain pokiwał głową.

— Wie, że zabił go tętniak.

— Ale nie zna całej historii?

— Nie widzimy powodu, żeby przysparzać jej więcej cierpień —

powiedziała Dorothy. — Nie zamierzam na pana donieść, jeśli o to się pan boi.

Leo to sobie przetrawił. Pokiwał głową i wstał z kanapy.

— Odprowadzę was.

— Nie trzeba — powiedział McCain. — Ten dom nie jest aż tak duży.

Zamknęli za sobą drzwi i w milczeniu ruszyli do samochodu, zbyt

przybici, żeby rozmawiać. Byli w połowie podjazdu, tuż za mercedesem,

kiedy usłyszeli huk wystrzału.

Sprawa trafiła na pierwsze strony „Globe” i „Heralda”. Leo żył jak śmieć, ale umarł jako bohater z pękniętym sercem. Ellen Van Beest musiała urządzić dwa pogrzeby jednego tygodnia. Potem wyjechała na dłuższy urlop do rodziny.

— Też by mi się to przydało — powiedziała Dorothy McCainowi. —

Dłuższy urlop. Właściwie przydałby mi się jakikolwiek urlop.

— Jest dopiero druga. — McCain zamknął walizkę. — Wciąż możesz zabrać chłopców i jechać ze mną na Florydę. Możemy się razem zabawić.

— Micky, święta to śnieg w koronach drzew, ogień huczący w kominku i gorący rum z przyprawami, a nie palmy i czerwone twarze.

— Robi ci się czerwona twarz?

— Tylko kiedy głupi ludzie działają mi na nerwy. McCain wyszczerzył się szeroko.

— W Miami mają rum.

Dorothy przewróciła oczami i spojrzała na zegarek. Samolot

Micky'ego miał odlecieć za godzinę. W przeciwieństwie do większości lotnisk międzynarodowy port lotniczy Logan znajdował się blisko centrum miasta, i to była jego jedyna zaleta. Mimo to drogi były oblodzone i zakorkowane jak cholera, zwłaszcza w Wigilię.

— Lepiej już chodźmy, Micky. McCain podniósł walizkę.

— Do ataku, pani detektyw.

Chociaż droga była zakorkowana, a ludzie podenerwowani, nie jechali długo. Dorothy odprowadziła Micky'ego pod terminal, a potem zawróciła

na autostradę. Jedyne, czego chciała, to wrócić do domu i uściskać dzieci.

Kiedy była trzy przecznice od domu, zaczął padać śnieg... Łagodny, prószący. Miękki, taki, który laskocze w nos i policzki, taki, że chce się wystawić język i łapać płatki. Taki, który zamienia brudny, stary Boston w malownicze, nowoangielskie miasto.

Dorothy zamrugała oczami i poczuła, że wilgotnieją jej policzki.

Zapowiadały się piękne święta. Musiała w to wierzyć.

*

Specjalne podziękowania dla Jessego Kellermana, nadzwyczajnego fotografa

PODWÓJNE ZABÓJSTWO

SANTA FE

Naszym dzieciom

Jessemu i Gabrielli Kellerman

Jonathanowi i Rachel Kessler

Hanie Kellerman

Alizie Kellerman

Santa Fe

Martwa natura

Kiedy Darrel Dwa Księżyce i Steve Katz dostali wezwanie, jedli właśnie późną kolację w Cafe Karma. Restaurację wybrał Katz. Znów. Dwa Księżyce patrzył, jak jego partner niechętnie odkłada Burrito z Niebiańską Niemodyfikowaną Jagnięcina oraz Eklektycznymi Warzywami i sięga do kieszeni po popiskujący pager. Było kilka minut po wpół do jedenastej wieczorem. Pewnie kolejny przypadek przemocy w rodzinie, typowy w południowej części miasta. Darrel i Katz pracowali w Wydziale Dochodzeń Specjalnych. Od pięciu tygodni ich służby trwały od szesnastej do drugiej w nocy. Wzywano ich do skłóconych małżeństw, ofiar pobicia przez gangi i najrozmaitszych awantur, które wszczynali pijani — a wszystko to na południe od linii St. Michaels-Mason-Dixon, dzielącej Santa Fe na dwie części i będącej czymś więcej niż tylko przypadkowym zawijaszem na mapie. Do świąt brakowało trzech tygodni, a początek grudnia zwiastował łagodną zimą, temperatura wahała się od pięciu do dziesięciu stopni. Ale kilka dni temu pogoda nagle się zepsuła: minus dziesięć w nocy. Śnieg, który spadł tego wyjątkowo suchego roku, był biały i puszysty. Mróz szczypał w twarz i dłonie. Katz i Darrel na swoich zmianach czuli się jak w

zamrażarce.

Przynajmniej dziwacy, którzy prowadzili Cafe Karma, dbali, żeby w środku było ciepło. Darrel — wysoki i dobrze zbudowany — tonął w ubraniach. Pocił się w wełnianej koszuli, krawacie, sportowej marynarce ze sztruksu (wszystko w czarnym kolorze) i ciężkich czarnych gabardynowych spodniach, uszytych przez krawca w Niemczech i odziedziczonych po ojcu. Puchową, czarną narciarską kurtkę powiesił na oparciu paskudnego ręcznie malowanego krzesła, ale marynarki nie zdjął, żeby nie pokazywać swojej przydziplowej czterdziestki piątki, którą miał w skórzanej kaburze pod pachą. Z ukryciem noszonej samowolnie niklowanej dwudziestki dwójki nie miał problemu — łaśiła się do jego nogi, bezpieczna w cholewie lewego, szytego na zamówienie kowbojskiego buta od Tony'ego Lamy.

Katz miał na sobie to, co wkładał codziennie od chwili załamania się pogody: grubą, białą-brązową koszulę na białym, bawełnianym golfie, sprane dżinsy i czarno-białe adidas do kostek. Na oparciu jego krzesła wisiała szara, myszata, wełniana kurtka — szyk rodem z „Nouwego Jorku”. Jakim cudem nie marzły mu stopy?

Dwa Księżyce popijał kawę i jadł kolację, a Katzowi wreszcie udało się wyciągnąć milczący już pager. Za ladą z ciastkami, wpatrzona w przestrzeń, stała obwieszona kolczykami kelnerka, która ich obsługiwała -czy raczej usiłowała obsługiwać. Z pustymi oczami przyjęła ich zamówienie, a potem podeszła do ekspresu do kawy, gdzie przez sześć minut pieńiła Zielony Czaj Latte Katza. Sześć i pół, dokładnie mówiąc.

Detektywi zmierzili jej czas.

**Wpatrywała się w piankę, jakby skrywała ona jakąś głęboką,
kosmiczną tajemnicę.**

**Darrel i Katz popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Dwa Księżycy
mruknął pod nosem coś na temat tego, co naprawdę gotuje się tu w
kuchni. Katz wyszczerzył się w uśmiechu, jego wielkie rude wąsy uniosły
się i opadły. W tym miesiącu narkotykami zajmowała się inna ekipa.**

Katz spojrział na numer wyświetlony na pagerze.

**— Dyspozytor — powiedział. Przez chwilę szarpał się z drugą
kieszenią, aż wy dostał z niej mały niebieski telefon komórkowy.**

**Kolejny przerwany posiłek. Dwa Księżycy jadł szybko, podczas gdy
Katz dzwonił. Zamówił najnormalniejsze danie, jakie serwowano w tym
domu wariatów: hamburgera z grzybami, domowej roboty frytki z
chipotle i pomidory w plasterkach. Wyraźnie powiedział, że nie życzy
sobie żadnych kielków, ale i tak wsadzili mu pęczek na talerz. Darrel ich
nie cierpiał -kojarzyły mu się z karmą dla bydła. Albo czymś ściągniętym z
grzebienia. Na sam ich widok robiło mu się niedobrze. Zdjął kielki
zjedzenia i owinął w serwetkę. Widząc to, Katz zabrał mu je i natychmiast
pożarł.**

**Gdyby to zależało od Katza, przychodziliby tu codziennie. Darrel
przyznawał, że jedzenie było dobre, ale atmosfera to zupełnie co innego.**

**Ze swoim krętym chodniczkiem wiodącym ku wejściu, wyłożonym
kamykami**

i

odłamkami

luster,

z

antywojennymi

petycjami

poprzypinanymi do kolorowych ścian maleńkiego przedsiionka, z

przypominającymi cele pokoikami pełnymi oparów kadzidełek i

niepasujących do siebie mebli rodem ze sklepiku ze starociami, Karma

była dokładnie tym, co ojciec Dar-rela, starszy sierżant sztabowy, nazywał

„lewacką, zasraną, oszołomską hipiserką”.

W którymś momencie ojciec się zmienił, ale sposób, w jaki wychował

syna, odcisnął swe piętno na Darrelu. Najbardziej lubił zwykle

hamburgery i zwykle frytki w politycznie neutralnym otoczeniu.

Katz dodzwonił się do dyspozytora. Dyspozytornię przeniesiono z

budynku policji Santa Fe do gmachu hrabstwa przy autostradzie 4 —

policja, straż pożarna, władze miasta, hrabstwa, wszystko razem — i

dyspozytorzy przestali mówić znajomymi głosami. Tym razem jednak

było inaczej. Katz się uśmiechnął.

— Cześć, Loretta, co jest?

Potem spowaźniał, a jego wielkie wąsy koloru miedzi opadły.

— O... tak, jasne... Gdzie?... Żartujesz. Rozłączył się.

— Zgadnij, stary.

Darrel przeżuł kęs hamburgera, połknął.

— Seryjny morderca.

— Prawie — powiedział Katz. — Zwykły morderca. Zabójstwo tępym narzędziem na Canyon.

Canyon Road było bardzo ekskluzywną ulicą na wschód od Plaża w Dzielnicy Historycznej — wąską, zadrzewioną, spokojną i po prostu ładną, pełną posiadłości za żelaznymi bramami, galerii sztuki i drogich kawiarni. Osią artystycznej sceny Santa Fe.

Darrelowi szybciej zabiło serce.

— Dom prywatny, prawda? O tej porze to nie może być galeria.

— A właśnie, że galeria, *amigo* — powiedział Katz, wstając i wślizgując się w myszată, szarą kurtkę. -1 to jeszcze jaka. Denat to Lany Olafson.

Dwa Księżycy ścisnął kierownicę dłońmi w rękawiczkach z koziej skóry. Samochód jechał Paseo de Peralta, główną ulicą okrążającą centrum miasta. Na gałęziach araukarii i krzewach jałowców leżał śnieg, ale jezdnia była czysta. Do świąt zostały trzy tygodnie i w całym mieście na dachach stały *farolitos*, rzucające wokół siebie stłumiony, sepiowy blask świec.

Drzewa

na

Plaża

jak

zwykle

obwieszono

sznurami

różnokolorowych lampek. Darrel pomyślał, że wciąż ma sporo czasu, żeby przejść się po sklepach i kupić prezenty dla Kristin i dziewczynek. O ile uda mu się zdobyć trochę wolnego.

A teraz to.

Ze wszystkich ludzi.

Lawrence Leonard Olafson spadł na Santa Fe dziesięć lat temu jak jedna z tych nagłych letnich burz, które przelamują popołudniowe niebo i sprawiają, że pustyńne powietrze naładowane jest elektrycznością.

W przeciwieństwie do letniej ulewy Olafson został na dłużej.

Syn nauczycielki i księgarza, studiował w Princeton za otrzymywane stypendium. Skończył ekonomię i historię sztuki, a potem ku zaskoczeniu wszystkich nie zbliżył się nawet do Wall Street. Zamiast tego przyjął nisko płatną posadę gońca w Sotheby's, gdzie został chłopcem na posyłki wyniosłego specjalisty od malarstwa amerykańskiego. Uczył się, co się sprzedaje, a co nie, odkrył, że kolekcjonowanie dzieł sztuki dla jednych może być chorobą, a dla innych żalosną próbą podniesienia swojego statusu społecznego. Podlizywał się, parzył kawę, poznawał właściwych ludzi i szybko piał się w górę. Po trzech latach został kierownikiem działu. Rok później wynegocjował lepszy kontrakt w Christie's, zabierając ze sobą gromadkę bogatych klientów. Jeszcze osiemnaście miesięcy i kierował już ekskluzywną galerią na górnej Madison, oprócz amerykańskich sprzedając też dzieła europejskie. Nawiązywał coraz to nowe kontakty.

Mając trzydzieści lat, posiadał już własną galerię w gmachu Fullera na Zachodniej Pięćdziesiątej Siódmej, wysoko sklepioną, subtelnie oświetloną piwnicę, w której sprzedawał Singery Sargenty, Hassamy, Friese-ke'i, Heade'y i trzeciorzędne flamandzkie martwe natury Starym Fortunom i Nieco Nowszym Fortunom Udającym Stare.

W przeciągu trzech lat dorobił się drugiej galerii: Olafson South, na Dwudziestej Pierwszej w Chelsea, której otwarciu poprzedził raut opisany w „Voice”. Muzyka Lou Reeda, zblazowani Europejczycy o zapadniętych oczach, nowobogaccy licealiści i ludzie, którzy dorobili się na firmach

internetowych, a teraz walczyli ze sobą o nowoczesne, modne obrazy.

Na obu galeriach Olafson zbił fortunę, ożenił się z prawniczką z dużej firmy, splodził dwójkę dzieci i kupił dziesięciopokojowe mieszkanie z widokiem na park, na rogu Piątej i Siedemdziesiątej Dziewiątej. I wciąż nawiązywał dalsze kontakty.

Mimo kilku wpadek.

Na przykład trzech obrazów Yosemite Alfreda Bierstadta,

sprzedanych

synowi

bankiera

z

Monachium

i

będących

najprawdopodobniej

dziełem

pośledniego

malarza,

zdaniem

ekspertów, Hermanna Herzoga. Albo niepodpisanej sceny ogrodowej

Richarda Millera, odkrytej na licytacji majątku w Indianapolis i wysłanej

następnego dnia do bogatego farmaceuty z Chicago, który pokazywał ją z

wielką pompą w swoim pentho-usie na Michigan Avenue, dopóki nie

okazało się, że obraz jest podejrzanego pochodzenia.

W ciągu minionych lat było jeszcze kilka takich przypadków, ale każdy z nich skrupulatnie ukrywano przed mediami, ponieważ kupujący nie chcieli wyjść na idiotów. Poza tym Olafson szybko zabierał obrazy i zwracał pieniądze, serdecznie przepraszając i zapewniając o swej dobrej wierze.

Wszystko szło świetnie, dopóki nie dał o sobie znać kryzys wieku średniego. Po czterdziestce każdy, kto w Nowym Jorku był kimś, przechodził przemianę duchową, rozwijającą i oczyszczającą duszę. Dlatego też mając czterdzieści osiem lat, Olafson został rozwodnikiem, odrażanym przez dzieci, niemającym swojego miejsca w życiu i gotowym do nowych podbojów. Zapraagnął spokoju. Choć za nic nie chciał opuszczać Nowego Jorku, zaczął tęsknić do czegoś, co kontrastowałoby z tamtejszym tempem życia. Hamptons już mu nie wystarczało.

Jak każdy, kto poważnie zajmował się sztuką, Olafson spędził trochę czasu w Santa Fe, zwiedzając galerie, kupując i stołując się w Geronimo. Nabył kilka drobniejszych dzieł O'Keeffe i Henninga, które po kilku dniach oddał. Rozkoszował się jedzeniem, atmosferą miasta i słońcem, ale narzekał na brak luksusowego hotelu.

Miło byłoby mieć własne lokum. Decyzję przypieczętował spadek cen na rynku nieruchomości — za jedną trzecią tego, co zapłacił dziesięć lat temu za swój apartament, teraz mógł zafundować sobie posiadłość.

Kupił więc hacjendę, dom o powierzchni pięciuset pięćdziesięciu metrów stojący na dwuhektarowej działce w Las Caminitas, na północ od Tesuque. Ogród niemal nie wymagał opieki, a z dachu rozciągał się widok

na Kolorado. Z finezją przystąpił do urządzania wszystkich trzynastu pokojów, zapelniając ściany sztuką: kilkoma dziełami mistrzów z Taos i dwoma rysunkami O'Keeffe, przywiezionymi z Connecticut, żeby ludzie mieli o czym mówić. Ogólnie rzecz biorąc, było to dla niego coś nowego, zajął się współczesnym malarstwem i rzeźbiarstwem południowego zachodu, ludźmi, którzy zapredaliby dusze za jego opiekę.

Strategicznie wybrane darowizny na rzecz odpowiednich fundacji charytatywnych w połączeniu z wystawnymi przyjęciami w jego posiadłości pozwoliły Olafsonowi umocnić swoją pozycję towarzyską.

Niecały rok później był już kimś w miejscowym świątku.

Nie przeszkadzała mu w tym również jego aparycja. Olafson od czasów liceum wiedział, że jego wzrost i stentorowy głos były darami od Boga, z których należało korzystać. Mierzący metr dziewięćdziesiąt, szczupły i barczysty, zawsze był uważany za przystojnego. Nawet teraz, kiedy z bujnej fryzury został mu tylko siwy kucyk i resztki włosów na skroniach, prezentował się całkiem nieźle. Krótko przystrzyżona, śnieżnobiała broda nadawała mu wygląd kogoś pewnego siebie. Podczas oficjalnych przyjęć krążył pośród bogaczy w swoim czarnym jedwabnym garniturze i białej jedwabnej koszuli bez kołnierzyka, spiętej pod szyją turkusową spinką, robionych na zamówienie chodakach, noszonych bez skarpet. O jego ramię wspierała się zwykle młoda brunetka; chociaż szepta-cze twierdzili, że to tylko na pokaz. Kiedy naprawdę chciał mieć towarzystwo, mówiono, Olafson wolał smukłych, młodych mężczyzn, których zatrudniał jako „ogrodników”.

Santa

Fe

zawsze

było

liberalnym

miastem

leżącym

w

konserwatywnym stanie i Olafson odnalazł się tam doskonale. Wydawał

pieniądze na rozmaite cele, niektóre bardzo popularne, inne mniej. W

ostatnim czasie zaczęły przeważać te drugie: Olafson trafił na łamy gazet,

kiedy wstąpił do zarządu stowarzyszenia ochrony środowiska o nazwie

Leśna Przystań i wytoczył serię spraw sądowych drobnym farmerom,

wypasającym swoje stada na gruntach federalnych.

To właśnie posunięcie wywołało najwięcej zjadliwych komentarzy pod

jego adresem. Gazety wydrukowały serię ściskających za serce artykułów

spod znaku: „tatko-i-mama-ledwie-wiążą-koniec-z-końcem”. Odpowiedź

Olafsona, którą wydrukowano, sprawiła, że wyszedł na człowieka

aroganckiego i pozbawionego współczucia.

Steve Katz poruszył ten temat, kiedy razem z Dwoma Księżycami

jechali na miejsce zbrodni.

— Tak, pamiętam — powiedział Darrel. — Też bym się wkurzył. Katz

się roześmiał.

— Nie masz zrozumienia dla świętości ziemi, wodzu? Darrel wskazał

widok za przednią szybą.

— Ziemia jak dla mnie wygląda całkiem nieźle, rebe. Swoje

zrozumienie zachowuję dla ludzi, którzy ciężko pracują na chleb.

— Uważasz, że Olafson nie pracował? — spytał Katz.

— Nie ma znaczenia, co o tym sądzą ja lub ty — prychnął Dwa Księżyce.

— Naszym zadaniem jest dojść, kto mu rozwalil leb.

Olafson Southwest stała na pochylej działce przy górnej Canyon, spory kawalek za Geronimo, wabiącym smakoszy aromatem i płatnym parkingiem, założonym przez miasto, żeby zarabiać na terenówkach turystów. Posiadłość była rozległa i zadrzewiona, miała żwirowe ścieżki, fontanną i ręcznie kutą miedzianą bramą. W głębi stał ceglany domek dla gości, ciemny i zamknięty — nikt nie potrafił powiedzieć Katzowi i Dwóm Księżycom, czy ktoś tam mieszka.

Galeria była podzielona na cztery skrzydła. Miała też przestronne zaplecze, pełne obrazów i rysunków na pionowych stojakach — na oko było tam kilkaset dzieł sztuki. Detektywi wrócili do sal wystawowych.

Białe gipsowe ściany, wytarte podłogi i halogenowe lampy rozmieszczone między ręcznie heblowanymi krokwiemi sufitu tworzyły dziwaczne, niby--dienne oświetlenie. Katzowi źrenice zwęziły się do tego stopnia, że zaczęły go boleć oczy. Nie było sensu przeszukiwać budynku. Główna atrakcja znajdowała się w sali numer 2. Ciało leżało tam, gdzie upadło, rozciągnięte na jasnych, sosnowych deskach podłogi.

Wielka, paskudna martwa natura.

Larry Olafson leżał na brzuchu. Prawą rękę miał podwiniętą pod

siebie, lewą wyciągniętą, z otwartą dłonią. Na palcach błyszcząły dwa pierścienie, z brylantem i szafirem, a na nadgarstku prześliczny złoty zegarek Bregueta. Zabity ubrany był w beżową wełnianą koszulę, kamizelkę z cielęcej skóry koloru masła orzechowego i czarne flanelowe spodnie. Krew splamiła wszystkie trzy części garderoby i spłynęła na podłogę. Stopy Olafsona okrywały półbuty z kozłej skórki.

Parę kroków od zwłok stała rzeźba — olbrzymia, chromowana śruba na czarnej drewnianej podstawie. Katz spojrzal na podpis: *Wytrwałość*.

Rzeźbiarz nazywał się Miles D'Angelo. Był autorem jeszcze dwóch prac: wielkiego śrubokręta i nakrętki wielkości opony ciężarówki. Za nimi stał pusty postument: *Sila*.

Była żona Katza uważała się za rzeźbiarkę, ale minęło trochę czasu, odkąd ostatni raz rozmawiał z Valerie czy którymś z jej nowych przyjaciół. Nigdy nie słyszał o żadnym D'Angelo.

Razem z Darrelem podeszli do ciała i obaj przyjrzeni się temu, co jeszcze niedawno było potylicą Larry'ego Olafsona.

Opalona, bezwłosa skóra została zamieniona w papkę. Krew i strzępki mózgu zlepiły sztywną czerwienią siwe włosy i kucyk, niczym krwawa henna. Kilka drobinek krwi, właściwie rozpylonych na mgielkę, dotarło do pobliskiej ściany, na prawo od zwłok. Potężny cios. Powietrze smakowało miedzią.

Biżuterii nie tknięto, co wykluczało napad rabunkowy.

Katz skarcił się za ograniczone myślenie. Olafson handlował dziełami sztuki z najwyższej półki. Rabunek rabunkowi nierówny.

Ten pusty postument...

Koroner, doktor Ruiz, wcisnął w breję termometr. Spojrzał na detektywów, a potem schował przyrząd i przyjrzał się ranie.

— Dwie, najwyżej trzy godziny.

Dwa Księżycy podszedł do policjantki w mundurze, która przywitała ich na miejscu zbrodni. Była żółtodziobem. Nazywała się Debbie Santa-na i przedtem pracowała jako technik w laboratorium Los Alamos. W policji służyła od niecałego roku. To był jej pierwszy trup i wyglądała nie najgorzej. Może praca z materiałami radioaktywnymi była gorsza. Dar-rel zapytał ją, kto zgłosił morderstwo.

— Chłopak, pomoc domowa Olafsona — odparła Debbie. — Przyjechał pół godziny temu, żeby zabrać szefa. Najwyraźniej Olafson został dłużej w pracy, miał jakieś spotkanie z klientem. On i ten chłopak, Sammy Reed, mieli o dziesiątej zjeść kolację w Osteria.

— Ten klient miał jakieś nazwisko?

Debbie pokręciła głową.

— Reed twierdzi, że go nie zna. Wpadł w histerię, ciągle płacze. Mówi, że kiedy przyjechał, drzwi były zamknięte. Otworzył je swoim kluczem, zawołał Olafsona po nazwisku. Kiedy nikt nie odpowiedział, wszedł i znalazł go tutaj. Śladów włamania nie było. To chyba potwierdza jego wersję.

— Gdzie jest ten chłopak?

— W radiowozie. Pilnuje go Randolph Lorina.

— A więc zabito go między ósmą a dziesiątą — powiedział Katz.

— Mniej więcej — przytaknął Ruiz. — Możemy to naciągnąć do siódmej trzydzieści.

Dwa Księżyce wyszedł z sali i wrócił chwilę później.

— Na drzwiach jest napisane, że galeria jest otwarta do szóstej.

Olafson musiał uznać, że to bardzo dobry klient, skoro został dwie godziny po pracy.

— Albo ktoś go wystawił — stwierdził Katz.

— Tak czy inaczej, jeśli uważał, że chodzi o grubszą forszę, zostałby tyle, ile trzeba. — Darrel mocno przygryzł wargę. — Ten facet kochał swoje pieniądze.

Ta uwaga była nie na miejscu. Santana i Ruiz popatrzyli na Dwa

Księżyce. Detektyw zignorował ich spojrzenia i zaczął przyglądać się wiszącym na ścianie obrazom — serii szaroniebieskich abstrakcji.

— Co o nich sądzisz, Steve? — zapytał.

— Mogą być — odparł Katz. Wciąż klęczał przy zwłokach. Był trochę zaskoczony wrogim tonem Darrela, ale nie zaszokowany. Dwa Księżyce chodził zirytowany przez ostatnich kilka dni. Przejdzie mu. Zawsze przechodziło.

Zapytał doktora Ruiza o plamy krwi.

— Nie jestem ekspertem — odparł doktor — ale nie ma śladów krwi w żadnym innym pomieszczeniu, więc to raczej oczywiste, że dostał w głowę tutaj. Pęknięcie czaszki biegnie przez potylicę, czyli tył głowy, na prawo.

Wygląda na jeden cios. Nie widzę żadnych śladów walki. Dostał w łeb i padł.

— To wysoki facet — zauważył Katz. — Cios był zadany z góry czy z dołu?

— Raczej na wprost.

— A więc mówimy tu o drugim wysokim facecie.

— Brzmi logicznie — powiedział Ruiz — ale nie powiem wam więcej, dopóki go nie otworzę.

— Ma pan jakieś pomysły co do broni? — spytał Katz.

Ruiz przez chwilę myślał.

— W tej chwili mogę powiedzieć, że to było coś dużego i ciężkiego, o zaokrąglonych krawędziach. — Przykląkł obok Katza i wskazał breję.

-Niech pan tu spojrzy. Jedna rana, ale bardzo głęboka. Uderzenie strzaskalo kość. Nie widać żadnych małych odłamków, jak to bywa przy ostrych narzędziach. Krótko mówiąc, nie ma śladów cięcia. Cokolwiek to było, uszkodziło stosunkowo rozległą powierzchnię i wepchnęło odłamki w głąb mózgu. Kawał metalu.

— Łom?

— Coś większego. Mówimy tu o olbrzymiej sile.

— Ktoś się bardzo wściekł — powiedział Darrel.

Ruiz wstał i rozprostował plecy. Pomasował sobie kolano i skrzywił się.

— Boli, doktorze?

— Wiek średni jest do dupy.

Katz uśmiechnął się i ruchem głowy wskazał pusty postument.

— Widziałem — powiedział Ruiz. — Możliwe. Jeżeli to było coś tak

samo ciężkiego, jak pozostałe.

— Ciężko byłoby coś takiego wynieść — zauważył Darrel. — Do tego nie ma tropu krwi.

— Jeśli to był chrom — powiedział Ruiz — krew do niego nie przywiera, mogła ściec zaraz po uderzeniu. Albo wasz morderca wytarł narzędzie i zabrał je ze sobą.

— Na pamiątkę? — spytał Darrel. Ruiz się uśmiechnął.

— Może to wielbiciel sztuki. Katz odpowiedział uśmiechem.

— Albo był podniecony, dostał kopa adrenaliny, zabrał to ze sobą, a potem wyrzucił gdzieś niedaleko.

Darrel spojrział na zegarek.

— Pora poszukać.

— Na zewnątrz jest ciemno — zaproponował Katz — a ja nie widziałem żadnych świateł w okolicy domku dla gości.

— Żaden problem — oznajmił Dwa Księżyce. — Otaczamy taśmą całą posesję, ściągamy reflektory, blokujemy górną Canyon.

Ruiz wyszczerzył się wesolo.

— Jeśli chcecie zablokować górną Canyon, to lepiej, żebyście się szybko uwinęli.

Uśmiech mądrali, zauważył Katz. Możliwe, że w ten sposób doktor odreagowywał widok trupa. Niski, okrągły, bardzo inteligentny, David Ruiz, urodzony na Hispanioli syn tynkarza, ukończył Uniwersytet Stanu Nowy Meksyk jako stypendysta, zrobił doktorat na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa, zajmował się medycyną sądową jako rezydent w New York

Hospital. Kilka lat pracował z doktorem Michael'em Baderem w nowojorskim biurze koronera. Do spółki z Katzem znali mnóstwo „opowieści wojennych” z Nowego Jorku. Praca w Santa Fe ściągnęła Ruiza z powrotem do rodzinnego stanu. Mieszkał pod miastem, na ranczu niedaleko Galisteo, wśród koni, krów, psów, kotów i kilku lam. Miał żonę, która lubiła zwierzęta, i gromadę dzieci.

— Najpóźniej do dziewiątej — ciągnął Ruiz. — O tej porze zaczynają się pojawiać turyści. Jeśli zablokujecie Canyon, wszyscy powiedzą że utrudniacie im życie.

— No proszę — odezwał się swoim lakonicznym tonem Dwa Księżyce — a ja myślałem, że jestem od ułatwiania życia.

— Niech pan spojrzy na to w ten sposób — powiedział Ruiz. — Kilka godzin temu Olafson był ważną osobistością. A teraz sam jest tylko utrudnieniem.

Detektywi kazali technikom zebrać odciski palców z całej galerii i biura Olafsona. Natychmiast pojawiło się całe mnóstwo śladów — co było tak samo niekorzystne, jak gdyby nie znaleziono nic. Kiedy wszystko już sfotografowano, policjanci włożyli rękawiczki i przetrząsnęli biurko Olafsona. W górnej szufladzie Katz znalazł palmtopa, a w nim sporo nazwisk. Niektóre z nich znalazł, w tym nazwisko Valerie. To go zaskoczyło. Myślał, że dała sobie spokój z marzeniami o sztuce i osiągnęła średni stopień zadowolenia, pracując w Galerii Sary Levy w Plaża, gdzie sprzedawała luksusową indiańską ceramikę.

— To są ludzie z prawdziwym talentem, Steve — powiedziała kiedyś

Katzowi, kiedy do niej zajrzał. — Mam przynajmniej dość rozumu, żeby dostrzec, że ja go nie posiadam.

Katz pomyślał, że w kącikach jej oczu wypatrzył wilgoć. Ale może się mylił. Jeśli chodziło o Valerie, pomylił się już co do wielu rzeczy.

Sprawdził, czy rękawiczki nie mają dziur ani załamań, i przewinał w dół listę nazwisk w palmtopie.

— Za dużo tego dobrego — powiedział Dwa Księżyce. — Już widzę, czym to się skończy. Zabieramy wszystko i przejrzymy później. Na razie zobaczmy, co z chłopakiem.

Sammy Reed miał dwadzieścia cztery lata, był delikatny, czarnoskóry i cały czas płakał.

— Nie mogę w to uwierzyć, po prostu nie mogę w to uwierzyć.

Spytał, czy może wyjść z radiowozu i rozprostować nogi. Detektywi zgodzili się. Reed miał na sobie zbyt duży tweedowy płaszcz w jodełkę z czarnym aksamitnym kołnierzem; wyglądał na stary. Czarne dżinsy, czarne martensy, brylantowy kolczyk w prawym uchu. Kiedy się przeciągnął, policjanci zmierzyli go wzrokiem.

Metr siedemdziesiąt w martensach, może sześćdziesiąt kilo wagi.

Kiedy wrócili do samochodu, Katz i Dwa Księżyce usiedli po jego obu stronach na tylnym fotelu. Ogrzewanie szumiało, a temperatura wahała się od chłodnej do znośnej. Reed, pociągając nosem, stwierdził, że nie wie, z kim „Larry” miał się spotkać tak późno. Olafson nie omawiał z nim swoich spraw zawodowych. Do obowiązków chłopaka należało sprzątanie w domu, czasem gotowanie. Zajmował się też oczkiem wodnym,

basenem i borzojem Larry'ego.

— Pęknie jej serce — powiedział. — Będzie zalamana. Jakby chcąc to zobrazować, znów się rozplakał. Darrel podał mu chustkę.

— Pies.

— Anastazja. Ma sześć lat. Borzoje nie żyją długo. A teraz, kiedy Larry odszedł... Nie mogę uwierzyć, że właśnie to powiedziałem. Odszedł. O mój Boże.

— Przychodzi panu do głowy, kto mógłby to zrobić?

— Nie — powiedział Reed. — Absolutnie nie. Larry był przez wszystkich kochany.

— Popularny, tak?

— Więcej niż popularny. Kochany.

— Mimo to — powiedział Katz — każdy spotyka czasem trudnych ludzi.

— Jeśli Larry spotkał kogoś takiego, ja nic o tym nie wiem.

— Nie rozmawiał z panem o interesach?

— Nie — odparł Reed. — Nie na tym polegała moja praca.

— Kto zajmował się galerią?

— Tylko Larry i jego asystentka. Larry starał się ciąć koszty.

— Problemy finansowe?

— Nie, oczywiście, że nie. — Reed przełknął ślinę. — A przynajmniej o niczym takim mi nie wiadomo, a Larry nie wydawał się zmartwiony ani nic takiego. Wręcz przeciwnie. Mówił, że chce kupić więcej ziemi. A więc musiało mu się dobrze powodzić.

— Ziemi? Gdzie? Reed pokręcił głową.

— Jak się nazywa ta asystentka? — spytał Darrel.

— SummerRiley.

Katz przypomniał sobie, że widział to nazwisko w palmtopie.

— Gdzie mieszka?

— Z tyłu, w domku dla gości.

Detektywi nic nie powiedzieli, ale obaj zaczęli się zastanawiać, co czeka na nich za drzwiami ceglanego budyneczku.

— Czy Larry'emu ktoś groził? Reed potrząsnął głową.

— Głuche telefony, dziwne listy, coś w tym rodzaju? Kolejne trzy potwierdzenia.

— Nic niezwykłego? — powiedział Katz. — Zwłaszcza w ciągu ostatnich kilku tygodni?

— Nic — upierał się Reed. — Larry prowadził spokojne życie.

— Spokojne — powtórzył Dwa Księżycy.

— To znaczy w porównaniu z życiem w Nowym Jorku — powiedział Reed. — Uwielbiał Santa Fe. Powiedział mi kiedyś, że na początku zamierzał zostać w niebie tylko kilka miesięcy, ale spodobało mu się tak bardzo, że postanowił osiąść tu na stałe. Mówił nawet, że chce zamknąć jedną z nowojorskich galerii.

— Którą? — spytał Katz.

— Słucham?

— Miał dwie, prawda?

— Tak — powiedział Reed. — Tę w Chelsea.

— Zachodnia Dwudziesta Pierwsza... sztuka współczesna —

wyrecytował Katz.

Reed zrobił wielkie oczy.

— Był pan tam?

— Mieszkalem kiedyś w Nowym Jorku. A więc pan Olafson myślał o zwinieniu części żagli.

— Nie wiem na pewno, ale wspominał o tym.

— Kiedy?

— Hm... Jakiś miesiąc temu.

— W jakim kontekście? — spytał Katz.

— Kontekście?

— Zazwyczaj nie rozmawiał z panem o interesach.

— Och — zrozumiał Reed. — No, to nie były interesy. Raczej... Larry był w dobrym nastroju, refleksyjnym, powiedzmy... Rozgadał się.

Siedzieliśmy na *portal*, w nocy. Kiedy było to chwilowe ocieplenie?

— Aha, miesiąc temu — powiedział Dwa Księżycy. Chyba wiek temu, w zimowych godzinach.

— Na czym skończyłem? — spytał Reed.

— *Portal* — przypomniał Katz.

— Tak, właśnie. *Portal*. Larry czekał na kolację. Pił wino. Zrobiłem halibuta w sosie winnym i penne z pistacjami. Kiedy podałem do stołu, Larry poprosił, żebym usiadł i zjadł razem z nim. To był długi dzień, Anastazja miała problemy z żołądkiem. Pan Olafson powiedział, że zasłużyłem sobie na chwilę odpoczynku. Więc usiadłem, a on nalał mi wina i zaczęliśmy rozmawiać. — Reed westchnął. — To była bardzo

pogodna noc, tyle gwiazd. Larry powiedział, że czuje się uduchowiony

tak, jak nigdy nie doświadczył tego na Wschodzie. — Młodemu

mężczyźnie zadrżały usta. — A teraz to. Nie mogę uwierzyć...

**— Zamknięcie galerii — powiedział Katz. — Jak skończyłoby się to dla
artystów, których promował?**

**Reed spróbował wzruszyć ramionami. Siedząc pomiędzy dwoma
detektywami niczym hamburger w bułce, miał ograniczone pole
manewru.**

— Pewnie znaleźliby sobie nowych opiekunów.

**— Oprócz tych, którym by się to nie udało — zauważył Katz. — Tak to
jest w świecie sztuki, prawda? Dwójkowi przeciw piątkowym. Część z nich
na pewno zostałyby bez mecenasa.**

Reed popatrzył na niego nierozumiejącym wzrokiem.

— Pewnie tak.

— Pan jest artystą?

**— Nie, ani trochę, nie umiem narysować prostej kreski. Jestem
kucharzem. Uczyłem się w Instytucie Kulinarnym w Hudson Valley,
miałem być szefem kuchni, ale ostatecznie zostałem kucharzem.**

**Właściwie zacząłem pomagać w kuchni za minimalną stawkę w La
Bernardin i tym podobnych miejscach. Więc kiedy Larry zaproponował
mi pracę w Santa Fe, po prostu rzuciłem się na tę okazję.**

— Jak pan Olafson pana znalazł?

**— Dorabiałem sobie w firmie cateringowej. Bardzo luksusowej, ale
mógłbym panom opowiedzieć takie rzeczy... W każdym razie, Larry**

wydawał niedzielny obiad w galerii. Myślę, że sprostałem wymaganiom gości. Wędzony ananas i królewskie krewetki przyprawione habanero też nie zaszkodziły. — Błady uśmiech. — Powiedział, że nieźle sobie poradziłem i że to docenia.

— Jak długo pan dla niego pracował?

— Trzy miesiące.

— Podobało się panu?

— To był raj.

Reed rozplakał się. Udało mu się opanować zaledwie na tyle, żeby poprosić o jeszcze jedną chusteczkę.

Kolejne pół godziny przepytывania nic nie dało. Reed wyparł się osobistych związków z szefem, ale był mało przekonujący. Katz zauważył znaczące spojrzenie Dwóch Księżyców, rzucone nad głową chłopaka.

Miało oznaczać: „Sprawdzimy go w bazie danych, zanim go puścimy”.

Żaden z nich jednak nie sądził, aby to coś dało. Kiedy przyszła odpowiedź z bazy danych, Reed okazał się czysty, nie licząc mandatu za przekroczenie prędkości, wystawionego dwa miesiące temu na autostradzie 25 pod Albuquerque. Nikt nie był zaskoczony. Reed miał chłopięcą posturę, a Olafsona mógłby walnąć prosto w głowę, tylko gdyby stał na drabinie.

Nie

mówiąc

już

o

wymachiwaniu

ciężkim,

zaokrąglonym

przedmiotem.

Nadszedł czas przyłączyć się do grupy poszukującej narzędzia zbrodni.

Pewnie kolejny ślepy zaulek.

Katz i Dwa Księżyce łazili wokół galerii przez następne półtorej godziny, nadzorując otaczanie posesji taśmą i rozstawianie reflektorów.

Pracowali z trzema dodatkowymi mundurowymi i dwoma technikami, przeszukując teren. Na miejscu znalazła się spora część składu

Departamentu Policji Santa Fe. Dla wszystkich mundurowych było to pierwsze morderstwo, więc nikt nie chciał niczego spieprzyć.

Siłą sforsowali zamek w drzwiach domku gościnnego. W środku nie było zwłok, tylko zapuszczony pokoik. Osobiste rzeczy Summer Riley, trochę trawki i prosta fajka wodna w szufladzie szafki nocnej, sztalugi i pudełko farb w kuchni, kilka naprawdę kiepskich obrazów olejnych - pokrzywione, brzydkie, rozmazane kobiety — opartych o ścianę. Na łóżku leżał stos brudnych ubrań. '

Dwa Księżyce znalazł numer komórki Summer Riley w palmtopie Olafsona, zadzwonił do niej i usłyszał nagranie poczty głosowej. Ponieważ był wrażliwym facetem, zostawił wiadomość, żeby wróciła do domu, bo jej szef nie żyje.

To Katz znalazł narzędzie zbrodni, leżące pod płożącym jałowcem, przy ścieżce prowadzącej do domku dla gości.

Nikt nie próbował go ukryć. Stoczyło się po prostu w zagłębienie ogrodu.

Wielki chromowany młot blacharski, rozmiarów motocyklowego silnika, z ledwie widocznymi smugami różu — krew nie przywarła do niego, jak przewidział doktor. Na półkulistym bijaku kilka strzępków mózgu. Szeroka, zaokrąglona powierzchnia, którą opisał Ruiz.

Trzech techników z trudem zapakowało młot do torby i opisało go.

Olbrzymi i nieporęczny, ważył około trzydziestu pięciu kilo. Morderca musiał być bardzo silny, nawet biorąc pod uwagę przyływ adrenaliny.

— Zabity przez sztukę — powiedział Darrel. — Był chyba kiedyś taki facet, jakiś malarz, który powiedział, że jego celem jest stworzenie obrazu, na który spojrzal byś raz i padł trupem.

— Nigdy o tym nie słyszałem — odparł Katz.

— Mówili o tym na zajęciach. Miał dziwne imię, Man jakiś tam.

— Man Ray?

— Właśnie.

— Uczyłeś się malarstwa? — spytał Katz.

— Historii sztuki — powiedział Darrel. — Na studiach. Bo była łatwa.

— Nauczyłeś się czegoś?

— Tego, że ładne rzeczy podobają mi się tak samo, jak każdemu, ale studiować to jak chemię czy coś poważnego, to niedorzeczność.

— To tak, jak ze wszystkim innym — powiedział Katz. — Bóg daje nam proste rzeczy, a my je komplikujemy.

Darrel spojrzal na niego z ukosa.

— Nagle zrobiłeś się religijny?

— Mówilem... metaforycznie.

— Aha — powiedział Darrel. — No, metafora na dzisiaj to „martwy jak kłoda”. Wymyśliłeś coś?

— Pojedźmy do jego domu — odparł Katz. — Przejrzyjmy billingi, znajźmy Summer Riley i zobaczmy, co wie, pogadajmy z byłą żoną w Nowym Jorku, czy gdzie ona tam jest, dowiedzmy się czegoś więcej o interesach Olafsona. O tej Leśnej Przystani też. Warto posłuchać, co mają do powiedzenia farmerzy, których pozywał.

— Brzmi to jak złożony plan, Steve.

Ruszyli do samochodu.

— Ja to widzę tak — powiedział Darrel. — Będziemy szukać wrogów wszędzie tam, gdzie trzeba. To coś mi mówi, że czeka nas sporo roboty.

— Proszę spojrzeć, kto się pojawił — powiedział jeden z mundurowych, kiedy już mieli odjeżdżać.

Błysnęły reflektory, potem przygasły i zatrzymał się obok nich policyjny radiowóz. Wysiadła z niego komisarz Shirley Bacon, ubrana w granatowy, dziergany kostium i długi, czarny płaszcz z owczej skóry.

Ciemne włosy miała upięte wysoko i polaki erowane, a na twarzy mocniejszy makijaż, niż kiedykolwiek nosiła na posterunku.

Krępa, o okrągłej twarzy, czterdziestoośmioletnia eksnauczycielka była córką szeryfa hrabstwa i siostrą gliniarza stanowego oraz jeszcze jednego szeryfa i kuratora. Zaczęła od gry na skrzypcach, skończyła na dawaniu lekcji muzyki i stanowisku sekretarki w operze, gdzie miała

nadzieję na odmianę losu. W wieku trzydziestu pięciu lat złamana ręka wysłała ją do departamentu i uczyniła z niej sekretarkę. Krok po kroku i wstąpiła do policji.

Była bystra i zdolna, więc szybko pięła się w górę, w zeszłym roku awansowała na komisarza. Swoich ludzi traktowała z szacunkiem, załatwiła im możliwość zabierania do domu służbowych wozów z limitem stu kilometrów i przeforsowała podwyżkę w epoce cięcia kosztów. Nikt nie miał jej nic do zarzucenia, nikt nie myślał o jej płci.

Podeszła prosto do nich.

— Darrel, Steve.

— Duża impreza, szefowo?

— Bal charytatywny. Fundacja Sztuki Indiańskiej. U Haskellów, na Circ-le Drive. Co tu się stało?

Powiedzieli jej. Skrzywiła się.

— Z tego może wyniknąć dużo różnych rzeczy — powiedziała. — Zajmę się prasą. Informujcie mnie na bieżąco.

Kilka minut później zjawił się zastępca komisarza, Lon Maguire — przyjechał swoją prywatną ciężarówką, a niedługo po nim do zbiegowiska dołączył porucznik Almodovar.

Szefostwo nie miało żadnych pomysłów. Nie krytykowało też jednak ani specjalnie nie przejęło się nikłymi postępami w śledztwie. Katz pracował w tutejszym departamencie już trzy lata i był zdumiony brakiem wzajemnego podkładania sobie świń i skrywanej niechęci. Wszystkich tych specjalów, z którymi miał do czynienia w Nowym Jorku. Z drugiej

strony, nowojorska policja zajmowała się większą liczbą zabójstw tygodniowo, niż on widział tu przez trzy lata.

Komisarz Bacon pomachała im na pożegnanie i ruszyła w stronę samochodu.

— Z powrotem na bal, szefowo? — spytał Katz.

— Nie ma mowy, strasznie tam nudno — odkrzyknęła komisarz, odchodząc. — Ale następnym razem postarajcie się załatwić mi prostszą wymówkę.

O drugiej pięćdziesiąt trzy, prawie godzinę po zakończeniu zmiany, kiedy mieli już jechać do domu Olafsona, zauważyli atrakcyjną parę młodych ludzi, stojącą tuż za policyjną taśmą i rozmawiającą z funkcjonariuszem Randolphem Loringiem.

Podeszli do nich obydwaj.

— To jest panna Riley — przedstawił ją Loring. — Mieszka z tyłu.

Summer Riley miała kruczoczarne włosy, cerę barwy kości słoniowej i kształty, których nie była w stanie ukryć nawet jej puchowa narciarska kurtka. Jej wielkie, niebieskie oczy były przerażone jak u zapędzonego w kąt królika. Katz ocenił ją na dwadzieścia kilka lat, pod trzydziestkę.

Odziany w dżins, towarzyszący jej facet był wysoki, ciemny i przystojny urodą latynoskiego amanta. Miał ciemne blond, faliste włosy, opadające za łopatki i bladą twarz o wyrazistych rysach. Wyglądał na równie wystraszonego.

Jak z reklamówki Calvina Kleina, pomyślał Katz. Nawet strach.

Zwłaszcza strach.

Summer Riley nie odebrała wiadomości Dwóch Księżyców. Po prostu wracała z randki. Darrel powtórzył jej to samo, co powiedział automatycznej sekretarce, a Summer padła w ramiona swojego towarzysza. Objął ją niezgrabnie. Poglaskał po głowie z entuzjazmem robota.

Nazywał się Kyle Morales i studiował taniec na Uniwersytecie Stanu Nowy Meksyk. Pracował na pół etatu, tańcząc flamenco w Radisson. Miał urlop dziekański do wiosny przyszłego roku.

Katz widział ten pokaz tańca, siedział sam w głębi sali z pojedynczym tan-queray z tonikiem, na który sobie pozwolił. Odstawał trochę od reszty publiczności, której średnia wieku wynosiła około sześćdziesięciu pięciu lat.

Pokaz przyjemnie go zaskoczył: dobrzy tancerze, nieźli gitarzyści.

Powiedział to Moralesowi.

— Dzięki — odparł bez życia.

— Czy możemy z wami porozmawiać osobno? — spytał Katz. Chłopak zgodził się bez słowa.

Darrel przeprowadził Summer Riley pod taśmą i poszedł z nią do domku dla gości. Katz został na miejscu z Moralesem.

To była ich druga randka. Kyle poznał Summer w barze na San Francisco Street, uznał, że jest „super”. Nie miał pojęcia, kim był

Lawrence Olafson, jeszcze mniej znał się na sztuce.

— Druga randka — powiedział Katz.

— Pierwsza to było w sumie tylko kilka drinków — odparł Morales.

— A dzisiaj?

— Dzisiaj byliśmy na filmie w DeVargas Center. Na Austinie Powersie.

— Śmieszny? — spytał Katz.

— Aha — odparł Morales, nawet nie próbując udawać. Był tancerzem, nie aktorem.

— A potem?

— Potem poszliśmy na pizzę. No i tutaj.

— Pierwszy raz u niej?

— Tak miało być. — Powiedział to z żalem.

Kiepska sprawa, pomyślał Katz. Szansa na bzykanko unicestwiona przez paskudne morderstwo.

Zadał Moralesowi jeszcze kilka pytań. Uznał, że facet nie jest specjalnie bystry. Po prostu znalazł się w nieodpowiednim czasie w niewłaściwym miejscu.

— Dobra, jest pan wolny.

— Myślałem, że Summer... — powiedział Morales. — Może kiedy z nią skończycie, gdzieś się jeszcze wybierzemy.

— Może pan zaczekać, jak pan chce. — Katz wskazał kciukiem taśmę.

-Ale z mojego doświadczenia wynika, że będzie raczej chłodno.

Morales w końcu postanowił się zmyć. Katz dołączył do Dwóch Księżyców i Summer Riley w jedynym pokoju domku gościnnego.

Panujący tu bałagan wzmogła jeszcze warstwa proszku do zdejmowania odcisków palców. Dziewczyna wycierała łzy. Trudno było stwierdzić, czy wstrząsnęło ją zabójstwo szefa, czy wrażliwe podejście Darrela — może

jedno i drugie.

— Panna Riley nie zna nikogo, kto chciałby skrzywdzić pana Olafsona

— oznajmił Dwa Księżycy.

— On był cudowny — powiedziała Summer.

Darrel się nie odzywał.

— Tak jak powiedziałam — ciągnęła dziewczyna — musicie panowie sprawdzić, czy nie zniknęły żadne obrazy.

— Kradzież — powiedział Darrel swoim pozbawionym wyrazu głosem.

— Chodzi mi o to, że to możliwe — odparła Summer. — Larry jest największym marszandem w Santa Fe, ma w galerii sporo drogich obrazów.

— O'Keeffe?

— Nie, nie w tej chwili — powiedziała Summer obronnym tonem. —

Ale sprzedaliśmy do tej pory kilka sztuk.

— Co jest teraz na topie?

— Mamy prześlicznego Indianina Sharpa, kilka Berninghausów i Thomasa Hilla. Może niewiele to panu mówi, ale to drogie obrazy.

— Sharp i Berninghaus byli mistrzami z Taos — powiedział Katz. — Nie wiedziałem, że Hill malował w Nowym Meksyku.

Summer odchyliła głowę, jakby wiedza Katza była dla niej obrazą.

— Nie malował. To krajobraz kalifornijski.

— Aha.

— To nie francuscy impresjoniści, ale i tak ceny są sześciocyfrowe.

— I trzymał je w galerii? — spytał Katz.

— Oprócz tych, które zabiera do domu — odparła Summer, pozostając przy czasie teraźniejszym.

— Dla siebie?

— Wymienia obrazy w domu. Kocha sztukę, lubi też mieć co pokazywać gościom.

— Jako próbkę — powiedział Katz.

Młoda kobieta spojrzała na niego, jakby rzucił jakąś nieprzyzwoitość.

— Gdzie w galerii przechowuje się te arcydzieła? — spytał Darrel.

— Razem ze wszystkimi innymi obrazami — powiedziała Summer. -W magazynie. Jest tam specjalny zamek i alarm, tylko Larry zna kod.

— Mówi pani o tym pomieszczeniu z tyłu? — spytał Dwa Księżyce. -Tym z pionowymi stelażami?

Summer pokiwała głową.

Detektywi weszli tam bez problemu. Drzwi były otwarte. Katz

uświadomił sobie, że nawet nie zauważył zamka.

— Gdzie znajdziemy katalog dzieł z galerii?

— W domowym komputerze Larry'ego — powiedziała Summer. —

Prowadzę też zapasową listę, spisywaną ręcznie. Dobrze sobie radzę z organizacją. Właśnie dlatego Larry mnie lubi.

Stan jej pokoju świadczył o czymś przeciwnym, ale kto wie.

Nie chciało się jej nawet posprzątać przed sprowadzeniem tu Kyle'a

Moralesa. Może miała inne plany na wieczór niż on, pomyślał Katz.

Zapytał ją o tancerza. To, co powiedziała, zgadzało się z wersją

chłopaka we wszystkich szczegółach, tyle tylko, że Summer była bardziej

konkretna: oglądali drugą część Austina Powersa.

— A więc pani i Kyle wracaliście tutaj — powiedział Katz.

Summer pokiwała głową.

— Odprowadzał mnie do domu. — Odrzuciła włosy i zaczerwieniła się.

-I nic więcej. Nie zamierzałam więcej się z nim spotykać.

— Kiepska randka?

— Nudna. Nie jest zbyt mądry.

Metaliczny ton w głosie. Umiała być ostra.

— Rzeźbiarz, który zrobił młotek, Miles D'Angelo — rzucił Katz. — Co może nam pani o nim powiedzieć?

— Miles? Ma osiemdziesiąt trzy lata i mieszka w Toskanii.

— Czy pomiędzy nim a panem Olafsonem były jakieś zadrażnienia?

— Miles? — Summer parsknęła śmiechem. — To najłagodniejszy człowiek na świecie. Uwielbiał Larry'ego.

— Będziemy musieli rzucić okiem na sporządzony przez panią spis dzieł — powiedział Dwa Księżycy.

— Jasne — odparła Riley. — Jest w galerii. W biurku Larry'ego.

Detektywi niczego takiego nie widzieli.

Wrócili do Olafson Southwest. Dziewczyna wskazała im szufladę.

Darrel założył rękawiczki i otworzył ją. Różne papiery, ale spisu brak.

— Nie ma go — powiedziała Summer Riley. — Powinien tu być.

O trzeciej dziesiątej Katz siedział za kierownicą crowna victorii. Fotel pasażera zajmował Dwa Księżycy. Milczał. Jechali na północ Bishop's Lodge Road w stronę Tesuque, miejscowości położonej na płaskim, zadrzewionym terenie. Dziwacznej mieszanki stadnin koni, przyczep kempingowych i rozrzuconych po otaczających miasteczko wzgórzach ładnych domków i willi. Mieszkały tu gwiazdy filmu i finansisci udający nieobecnych ranczerów, malarze, rzeźbiarze, hodowcy koni i latynoskie błękitne kołnierzyki — pierwotni mieszkańcy Tesuque. Do tego kilku doszczętnie zdziwaczałych samotników, zakradających się do Tesuque Market, żeby kupić niemodyfikowane genetycznie warzywa i piwo, a potem zniknąć na całe tygodnie.

Katz uznałby taką zbieraninę za potencjalnie wybuchową, ale podobnie jak w Santa Fe, w Tesuque panował spokój.

Niebo pełne gwiazd skąpane było w brylantowym blasku, a powietrze pachniało jałowcami, araukariami i końskim nawozem. Dom Lawrence'a Olafsona stał przy wąskiej drodze, spory kawałek poza granicami miasteczka, na samym końcu Las Caminitas, snobistycznego osiedla dużych, ładnych domów stojących na działkach mierzących od dwóch do pięciu hektarów.

Przy drodze z Plaža, którą jechali, nie było latarni. Otaczała ich gęsta i niemal namacalna ciemność. Nawet po włączeniu długich świateł dom Olafsona łatwo było przeoczyć. O tym, że istnieje, świadczył jedynie

niewielki miedziany numer posesji na samotnym kamiennym słupku.

Katz minął go, wycofał i wjechał na pochyły podjazd, śliski od zamarzniętych

kałuż. Pięćdziesiąt metrów gruntowej drogi prowadziło przez zasypany śniegiem tunel araukarii. Dom pojawił się dopiero za trzecim zakrętem, ale kiedy się go już zobaczyło, przykuwał całą uwagę.

Trzy kondygnacje zaokrąglonych krawędzi, ścian bez kątów prostych, na oko z pół tuzina otwartych tarasów i tyle samo zadaszonych *portales*.

Jasny i monumentalnie rysujący się na tle gór dom, podświetlony subtelnie przez księżyc, gwiazdy i niezbyt mocne reflektory, otaczało morze traw, kulistych kaktusów, karłowatych świerków i drżących na wietrze bezlistnych osik.

Przy całym swoim ogromie budynek harmonizował z otoczeniem -wyrastał z piasku, skał i zarośli jak naturalna formacja.

Radiowóz funkcjonariuszki Debbie Santany stał przed poczwórnym garażem, stanowiącym najniższy poziom domu. Zaparkowała byle jak, zastawiając dwoje drzwi i połowę trzecich. Katz zostawił samochód kilka metrów dalej, a potem razem z Dwoma Księżycami wysiedli na chrzęszczący żwir.

Dwadzieścia kamiennych stopni poprowadziło ich przez rzekę zarośli do wielkich, podwójnych drzwi, wyciosanych z drewna, które wyglądało na bardzo stare. Były obite ręcznie kutym żelazem i zdobione ćwiekami.

Nad nimi wisiała drewniana tabliczka z wyrytym napisem Przystań.

Darrel pchnął drzwi i obaj weszli do holu większego niż całe

mieszkanie Katza. Podłoga z kamiennych płyt, sufit na wysokości siedmiu metrów, pod nim niesymetryczny, szklany żyrandol — Katz pomyślał, że to może być Chihuly — brzoskwiniowe ściany z gipsowych paneli, wspaniałe obrazy, prześliczne meble.

Za holem, o stopień niżej, rozciągała się wielka sala, jeszcze wyższa, o ścianach głównie ze szkła. Funkcjonariusz Santana siedziała na sofie obok Sammy'ego Reeda. Chłopak od płaczu przeszedł do zupełnego milczenia.

— Ładny lokal — powiedział Darrel. — Trzeba go wypatroszyć.

Następne trzy godziny spędzili na przeszukiwaniu pięciuset pięćdziesięciu metrów kwadratowych domu. Dowiedzieli się wielu rzeczy o samym Olafsonie, ale niczego, co mogłoby pomóc odnaleźć jego mordercę.

W garażu stał jaguar sedan, zielony i smukły, obok starego, białego austina-healy'ego i czerwonej alfy romeo GTV. Jako własność Olafsona zidentyfikowano również land rovera stojącego na podjeździe galerii.

Detektywi przegrzebali szafy pełne drogich ubrań, głównie z nowojorskimi metkami. Książeczki bankowe i konta giełdowe wykazały, że Olaf-son był bardziej niż wypłacalny. Obok domowego kina, w zamkniętej

szafce, leżały poukładane równiutko gejowskie i hetero filmy porno.

Na obitych skórą ścianach gabinetu wisiało dużo półek na książki, ale samych książek było niewiele — głównie magazyny o malarstwie i dekoracji wnętrz oraz biografie królów. Borzój, wielki, biały, o wełnianej

sierści, przez cały ten czas nawet się nie obudził.

Obrazy wisiały wszędzie — było ich za dużo, żeby obejrzeć wszystkie podczas jednej wizyty, ale uwagę Katza przykuł jeden z nich, znajdujący się w wielkiej sali. Dwójka nagich dzieci, tańczących wokół gaika, w pastelowych odcieniach łagodnego lata. Dzieci miały około trzech i pięciu lat, gęste, jasne włosy, pośladki z dołeczkami i twarzyczki cherubinów.

Tematyka mogła sprowadzić obraz do poziomu sztuki plakatowej, ale malarz miał dość talentu, by do tego nie dopuścić. Katz uznał, że wygląda to nieźle i sprawdził podpis. Jakiś facet o nazwisku Michael Weems.

— Myślisz, że powinniśmy poszukać pornosów z dziećmi? — spytał

Dwa Księżyce.

Zaskoczyło to Katza i trochę nim wstrząsnęło. Spojrzał na partnera, szukając w jego oczach ironii.

— Tak to widzę — powiedział Dwa Księżyce i ruszył do komputera

Olafsona.

Pecet dał się włączyć, ale na ekranie wyskoczyło żądanie hasła.

Detektywi nawet nie próbowali.

Bobby Boatwright z wydziału przestępstw na tle seksualnym, mający zmianę od drugiej do ósmej trzydzieści, znalazł się na komputerach lepiej niż wszyscy technicy. Katz i Darrel postanowili do niego zajrzeć przed odstawieniem komputera do laboratorium kryminalistycznego policji stanowej przy autostradzie 14.

Wyłączyli sprzęt i wynieśli go razem z drukarką i zasilaczem do holu.

Potem ponownie zagłębili się w prywatny świat Lawrence'a Olafsona.

W ogromnej sypialni stało łóżko z baldachimem, pod nim znaleźli skórzany album. W środku powpinane były wycinki prasowe o Olafsonie. — Co to jest? — spytał Darrel. — Upajał się własną wielkością do poduszki?

Przejrzeli album. Większość wycinków stanowiły namiętne teksty z pism o sztuce, opisujące ostatnie aukcje Olafsona, jego zakupy i sprzedaże. Były tam też artykuły o negatywnym wydźwięku: doniesienia o nieudanych transakcjach, o wątpliwościach co do autentyczności sprzedawanych dzieł. Można było tylko zgadywać, po co Olafson je zbierał.

Pod albumem leżał drugi tom, mniejszy, oprawiony w tanią, trawiastozieleńlonie płótno. W środku znajdowały się wycinki dotyczące Leśnej Przystani, w tym tekst z „News-Press” o drobnych hodowcach, pozwanych przez stowarzyszenie do sądu.

Sześćdziesięcioośmioletni Bart Skaggs i jego o cztery lata młodsza żona Emma zostali bohaterami jednego z artykułów głównie dlatego, że z trudem wiązali koniec z końcem, hodując liczące pięćset sztuk stado rzeźnych krów. Federalne pastwiska w lesie Carson wykorzystywali jako dodatkowe zabezpieczenie kredytu bankowego, wziętego na zakup karmy, trzody i sprzętu. Co roku procenty pożerały trzydzieści jeden z siedemdziesięciu ośmiu tysięcy dolarów dochodu brutto, ale dopóki Leśna Przystań nie postawiła Skaggsów przed sądem, powołując się na ustawę o gatunkach zagrożonych wyginięciem, udawało im się jakoś

wychodzić na swoje.

W pozwie stwierdzono, że szkody wyrządzane przez bydło Skaggsów zagrażają miejscowym gryzoniom, gadom, lisom, wilkom i losiom. Sędzia zgodził się z tym punktem widzenia i nakazał Skaggsom zredukować liczebność stada do czterystu dwudziestu sztuk. Po apelacji wniesionej przez fundację liczba ta zmniejszyła się do dwustu osiemdziesięciu.

Skaggsowie, zmuszeni do przeniesienia połowy krów na prywatne pastwiska, co zwiększyło koszt wypasu dziesięciokrotnie, poszli z torbami. Zlikwidowali hodowlę i żyli teraz z tysiąca dolarów miesięcznie, wypłacanych z ubezpieczenia społecznego.

— Moja rodzina gospodaruje na tych ziemiach od 1834 roku —

powiedział Bart Skaggs. — Dawaliśmy sobie radę ze wszystkimi możliwymi katastrofami naturalnymi, ale nie potrafiliśmy sobie poradzić z radykalnymi ekologami.

Emma Skaggs została opisana jako „zbyt wzburzona, by skomentować wyrok sądu”.

Kiedy o komentarz poproszono członka zarządu Leśnej Przystani i głównego oskarżającego, ten nie wyraził skruchy z powodu tragedii starszych państwa: — Ziemia jest w niebezpieczeństwie, a jej potrzeby są ważniejsze niż samolubne wymagania jakiegokolwiek jednostki — powiedział Lawrence Olafson, znany marszand, posiadacz galerii w Santa Fe i Nowym Jorku. — Nie można usmażyć omleta, nie rozbijając jajek.

Olafson zaznaczył własny komentarz żółtym markerem.

— Był z siebie dumny — stwierdził Darrel.

— Ziemia jest najważniejsza — zacytował Katz.

Wpisali album na listę dowodów i zabrali go ze sobą.

— Rozbijanie jajek — powiedział Dwa Księżyce, kiedy wychodzili z domu. — Kojarzy mi się z jego rozwaloną czaszką.

Katz uniósł brwi. Jego partner umiał dobierać słowa. Zapakowali komputer z osprzętem do bagażnika samochodu. Katz odpalił silnik.

— Dziwny facet — uznał Dwa Księżyce. — W domu jest mnóstwo rzeczy, ale czegoś mi tu brakuje.

— Zdjęć dzieci — odparł Katz.

— Bingo. Byłą żoną rozumiem, ale dzieci? Ani jednej fotki? Może go nie lubiły. Doktor powiedział, że sposób, w jaki zadano ranę, sugeruje, że napastnik był wściekły. Ja też miałem takie wrażenie. A gdzie można znaleźć więcej złości i agresji niż podczas rodzinnej awantury?

Katz kiwnął głową.

— Koniecznie musimy znaleźć dzieci i porozmawiać z jego byłą żoną.

Chcesz się tym zająć przed znalezieniem Barta i Emmy Skaggsow czy po?

— Po — powiedział Darrel. — I jutro. Swoje już dostali. Nie chcę ich

budzić... — zerknął na zegarek — ...oczwartej osiemnaście. Stukają nam nadgodziny, partnerze.

Katz jechał po ciemku tak szybko, jak pozwalała na to kręta droga.

Wrócili na komisariat przy Camino Entrada za piętnaście piąta. Wpisali komputer Olafsona na listę dowodów rzeczowych, odwalili trochę papierkowej roboty, umówili się na śniadanie o dziewiątej u Denny'ego, przecznicę od komisariatu, i pojechali do domów. Dwa Księżyce zabrał crowna victorię, bo w tym miesiącu wypadła jego kolej, Katz musiał zadowolić się swoją małą, brudną toyotą camry. Zważywszy na to, jak wyglądało jego osobiste i towarzyskie życie, nie potrzebował lepszego wozu.

Darrel Dwa Księżyce podjechał pod swój dom w dzielnicy South Capital. Zdjął buty przed drzwiami. Kiedy otwierał drzwi i wchodził do salonu, czuł jak marzną mu stopy. To był ładny salon, lubił do niego wracać. Patrząc na gliniany komin i stare, powyginane krokwie wzdłuż nierównego sufitu, z autentycznego starego drewna koloru melasy. Nie sztucznie postarzane belki, jakie widział w domu Olafsona.

Kogo chciał oszukać? Dom Olafsona był bajeczny.

Zdjął kurtkę, wyjął z lodówki malinową mrożoną herbatę, usiadł przy kuchennym stole i napił się.

Przez łukowate przejście popatrzył na swój salon. Na zdjęcie Kristin, dziewczynki i jego samego, zrobione w Photo Inn w DeVargas Center w Boże Narodzenie zeszłego roku.

Prawie rok temu. Dziewczynki od tamtej pory trochę podrosły.

Jego zamek.

Jasne.

Uwielbiał swój dom, ale tej nocy, po tym, jak zobaczył siedzibę

Olafso-na, robił na nim wrażenie maleńkiego, może nawet żalosego.

Zakup za sto osiemdziesiąt tysięcy. I to była okazyjna cena, bo wartość

ziemi w South Capital szła w górę.

Pracujący policjant, który zdołał przeprowadzić się do północnej

części miasta dzięki polisie na życie, a także testamentowi

emerytowanego

starszego

sierżanta

sztabowego

Armii

Stanów

Zjednoczonych Edwarda Dwa Księżyce-Monteza.

Dzięki, tato.

Oczy zaczęły go szczypać, więc napił się pospiesznie mrożonej herbaty,

żeby trochę schłodzić głowę.

W tej chwili dom musiał być wart jakieś trzysta tysięcy. Niezła

inwestycja dla kogoś, kto chciałby go sprzedać i kupić inny.

Ktoś taki jak Olafson mógłby wymieniać małe domki jak karty do gry.

Mógłby. Kiedyś.

Dwa Księżyce przypomniał sobie straskaną czaszkę Olafsona i skarcił

się w myślach.

Ciesz się z tego, co masz, durniu.

Dopił herbatę; wciąż miał suche gardło, więc wziął butelkę wody, poszedł do salonu i usiadł, opierając stopy na stole. Odetchnął głęboko, żeby sprawdzić, czy wyczuje zapach mydła i ciepłej wody, który zostawiała za sobą Kristin.

Naprawdę uwielbiała ten dom. Mówiła, że to wszystko, czego jej trzeba, że nie chce się stąd nigdzie wyprowadzać.

Sto

czterdzieści

metrów

kwadratowych

na

siedemsetpięćdziesięciome-trowej działce to było dość, żeby czuła się jak królowa. I sporo mówiło o Kristin.

Darrel musiał przyznać, że działka była ładna. Dziewczynki miały dużo miejsca do zabawy, a Kristin — swój mały ogródek warzywny i inne różności.

Obiecał, że wysypie żwirowe ścieżki, ale nie dotrzymał słowa. Ziemia miała niedługo zamarznąć i z robotą trzeba będzie poczekać do wiosny.

Ile jeszcze trupów napotka przez ten czas? Cichy odgłos kroków sprawił, że podniósł wzrok.

— *Cześć, skarbie* — powiedziała Kristin, mrużąc i trąc oczy. Jasne

włosy miała spięte w kucyk, ale uciekło z niego kilka kosmyków. Różowy szlafrok frotte związała mocno w pasie. — Późno. Która godzina?

— Piąta.

— Och. — Podeszła do Darrela, pogłaskała go po głowie. Była w połowie Irlandką, w jednej ćwierci Szkotką, a resztę odziedziczyła po Indianach Chippewa z Minnesoty. Spadek po indiańskich przodkach to wydatne kości policzkowe i oczy w kształcie migdałów. Tęczówki koloru szalwii. Darrel poznał ją w indiańskim muzeum. Pracowała tam na wakacyjnych praktykach jako recepcjonistka, żeby zarobić na kurs malarstwa. Najpierw urzekły go jej oczy, a potem cała jej reszta nie dopuściła, żeby stracił zainteresowanie.

— Praca? — spytała.

— Aha. — Darrel wstał i przytulił żonę. Musiał się pochylić, miała tylko metr pięćdziesiąt wzrostu. Po tańcach z Kristin czasem strzykało go w krzyżu. Nie przejmował się tym, nigdy nie powiedziałby ani słowa.

— Co to za sprawa, kochanie?

— Nie chcesz wiedzieć.

Spojrzenie zielonych oczu Kristin nabrało ostrości.

— Nie pytałabym, gdybym nie chciała wiedzieć. Posadził ją sobie na kolanach i wszystko opowiedział.

— Powiedziałeś Steve'owi? — spytała go.

— Niby co miałbym mu powiedzieć?

— Że miałeś starcie z Olafsonem?

— To zupełnie bez znaczenia. Kristin milczała.

— O co chodzi? — zapytał. — To było rok temu.

— Osiem miesięcy — poprawiła.

— Pamiętasz?

— Pamiętam, że był kwiecień, tamtego tygodnia robiliśmy zakupy przed Wielkanocą.

— Osiem miesięcy, rok, co za różnica?

— Pewnie masz rację, Darrel.

— Chodźmy do łóżka.

Zasnęła, kiedy tylko położyła się na materacu, ale Dwa Księżyce leżał na plecach i myślał o „starcu”.

Wpadł do indiańskiego muzeum, żeby obejrzeć wystawę, na której wisiało między innymi parę akwarel Kristin. Obrazów, które namalowała zeszłego lata, siedząc w ogrodzie za domem. Kwiaty i drzewa w przyjemnym, łagodnym oświetleniu. Dwa Księżyce uważał, że to jej najlepsze prace, to on nalegał, żeby wzięła udział w konkursowej wystawie.

Kiedy się zakwalifikowała, o mało nie pękł z dumy.

Pięć razy przyjeżdżał do galerii w przerwach na obiad. Dwa razy zabrał ze sobą Steve'a. Steve powiedział, że prace Kristin bardzo mu się podobają.

Podczas piątej wizyty do galerii wkroczył Lany Olafson w towarzystwie pary w średnim wieku — dwojga ludzi, ubranych na czarno i noszących czarne, sztywniackie okulary. Nowojorski typ artysty. Cała trójka niemal biegiem zwiedziła wystawę. Olafson uśmiechał się — bardziej nawet prychał — kiedy wydawało mu się, że nikt nie patrzy.

Rzucił jadowite uwagi swoim nowojorskim przyjaciółom.

Tyle tylko, że Darrel wszystko widział i słyszał, nawet wtedy, kiedy

Olafson dotarł do akwareli Kristin i powiedział:

— Proszę, o to właśnie mi chodzi. Bezbarwne i mdłe jak pomyje.

Dwa Księżyce poczuł, że pierś rozpycha mu coś zupełnie innego niż duma.

Próbował się uspokoić, ale kiedy Olafson i tamta dwójka ruszyli do wyjścia, skoczył i zatarasował im drogę. Wiedział, że to zły pomysł, ale nie był w stanie się powstrzymać.

Jakby coś go opętało.

Uśmiech Olafsona zbladł.

— Przepraszam.

— Tamte obrazy, ten ogród — powiedział Darrel. — Uważam, że są niezłe. Olafson pogłaskał swoją białą brodę.

— Doprawdy?

— Tak, doprawdy.

— To świetnie.

Dwa Księżyce nie odpowiedział ani się nie poruszył. Nowojorczycy się cofnęli.

— Skoro zakończyliśmy już naszą pełną erudycji dyskusję — powiedział Olafson — czy byłby pan tak uprzejmy i zszedł mi z drogi?

— Co z nimi nie tak? — zapytał Dwa Księżyce. — Dlaczego je pan skrytykował?

— Nie skrytykowałem ich.

— Właśnie że tak. Słyszałem pana.

— Mam komórkę — powiedziała kobieta z Nowego Jorku. — Wezwę policję.

Sięgnęła do torebki. Dwa Księżycy się odsunął.

— Barbarzyńca — mruknął Olafson, kiedy go mijał.

Darrel czuł się jak idiota przez kilka dni, kilka tygodni. Nawet na samo wspomnienie tego zajścia robiło mu się głupio.

Po co w ogóle opowiedział o tym Kristin?

Bo wrócił do domu w podłym nastroju, ignorował dziewczynki.

Ignorował ją.

„Rozmawiaj”, powtarzała mu zawsze. „Musisz nauczyć się rozmawiać”.

Więc porozmawiali.

— Och, Darrel — powiedziała.

— Dałem ciała. Westchnęła.

— Skarbie... Zapomnij o tym. Nic się nie stało. Potem zmarszczyła brwi.

— O co chodzi?

— Te obrazki — powiedziała. One faktycznie są mdłe. Uświadomił sobie, że myśląc o tym, zgrzyta zębami i siłą woli zmusił się, żeby się odprężyć. No dobrze, nie lubił zabitego. Zdarzyło się to nie po raz pierwszy. Pracował już przy kilku sprawach, w podobnych okolicznościach, przy całym mnóstwie. Czasami ludzie dostawali po łapach albo i gorzej, bo byli źli albo głupi.

Nie powiedział Steve'owi o zajściu. Nie było powodu ani wtedy, ani

teraz.

Postanowił, że mocno się przyłoży do rozwiązania tej sprawy. Z jakiejś przyczyny decyzja ta wprawiała go w lepszy nastrój.

Starszy sierżant sztabowy Edward Montez był uosobieniem wojskowości, a Darrel, jego jedyne dziecko, dorastające w bazach od Północnej Karoliny do Kalifornii, został wychowany na jego podobieństwo.

W wieku siedemnastu lat — mieszkali wtedy w San Diego — gdy dowiedział się, że jego ojciec ma zostać wysłany do Niemiec, Darrel zbuntował się, poszedł do najbliższego biura werbunkowego piechoty morskiej i zaciągnął się do wojska. Po kilku dniach wysłano go na podstawowe szkolenie do Del Mar.

Matka płakała, kiedy pakowała mu walizki.

— Nic się nie stało, Mabel — powiedział ojciec. Potem zwrócił spojrzenie swoich czarnych oczu na Darrela. — Są trochę ostrzy, ale przynajmniej to wojsko.

— Spodoba mi się — powiedział Darrel, myśląc: co ja, do cholery, narobilem?

— Zobaczymy. Dopilnuj, żeby nauczyć się od nich czegoś oprócz zabijania.

— Na przykład czego? — Darrel potarł świeżo ogoloną głowę. Jeszcze nie doszedł do siebie po stracie sięgających do ramion włosów. Dziesięć sekund i leżały na podłodze zakładu fryzjerskiego na Starym Mieście.

— Na przykład czegoś pożytecznego — powiedział tata. — Jakiegoś

fachu. Chyba że przez resztę życia zamierzasz strzelać obcasami.

Odbył już połowę służby wojskowej, kiedy umarła jego matka. Mabel i Ed Montezowie byli nałogowymi palaczami. Darrel zawsze martwił się rakiem płuc. Mamę wykończył zawał. Miała zaledwie czterdzieści cztery lata, siedziała w salonie domku na osiedlu podoficerskim pod Hamburgiem i oglądała *Kolo fortuny* na wojskowej kablówce. Nagle głowa opadła jej na piersi i więcej się nie poruszyła. Jej ostatnie słowa brzmiały. „Kupuj samogłoskę, durniu”.

Piechota morska dała Darrelowi dwa tygodnie przepustki, potem wrócił do bazy w Oceanside. Był już wtedy kapralem, trenował rekrutów, zyskiwał reputację ostrego. Jeśli płakał, to niewiele, na osobności.

Jego ojciec opuścił armię i osiadł w Tampie na Florydzie, gdzie żył z emerytury i popadł w depresję. Pół roku później zadzwonił do Darrela i oznajmił, że przeprowadza się do Santa Fe.

— Dlaczego tam?

— Jesteśmy Indianami Santa Clara.

— No i? — Darrel był świadom swojego pochodzenia, ale nie przywiązywał do niego wagi. Traktował to jako abstrakcję, fakt z zamierzchłej historii. Kilka razy pytał swoich rodziców o przeszłość.

Zaciągali się wtedy camelami bez filtra i odpowiadali:

— Bądź z niej dumny, ale nie pozwól, żeby ci w czymkolwiek przeszkadzała.

A teraz ojciec przeprowadzał się do Santa Fe ze względu na swoje korzenie? Do Nowego Meksyku? Tata nie znosił pustyni. Kiedy mieszkali

w Kalifornii, nie można go było wyciągnąć do Palm Springs.

— Tak czy inaczej — powiedział Ed Montez — przyszedł czas.

— Na co?

— Na naukę, Darrel. Jeśli nie zacznę się czegoś uczyć, skurczę się i zdechnę jak ćma.

Darrel spotkał się z ojcem po raz kolejny, kiedy skończył służbę w piechocie morskiej; doszedł do wniosku, że woli mieć więcej włosów na głowie, i nie przedłużył kontraktu.

— Przyjedź tu, Darrel.

— Myślałem o Los Angeles.

— Dlaczego tam?

— Może poszedłbym do szkoły?

— Studia? — spytał zaskoczony ojciec.

— Aha.

— Co chciałbyś studiować?

— Może coś z komputerami — skłamał Darrel. Nie miał pojęcia, wiedział tylko, że chce móc spać do późna i spotykać się z dziewczynami, które nie są dziwkami ani maskotkami piechoty morskiej. Chciał się trochę zabawić.

— Komputery są w porządku — powiedział jego tata. — To talizmany naszego wieku.

— Co?

— Talizmany — powtórzył Ed Montez. — Symbole, totemy.

Darrel nie odpowiedział.

— To skomplikowana sprawa, Darrel. Przyjedź tu, tutaj też możesz chodzić do szkoły. Uniwersytet Stanu Nowy Meksyk to dobra uczelnia, ma ładny campus, są tu też różne stypendia dla Indian.

— Wolałbym Kalifornię.

— Nie mam tu nikogo — powiedział jego tata.

Kiedy Darrel wysiadł z samolotu w Albuquerque i zobaczył swojego ojca, prawie się przewrócił. Ed Montez zamienił się z ostrzyżonego na zero sierżanta w Wielkiego Wodza Indian. Włosy z pasmami siwizny i przedziałkiem pośrodku głowy sięgały mu za łopatki. Przytrzymywała je wyszywana paciorkami opaska.

Miał o wiele dłuższe „pióra” niż Darrel, którego kiedyś objeżdżał za to, że wygląda jak „hipisowski menel”.

Równie drastyczne zmiany zaszły w jego sposobie ubierania się. Nie nosił już golfowych koszul, wyprasowanych spodni i wypolerowanych do połysku pantofli. Ed Montez miał na sobie luźną lnianą koszulę, dżinsy i mokasyny.

Zapuścił też rzadką bródkę.

Uściskał mocno Darrela — kolejna nowość — wziął od niego torbę i oznajmił:

— Zmieniłem nazwisko. Nazywam się Edward Dwa Księżycy. Może też powinieneś pomyśleć o zmianie.

— Genealogia — wyjaśnił podczas godzinnej jazdy do Santa Fe. Okolica była jak na razie płaska i sucha, wzdłuż autostrady ciągnęły się pustkowia, co jakiś czas mijali indiańskie kasyna.

Zupełnie jak w Palm Springs.

Ograniczenie do stu dwudziestu na godzinę. Darrel uważał, że to wystarczająca prędkość. Jego ojciec wyciągał sto czterdzieści pięć, wszyscy inni też.

Tata zapalił papierosa i wydmuchnął dym w kabinę toyoty pickup.

— Nie ciekawi cię to?

— Co?

— Genealogia.

— Wiem, co to znaczy. Szukałeś swoich korzeni.

— Naszych korzeni, synu. Kiedy jechałem tu z Florydy, zatrzymałem się w Salt Lake City, poszedłem do mormonów i trochę poczytałem.

Dowiedziałem się kilku interesujących rzeczy. Potem, kiedy tu przyjechałem, przeczytałem kolejnych parę książek i zrobiło się jeszcze ciekawiej.

— Co takiego wyczytałeś? — spytał Darrel, chociaż nie był pewien, czy go to obchodzi. Zerkał na starego z ukosa. Edward Dwa Księżycy? Kiedy ojciec mówił, jego bródka wpadała w wibracje.

— Na przykład to, że nasz ród ciągnie się do pueblo Santa Clara. Po mojej stronie. Twoja mama pochodziła z Apaczów i Mohawków, ale to inna historia. Tym się jeszcze nie zająłem.

— W porządku — powiedział Darrel.

— W porządku?

— Co mam powiedzieć?

— Myślałem — odparł Ed — że cię to zaciekawi.

— Zawsze powtarzałeś, że to przeszłość.

— Zacząłem sobie cenić przeszłość. — Ojciec wsadził papierosa do ust, wyciągnął rękę i ścisnął nadgarstek Darrela. Nie puścił. Dziwne. Nigdy nie był z tych, co lubią dotyk.

— Jesteśmy spokrewnieni z Marią Montez, synu. W prostej linii, nie a żadnych wątpliwości.

— Kto to taki?

— Być może największa indiańska garncarka w dziejach. — Ed puścił ękę syna, odwrócił dłoń. Jej wnętrze było szare, pokryte jakimś pyłem.

— To glina, synu. Zacząłem się uczyć starożytnej sztuki.

— Ty?

— Nie dziw się.

Najbliższą sztuce rzeczą, na jaką zdobyli się rodzice Darrela, były bożonarodzeniowe kartki przyklejane taśmą do ścian ich tymczasowych domów. „Często się przenosimy”, wyjaśniała wtedy matka. „Jak narobi się w ścianach dziur, trzeba je potem łątać. Może nie jestem najbystrzej-sza, ale głupia też nie”.

— To naprawdę coś — ciągnął ojciec. — Trzeba znaleźć odpowiednią glinę, wykopać ją, potem ręcznie kształtować — nie używamy koła.

My?

Darrel się nie odzywał. Do Santa Fe zostało im dwadzieścia pięć kilometrów i okolica się zmieniła. Większe wysokości, dookoła malownicze góry. Zrobiło się bardziej zielono, małe różowe, beżowe i złote domki odbijały światło. Niebo było olbrzymie i niebieskie, bardziej

niebieskie, niż Darrel kiedykolwiek widział. Billboard reklamował

benzynę bez podatku w Pueblo Pojoaque. Inny informował, że w jakimś
eldorado powstają domy według projektów klienta.

Nieźle, ale Kalifornia to nie była.

— Nie używamy koła — powtórzył ojciec. — Wszystko robimy w
rękach, a to nie takie proste, mówię ci. Potem wypalanie, to dopiero jest
skomplikowane. Niektórzy używają pieców, ale ja wolę ognisko, bo na
dworze duchy są silniejsze. Jak się rozpali ogień z drewna, żar będzie w
sam raz. Jeśli coś jest nie tak, wszystko może popękać i cała robota na
nic. Gdy chce się uzyskać różne kolory, używa się krowiego łajna.

Wszystko trzeba wyciągać z żaru we właściwym momencie, a potem
wkładać z powrotem. To trudna sztuka.

— Na to wygląda.

— Nie zapytasz mnie, co robię?

— Co robisz?

— Niedźwiedzie — odparł tata. -1 wychodzą mi całkiem nieźle.

Wyglądają zupełnie jak prawdziwe.

— Świetnie.

Glina, łajno, duchy na dworze. Włosy ojca... Jezu, ależ były długie. Czy
to jakiś sen?

— Żyję po to, żeby robić niedźwiedzie, Darrel. Wszystkie te lata, kiedy
tego nie robiłem, były zmarnowane.

— Służyłeś krajowi.

Ed Montez zaśmiał się, zaciągnął papierosem i przyspieszył do prawie

stu sześćdziesięciu.

— Tato, mieszkasz w pueblu?

— Chciałbym. Jakiegokolwiek prawa mieliśmy w Santa Clara, już dawno wygasły. Ale jeżdżę tam na lekcje. Ładna droga. Udało mi się dogadać z Sally Montez. To praprawnuczka Marii. Świetna garncarka, zdobywała pierwszą nagrodę na wystawie Indiański Targ przez dwa lata z rzędu. Używa łajna, żeby uzyskać zestawienie czerwonego z czarnym. W zeszłym roku złapała grypę, nie dała rady, więc tylko o niej wspomnieli. Ale to i tak robi wrażenie.

— Gdzie mieszkasz, tato?

— W bloku. Emerytura wystarcza na czynsz i jeszcze trochę zostaje. Mam dwa pokoje, więc jest dla ciebie dużo miejsca. Założyłem kablówkę, bo antena nie sprawdza się przy wietrze.

Do mieszkania z ojcem, z nowym ojcem, musiał się przyzwycząić.

Dwupokojowe mieszkanie Edwarda Dwa Księżycy należałoby właściwie nazwać kawalerką z gabinetem. Pokój Darrela miał dwa i pół na trzy metry, był zastawiony regałami na książki i kanapą, rozkładającą się w podwójne łóżko.

Książki na półkach — to było coś nowego. Historia Ameryki, dzieje Indian. Sztuka. Dużo o sztuce.

W pokoju taty stało kadzidelko. Gandzia? — przeszło przez głowę Dar-relowi.

Ale jego ojciec po prostu lubił zapach kadzidla, kiedy czytał.

Nigdzie nie było widać ceramicznych niedźwiedzi. Darrel o nie nie

zapytał, bo nie chciał wiedzieć.

Jedno się nie zmieniło, ojciec wstawał o szóstej rano, codziennie, w weekendy też.

Ale nie robił już pompek na jednej ręce. Były starszy sierżant sztabowy Ed Montez witał każdy dzień godziną cichej medytacji. Potem przez następną godzinę rozciągał się i wyginał przy jednej z tuzina kaset wideo z ćwiczeniami jogi.

Tata wykonywał polecenia kobiet w trykotach.

Po jodze przychodziła pora na długi spacer i półgodzinną kąpiel oraz grzanki i czarną kawę na śniadanie, chociaż o tej porze należało raczej mówić o obiedzie.

O drugiej ojciec był już gotów na wyprawę do pueblo Santa Clara, gdzie wesola, korpulentna Sally Montez siedziała w pracowni na tyłach swojego przestronnego domu i lepiła wspaniale, wysadzane klejnotami dzieła sztuki z czarnej gliny. We frontowej części budynku mieścił się sklep, prowadzony przez męża Sally, Boba. Bob był jej dalekim kuzynem; Sally nie musiała zmieniać nazwiska.

Kiedy ona zabrała się do garnków, ojciec Darrela zgarbił się nad pobliskim stołem, marszcząc brew, przygryzając policzek i w skupieniu lepiąc swoje niedźwidzie.

Całe rodziny niedźwidzi, w najróżniejszych pozycjach.

Kiedy Darrel pierwszy raz zobaczył maleńkie zwierzęta, pomyślał o Złotowłosej. Potem już tego nie robił, w żadnym razie. Nie przypominały nawet niedźwidzi. Bardziej świnię. Albo jeże. Albo nic rozpoznawalnego.

Tata był nędznym rzeźbiarzem i Sally Montez o tym wiedziała. Ale

uśmiechała się i mówiła:

— Tak, Ed, coraz lepiej ci idzie.

Nie robiła tego dla pieniędzy; tata nie płacił jej ani grosza. Robiła to, bo była miła. Tak samo Bob. I ich dzieci. I większość ludzi, których Darrel poznał w pueblu.

Zaczął się zastanawiać.

Darrel mieszkał z ojcem już pół roku, gdy ten po raz kolejny wspomniiał o zmianie nazwiska. Siedzieli we dwóch na ławce w Plaža i jedli lody. Był wspaniały, słoneczny dzień. Darrel studiował zarządzanie na Uniwersytecie Stanu Nowy Meksyk, w pierwszym semestrze uzyskał średnią trzy i sześć dziesiątych, poznał dziewczyny, trochę się zabawiał.

— Jestem z ciebie dumny, synu — powiedział Ed, oddając Darrelowi indeks. — Opowiadałem ci już, skąd się wzięło moje nazwisko?

— Twoje nowe nazwisko?

— Moje jedyne nazwisko, synu. Liczy się tylko to, co tu i teraz.

Włosy urosły mu kolejne dziesięć centymetrów. Cały czas palił i jego skóra nabrała wyglądu starego pergaminu. Ale włosy miał gęste, młode i lśniące, mimo siwych pasm. Były dość długie, by zapleść je w porządny warkocz. Tego dnia były zaplecione.

— Tamtej nocy, kiedy podjąłem decyzję — powiedział — na niebie były dwa księżyce. Nie naprawdę, tak to tylko widziałem. Przez monsun. Siedziałem w mieszkaniu, robiłem kolację i padał monsunowy deszcz. Jeszcze tego nie widziałeś, ale zobaczysz. Niebo otwiera śluzy i łup.

Ściana deszczu. Dzień może być suchy, suchy jak pieprz, a potem nagle wszystko się zmienia. — Zamrugał oczami, na chwilę usta mu zwiotczały. — Suche parowy zmieniają się w pędzące strumienie. To robi wrażenie, synu.

Ed polizał swój rozek o smaku masła orzechowego.

— W każdym razie, robiłem kolację i zaczęło padać. Skończyłem jeść, usiadłem i zastanawiałem się, dokąd zaprowadzi mnie życie. — Znów mrugnięcie. — Zacząłem myśleć o twojej mamie. Nigdy nie mówiłem, co do niej czułem, ale uwierz mi, kochałem ją.

Odwrócił się. Darrel patrzył na turystów, przechodzących przed indiańskimi jubilerami i garncarzami, siedzącymi w podcieniach Pałacu Gubernatorów. Plaża po drugiej stronie ulicy pełna była budek z wytworami sztuki ludowej. Stała tam też scena z mikrofonem dla amatorów śpiewu. Kto powiedział, że śpiewanie piosenek folkowych to zapomniana sztuka? A może chodziło o śpiewanie bez fałszu.

— Kiedy myślałem o twojej mamie, wpadłem w dołek, ale też poczułem się trochę pewniej. Nie tak, jakbym był pijany. Raczej dodało mi to otuchy. Nagle zrozumiałem, że przyjeżdżając tu, dobrze zrobiłem.

Wyjrzałem przez okno, szyba była zupełnie mokra i widać było tylko czarne niebo i wielki, rozmyty księżyc. Tyle że księżyce były dwa; mokra szyba zakrzywiła światło i stworzyła taki efekt. Wyrażam się jasno?

— Refrakcja -powiedział Darrel. Skończył kurs fizyki dla humanistów, dostał czwórkę.

Ed spojrział z dumą na syna.

— Właśnie. Refrakcja. To nie były dwa osobne księżyce, raczej jeden nałożony na drugi, zachodziły na siebie może w dwóch trzecich. Coś pięknego. I ogarnęło mnie takie silne uczucie. To mówiła do mnie twoja mama. Bo tacy właśnie byliśmy. Cały czas razem, ale jako odrębni ludzie, zachodzący na siebie tylko na tyle, żeby się dogadywać. Mieliśmy po piętnaście lat, kiedy się poznaliśmy, musieliśmy czekać ze ślubem, aż skończymy siedemnaście, bo jej ojciec był starym alkoholikiem i nienawidził mnie.

— Myślałem, że dziadek cię lubił.

— Polubił mnie z czasem — powiedział Ed. — Kiedy ty go poznałeś, lubił już wszystkich.

Wspomnienia Darrela o dziadku były przyjemne i niewyraźne. Stary alkoholik? Jakie jeszcze niespodzianki ojciec chował w zanadrzu?

— W każdym razie te dwa księżyce to była twoja mama i ja.

Postanowiłem wtedy uczcić jej pamięć i zmienić nazwisko. Poszedłem do prawnika w mieście, potem do sądu i zrobiłem to. W świetle prawa stanu Nowy Meksyk to oficjalne i legalne nazwisko, synu. A co ważniejsze, jest święte w moich oczach.

Minął rok od czasu, kiedy Darrel zamieszkał z ojcem. U Edwarda Dwa Księżyce wykryto obustronnego, drobnokomórkowego raka płuc.

Nowotwór przerzucił się na wątrobę. Lekarze powiedzieli, żeby Ed wrócił do domu i cieszył się czasem, jaki mu pozostał.

Kilka pierwszych miesięcy niemal nie różniło się od poprzednich.

Pojawił się tylko uciążliwy, suchy kaszel, a oddech ojca stał się krótszy.

Tato dużo czytał o starożytnych indiańskich wierzeniach i wyglądał na pogodzonego z losem. Darrel udawał, że niczym się nie przejmuje, ale bez przerwy szczypały go oczy.

Ostatnie tygodnie były bardzo trudne dla nich obu. Cały miesiąc spędzony w szpitalu. Darrel siedział przy łóżku ojca i słuchał jego oddechu. Tępo wpatrywał się w monitory, zaprzyjaźnił z kilkoma pielęgniarkami. Łzy nie przychodziły, pojawił się tylko ból, głęboko w brzuchu. Schudł osiem kilo.

Ale nie czuł się słaby. Wręcz przeciwnie, miał wrażenie, że coś dodaje mu sił.

Ostatni dzień swojego życia Edward Dwa Księżycy przespał. Obudził się tylko raz, w środku nocy. Usiadł, ciężko dysząc i tocząc dookoła przerażonym spojrzeniem.

Darrel podbiegł i objął go. Próbował położyć ojca, ale ten upierał się, że chce siedzieć.

Darrel przestał go zmuszać i tata w końcu się rozluźnił. W poświacie monitorów jego twarz miała chorobliwy, zielony odcień. Poruszał ustami, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk. Chciał coś powiedzieć. Darrel patrzył mu prosto w oczy, ale ojciec już nic nie widział.

Darrel objął go mocno i przysunął ucho do jego warg.

Usłyszał suche charczenie. A później:

— Zmiana... synu. Jest. Dobra.

Potem ojciec znów zasnął. Godzinę później już nie żył. Dzień po pogrzebie Darrel poszedł do sądu i wypełnił wniosek o zmianę nazwiska.

Jadąc do domu, Katz rozmyślał o morderstwie. Doktor i Darrel mówili coś o tym, że morderca był wściekły, i może mieli rację. Ale gdyby kierowało nim tylko to uczucie, można by się spodziewać wielokrotnych ciosów, a nie jednego, miażdżącego.

Coś takiego pasowałoby do zaskoczonego włamywacza. Tak samo jak otwarty magazyn.

Jakaś konfrontacja, właściciel galerii oznajmia, że wzywa policję, odwraca się do napastnika plecami...

Głupi ruch, ale komentarze Olafsona na temat pozwania Barta i Emmy Skaggsów świadczyły o jego arogancji. Może był zbyt pewny siebie i nie potraktował włamywacza poważnie.

Użyto wielkiego, chromowanego młota, co sugeruje, że napastnik nie przyszedł z zamiarem morderstwa. Czy wybór narzędzia świadczył o jakiejś symbolice? Zabity przez sztukę, jak powiedział Darrel. A może po prostu ktoś wykorzystał to, co miał pod ręką?

Katz znalazł się na symbolach. Zawsze tak jest, kiedy człowiek żeni się z artystką.

Niedoszłą artystką.

Najpierw rzeźby, potem gówniane obrazki.

Nie tak ostro. Valerie miała trochę talentu. Po prostu miała go za mało.

Wypchnął ją z myśli i wrócił do sprawy. Nie wpadł na nic nowego, ale

kiedy dojechał do domu, ciągle się zastanawiał. Zaparkował samochód i wszedł do środka. Pokój był dokładnie taki, jakim go zostawił. Jak spod igły. Katz rozłożył łóżko, zjadł kolację, włączył telewizor i znów zaczął rozmyślać.

Mieszkał w dwudziestosiedmiometrowym budynku gospodarczym -właściwie zwykłej szopie — na terenie składu marmuru i granitu Rolling Stone na South Cerillos. Szopa wzniesiona z prefabrykowanych płyt z włókna szklanego składała się z kantorka i toalety. Ciepło zapewniał przenośny piecyk, klimatyzację — otwarcie okien. Katz gotował sobie na elektrycznej maszynie, rzeczy osobiste trzymał w stalowej szafce. Na widok za oknem składały się rzędy poustawianych pionowo kamiennych płyt i wózki widłowe.

Tymczasowe miejsce zamieszkania zamieniło się w stałe. Półstałe, któregoś dnia być może znajdzie sobie prawdziwy dom. Na razie nie było ku temu powodu, bo czynsz płacił minimalny, poza tym nie miał komu imponować. W Nowym Jorku za tę samą kasę dostalby co najwyżej połówkę w piwnicy.

Był średnim synem dentysty i higienistki, bratem dwóch kolejnych zę-bodlubów, wychowanym w Great Neck. W młodości lubił sport, za to kiepsko się uczył. Był czarną owcą w rodzinie stanowiącej modelowy przykład klasy średniej. Kiedy wyleciał z Uniwersytetu Stanu Nowy Jork w Birghamton, przez pięć lat pracował jako barman na Manhattanie, potem wrócił na studia i zrobił kurs prawa karnego.

W ciągu pięciu lat służby w nowojorskiej policji jeździł patrolowcem w

Bedford-Stuyvesant, trochę pracował jako tajniak i w areszcie. W końcu trafił na posterunek Dwa-Cztery, patrolował zachodni skraj Central Parku, od Pięćdziesiątej Dziewiątej do Osiemdziesiątej Szóstej ulicy. Przyjemna robota. A przynajmniej tak mu się wydawało przez jakiś czas. W dalszym ciągu dorabiał sobie jako barman, odkładał pieniądze na cor-vette, chociaż nie miał pojęcia, gdzie będzie ją trzymał ani kiedy będzie nią jeździł. Kiedy poznał Valerie, mieszał bezsensowne owocowe martini w barze w Village. W pierwszej chwili nie zwrócił na nią większej uwagi. Wpadła mu w oko jej koleżanka Mona. Kręciły go wtedy piersiaste blondynki. Później, kiedy dowiedział się, do jakiego stopnia Mona była szurnięta, podziękował opatrznosci, że mu z nią nie wyszło. Z Valerie też nie ułożyło się najlepiej, ale nie można było powiedzieć, że to przez to, iż była wariatką.

Po prostu...

Nie było sensu tego przeżuwać.

Poczytał książkę — policyjną powieść, w niczym nieprzypominającą znanej mu rzeczywistości i bardzo dobrze, tego właśnie było mu trzeba.

Po kilku minutach zrobił się senny, położył lekturę na podłodze, zgasił światło i wyciągnął się na łóżku.

Słońce wstanie już niedługo, a o siódmej Al Kilcannon i robotnicy ze składu mieli zacząć pokrzykiwać na siebie, śmiać się i odpalać maszyny.

Czasami Al przywoził swoje psy, a one ujadły jak wściekle. Katz na stoliku przy łóżku trzymał w pogotowiu zatyczki do uszu.

Ale może nie powinien ich używać. Może trzeba wstać, ciepło się ubrać

i przebiec kawalek, a potem przygotować się na spotkanie z Darrelem u Denny'ego.

Przebudzenie w tej norze potrafiło być przygnębiające. Katz nie tęsknił za Valerie, ale lubił witać poranek w towarzystwie śpiącego obok ciepłego ciała. Brakowało mu tego.

Może jednak trochę za nią tęsknił.

Był za bardzo zmęczony, żeby to wiedzieć.

Tamtej nocy, kiedy się spotkali, Monę poderwał jakiś frajer, a Valerie została sama. Kiedy wydostała się już z cienia przyjaciółki, okazała się całkiem interesującą dziewczyną i Steve wreszcie ją zauważył. Ciemne włosy do ramion, blada, owalna twarz, może pięć kilo za dużo, ale za to bardzo ładnie rozłożone. Wielkie oczy, nawet z daleka. Wyglądała na samotną i Katzowi zrobiło się jej żal, posłał jej darmowego cosmopolitana. Zerknęła na bar, uniosła brwi i podeszła.

Zdecydowanie ładnie rozłożone pięć kilo.

Razem wrócili do domu. Poszli do jej mieszkania w East Village, bo mieli tam pokój dla siebie, w przeciwieństwie do łóżka za zasłonką w dwu-pokojowym mieszkaniu Katza na Trzydziestej Trzeciej, które dzielili z trzema innymi facetami.

Przez cały czas Valerie była ponura, rzadko się odzywała, ale seks nakręcił ją jak budzik i kochała się jak tygrysica. Kiedy skończyli, wyjęła z torebki skręta i zapaliła go. Powiedziała Steve'owi, że jest rzeźbiarką i malarką, dziewczyną z Detroit, że skończyła studia na Uniwersytecie Stanu Nowy Jork, że nie miała jeszcze wystawy w żadnej galerii, ale

sprzedala kilka swoich dzieł na ulicznych jarmarkach. Steve powiedział jej, gdzie pracuje w dzień. Valerie spojrzala na popiół po skręcie.

— Zamkniesz mnie?

Zaśmiał się i wyjął własny zapas. Podzielił się z nią.

Pobrali się trzy miesiące później. Pospieszny, cywilny ślub okazał się kolejnym rozczarowaniem dla rodziny Katza. Jak się okazało, dla rodziny Valerie też. Jej tata był adwokatem. Wychowywała się na granicy dwu środowisk i rodzicom przysparzała samych problemów.

Na początku sprzeciw rodziny wydawał się wystarczać, by scementować ich związek. Wkrótce okazało się, że to zbyt mało, aby być razem, i po roku między Steve'em a Valerie wytworzył się układ polegający na wzajemnym unikaniu się, uprzejmym schodzeniu sobie z drogi i okazjonalnym seksie, uprawianym z coraz mniejszym zapalem.

Katzowi podobała się praca w policji, ale nigdy nie rozmawiał o tym z Valerie, bo rozmowy wydawały mu się dobre dla mięczaków, a poza tym okrucieństwo raniło jej weganską duszę. W dodatku jej własna kariera stała w miejscu i to, że Steve zadowolony był ze swojej pracy, nie poprawiało jej nastroju.

W noc, kiedy wszystko się zmieniło, pracował na drugiej zmianie, za partnera mając weterana z dziesięcioletnim stażem o nazwisku Sal Pe-trello. Noc była spokojna. Pogonili z parku kilkoro dzieciaków, które coś kombinowały, pomogli niemieckiemu turyście trafić na Piątą Aleję, sprawdzili wezwanie do napadu, który okazał się głośną sprzeczką pary w średnim wieku. Dziesięć minut przed północą dostali zgłoszenie: chory

psychicznie mężczyzna, biegający nago niedaleko Central Park West i
Osiemdziesiątej Pierwszej.

Kiedy tam dotarli, niczego nie znaleźli. Żadnego wariata, gołego czy
ubranego, żadnych świadków, którzy wzywali policję, w ogóle żadnych
ludzi. Tylko ciemność i zarośla, i odgłosy samochodów z ulicy.

— Pewnie jakiś dowcip — powiedział Petrello. — Komuś się nudziło.

— Pewnie tak — zgodził się Katz. Ale nie był przekonany. Coś laskotało
go w kark, tak mocno, że sięgnął tam dłonią, żeby sprawdzić, czy jego
skóry nie bada jakiś robak.

Robaka nie było, tylko laskotanie.

Szukali jeszcze przez pięć minut. Nic nie znaleźli. Zgłosili centrali, że
to fałszywy alarm, i ruszyli do radiowozu.

— I bardzo dobrze — powiedział Petrello. — Na co komu świr?

Już prawie doszli do samochodu, kiedy tamten wyskoczył z krzaków i
zatarasował sobą ścieżkę. Wielki, umięśniony facet, o kwadratowej
twarzy i kanciastej szczęce. Ogolona głowa, pierś jak dwa wielkie kawały
wołowiny. Goły jak święty turecki.

I podniecony. Zawył i machnął ręką. W lewej dłoni miał coś
błyszczącego. Petrello stał bliżej. Cofnął się, wyciągając broń, ale nie dość
prędko. Facet znów ciał i policjant wrzasnął. Złapał się za rękę.

— Steve, chlasnął mnie!

Katz miał już wyciągnięty pistolet. Goły wariat szcherzył się w
uśmiechu, ruszył w jego stronę, wszedł w krąg światła latarni i Steve
zobaczył, co tamten miał w dłoni. Brzytwa. Perłowa rękojeść. Rdzawa

czerwień krwi Petrello.

Nie spuszczał ostrza z oczu, zerknął na partnera. Sal przyciskał mocno jedną dłoń do rany. Spod palców sączyła się krew. Sączyła, nie tryskająca. Dobrze, czyli nie przeciął arterii.

Sal jęknął.

— A to skurwiel. Rozwał go, Steve.

Wariat ruszył na Katza, zataczając brzytwą maleńkie kółeczka. Katz wymierzył mu w twarz.

— Stój, nie ruszaj się!

Wariat spojrział w dół, na swoje krocze. Był bardzo podniecony.

— Strzelaj, Steve! — wrzasnął Sal. — Nic nie powiem. Jezu, potrzebny mi plaster. Zastrzel go wreszcie, na litość boską!

Wariat się zaśmiał. Nie odrywał wzroku od wyprężonego członka.

— Odlóż brzytwę — rozkazał Katz. — Natychmiast. Czubek opuścił rękę, jakby chciał go posłuchać. Zaśmiał się tak, że Katzowi zmroziło krew w żyłach.

— O Boże — powiedział Sal.

Obaj patrzyli z niedowierzaniem na szaleńca, który machnął brzytwą w dół, pozbawiając się męskości.

Departament wysłał Katza i Petrella do psychiatrów. Petrello nie miał nic przeciw temu, bo i tak mu płacili. Planował dłuższy urlop. Katzowi decyzja szefów nie podobała się z kilku różnych powodów.

Valerie wiedziała, co się stało, bo pisali o tym w „Post”. Chciała, żeby Steve z nią porozmawiał przynajmniej raz. Więc w końcu to zrobił.

Westchnęła.

— Obrzydliwość. Uważam, że powinniśmy się przeprowadzić do Nowego Meksyku.

W pierwszej chwili pomyślał, że żartowała. Potem uświadomił sobie, że nie.

— Jak mógłbym to zrobić?

— Po prostu to zrób, Steve. Najwyższy czas, żebyś zrobił coś spontanicznie.

— Co to niby ma znaczyć?

Nie odpowiedziała. Rozmawiali w swoim mieszkaniu na Zachodniej Osiemnastej, Valerie kroїła salate, Katz robił sobie kanapkę z wołowiną. Z zimną wołowiną. Valerie nie przeszkadzało, że jadł mięso, ale nie mogła znieść zapachu, jaki wydzielalo podczas gotowania.

Kilka lodowatych chwil później odložyla nóz, podeszła do Steve'a, objęła go w pasie i dotknęła nosem jego nosa. Cofnęła się, jakby gest nie zadziałal.

— Bądźmy szczerzy, Steve. Między nami nie uklada się najlepiej. Ale ja zamierzam wierzyć, że to nie przez nas. To miasto wysysa z nas energie. Tyle tu duchowego brudu. Jestem na takim etapie życia, że potrzebuję spokoju, Steve, anie trucizny. W Santa Fe jest spokój. Trudno wyobrazić sobie miejsce, które bardziej różniloby się od Nowego Jorku.

— Byłaś tam?

— W liceum. Pojechaliśmy całą rodziną. Oni poszli na zakupy do Gapa i Banana Republic, jak zwykle. Ja przeszłam się po galeriach. Mają ich

tam na pęczki. To małe miasto ze świetnym żarciem, klubami, a przede wszystkim pełne sztuki.

— Jak małe?

— Sześćdziesiąt tysięcy. Katz się roześmiał.

— To jeden kwartał tutaj.

— Właśnie.

— Kiedy chciałabyś tam pojechać?

— Im szybciej, tym lepiej.

— Val — powiedział. — Do porządnej emerytury brakuje mi jeszcze sporo lat.

— Emerytury są dla schorowanych starców. Ty wciąż masz jeszcze szansę na młodość.

Co to miało znaczyć?

— Muszę to zrobić, Steve. Duszę się tu.

— Daj mi się zastanowić.

— Nie zastanawiaj się zbyt długo.

Tego samego wieczoru, kiedy Valerie położyła się spać, Steve włączył komputer. Wszedł do Internetu i znalazł stronę Departamentu Policji Santa Fe.

Departament był malutki, a zarobki nie dorównywały nowojorskim.

Mieli jednak kilka fajnych rzeczy — umożliwiali rozpoczęcie pracy na

dawnym stanowisku, można było zabierać służbowy wóz do domu z

limitem stu kilometrów. Wolny etat dla detektywa. Katz zastanawiał się nad przejściem na to stanowisko, ale wiedział, że musiałby poczekać w

kolejce w Dwa-Cztery czy któryś z sąsiadujących rejonów.

Sal Petrello opowiadał wszystkim, że Katz zmarł. Że tylko zwykłym fartem wariat obciął fiuta sobie, a nie któremuś z nich.

Steve pobawił się jeszcze trochę komputerem, znalazł kilka kolorowych fotek Santa Fe. Ładne, na pewno. Niebo nie mogło być aż tak niebieskie, pewnie ktoś podrasował zdjęcia.

Bardziej wioska niż miasto.

Pewnie nudno tam jak cholera, ale z drugiej strony, jakie to fascynujące rzeczy robił w swoim wielkim mieście? Pogasił światła, wsunął się do łóżka obok Valerie, położył dłoń na jej pupie.

— Dobra, zróbmy to.

Chrząknęła, zdjęła jego rękę.

Większość ich dobytku stanowiły śmieci, więc czego nie pozbyli się na wyprzedazy,

po

prostu

porzucili.

Spakowali

ubrania

oraz

malarsko--rzeźbiarskie akcesoria Valerie i ciepłego wiosennego dnia przylecieli do Albuquerque. Na lotnisku wynajęli samochód i pojechali do Santa Fe.

Niebo jednak mogło być aż tak niebieskie.

Katz przestraszył się, że od tego spokoju i rozległych przestrzeni oszaleje. Nie odzywał się. Przez ostatnie kilka nocy śnił mu się wariat z brzytwą. W snach zakończenie nie było tak szczęśliwe. Może rzeczywiście powinien oczyścić duszę.

Wynajęli dom przy St. Francis, niedaleko DeVargas Center. Val poszła kupić sobie nowe farby i pędzle, a Steve wpadł na posterunek policji.

Przytulny, mały budynek, z tyłu duży parking. Wszyscy wyluzowa-ni. I ta cisza.

Komisarz okazał się kobietą. Zapowiadało się interesująco.

Wziął formularz aplikacji i zabrał go ze sobą do domu. Został tam podekscytowaną Valerie, opróżniającą torbę tubek z farbami i pędzli na składany stół, na którym jedli.

— Cofnęłam się na Canyon Road — powiedziała. — Jest tam sklep z akcesoriami. Można by pomyśleć, że będą drogie, ale kosztowały dwie trzecie tego, co zapłaciłabym w Nowym Jorku.

— Super — odparł.

— Czekaj, to nie koniec. — Przyjrzała się tubce kadmowej żółci.

Uśmiechnęła się, odłożyła ją. — Kiedy czekałam w kolejce, zobaczyłam paragon przypięty na ścianie za kasą. Stary paragon, poźółkły. Z lat pięćdziesiątych. Zgadnij, czyj.

— Van Gogha.

Spojrzała na niego z wyrzutem.

— Georgii O'Keeffe. Mieszkała tam, zanim kupiła ranczo. Kupowała swoje rzeczy w tym samym sklepie, co ja.

Jakby to ci mogło pomóc, pomyślał Katz.

— To niesamowite — powiedział.

— Nie nabijaj się ze mnie, Steve.

No co ty — zaproponował. — Uważam, że to naprawdę super. Nie umiał kłamać. Oboje o tym wiedzieli.

Potrzebowała

trzech

miesięcy,

żeby

go

rzucić.

Dokładnie

dziewięćdziesięciu czterech dni, podczas których Katz dostał etat

funkcjonariusza trzeciej klasy i obietnicę rozpatrzenia jego kandydatury

na detektywa w ciągu dwóch miesięcy, o ile nie pojawi się ktoś z większym

doświadczeniem.

— Muszę być szczery — powiedział porucznikowi Barnesowi. —

Pracowałem jako tajniak, ale to nie była prawdziwa dochodzeniówka.

— Daj spokój — odparł Barnes. — Spędziłeś pięć lat w Nowym Jorku,

jestem pewien, że dasz sobie u nas radę.

Dziewięćdziesiątego czwartego dnia Katz wrócił do domu i zobaczył,

że rzeczy Valerie zniknęły. Na składanym stole znalazł liścik.

Drogi Steve,

Myślę, że Cię to nie zaskoczyło, nie czujesz się w tym związku lepiej

*niż ja. Poznałam kogoś i dostałam drugą szansę na szczęście. Ty też
powinieneś być szczęśliwy. Pomyśl, że ci pomagam, a nie robię
krzywdę. Zapłacę połowę czynszu za ten miesiąc plus rachunki.*

Tym kimś, kogo poznała, był facet, który za dnia jeździł taksówką i
twierdził, że jest rzeźbiarzem. Katz szybko się przekonał, że takie właśnie
było Santa Fe. Każdy tu był artystą.

Val wytrzymała z Taksówką miesiąc, ale nie miała ochoty wracać do
Katza. Zamiast tego rozpoczęła ciąg romansów z typami podobnego
pokroju, wciąż zmieniając adresy i malując swoje ohydne abstrakcje.

To było małe miasto i bez przerwy na nią wpadał. Faceci, z którymi
sypiała, zawsze z początku denerwowali się, kiedy spotykali Katza.

Potem, gdy docierało do nich, że nie zamierza ich bić, odprężali się, a na
ich twarze wypelzał zawsze ten sam przebiegły, zadowolony z siebie
wyraz. Katz wiedział, co to znaczy — doświadczyli Valerie pod postacią
tygrysicy.

On nie bzykał w ogóle. Nie przeszkadzało mu to. Nie miał libido, cały
poświęcił się swojej nowej pracy. Nosił niebieski mundur, który leżał na
nim lepiej niż ciuchy w Nowym Jorku. Jeździł po mieście i uczył się
rozkładu okolicy, cieszył się towarzystwem kolejnych, wyluzowanych
partnerów, rozwiązywał problemy, które dawało się rozwiązać.

Płacić czynsz za tak duży dom było głupotą, ale mieszkał tam siłą
rozpędu, nie mogąc się zmusić do przeprowadzki. Potem, którejs nocy,
dostał wezwanie do intruza na terenie składu marmuru i granitu Rolling
Stone. Tego typu wezwania zazwyczaj były fałszywymi alarmami, ale tym

razem złapał jakiegoś chłopaka, chowającego się między kamiennymi płytami. Nic wielkiego, palant szukał kryjówki, żeby wciągnąć trochę koki. Katz aresztował go i przekazał kumplom z narkotyków.

Właściciel składu, wielki, ciężki, rumiany mężczyzna nazwiskiem Al Kil-cannon przyjechał na miejsce, kiedy Katz pakował chłopaka do samochodu.

— Pan z miasta? — zapytał, kiedy usłyszał akcent Steve'a.

— Z Nowego Jorku.

— A jest jakieś inne miasto?

Kilcannon pochodził z Astorii w Queens, pracował z jakimiś Grekami w branży kamieniarskiej. Dziesięć lat temu przeprowadził się do Santa Fe, bo jego żona chciała mieć ciszę i spokój.

— Ze mną było tak samo — powiedział Katz, pakując chłopaka na tylny fotel radiowozu i zatrzaskując drzwi.

— Podoba jej się tu?

— Kiedy ostatnio z nią rozmawiałem, mówiła, że tak.

— Och — powiedział Kilcannon. — To jedna z tych, no, artystka? Katz się uśmiechnął.

— Życzę miłego wieczoru.

— Do zobaczenia, panie Katz.

I zobaczyli się tydzień później. Wypili brudzia w barze na Water Street. Kilcannon był już nieźle wstawiony, ale umiał słuchać.

— Wiesz co — powiedział, kiedy Katz wspomniał, że myśli o przeprowadzce — mam domek w składzie. Nic wielkiego, mieszkał tam

mój dzieciak, kiedy studiował i nie mógł na nas patrzeć. Teraz mieszka w Boulder i domek stoi pusty. Jestem skłonny pójść na układ: dwie stówki miesięcznie, w tym rachunki, jeśli będziesz tam mieszkał i pilnował interesu.

Katz się zastanowił.

— A jak będę spał?

— To będziesz spał, Steve. Chodzi o to, żeby ktoś tam był.

— Cały czas nie wiem, co miałbym robić.

— Być — powtórzył Kilcannon. ~ Gliniarz na miejscu odstraszy złodziei. Zostawiaj swój policyjny wóz tak, żeby było go widać z ulicy.

Mam sporo drogiego sprzętu, opuszczają mi na ubezpieczeniu.

— Zamieniam się wozem z partnerem — odparł Katz. — Nie mogę go zabierać do domu codziennie.

— Daj spokój, Steve. Jak będzie, to będzie. Najważniejsze, że tam zamieszkasz i że wszyscy będą o tym wiedzieli. Nie naciskam, ale obaj moglibyśmy na tym skorzystać. Jest tam nawet kablówka.

Katz dopił drinka.

— Jasne, dlaczego nie? — powiedział.

Odkąd się tam przeprowadził, złapał złodzieja marmuru, zupełnego idiotę, który próbował w pojedynkę zwinąć Kilcannonowi ostatnią płytę norweskiego różowego. Nic więcej, nie licząc kilku bezdomnych psów i ko-jociej mamy, która przywędrowała aż z Sangres i powiła małe między dwoma płytami brazylijskiego błękitnego.

Obaj, on i Al, dobrze na tym wyszli, uznał Katz. Jeśli nie miało się nic

przeciwko mieszkaniu w takich warunkach.

Leżał na łóżku, zupełnie nie czując zmęczenia. Wiedział, że następny dzień przejedzie na adrenalinie, złoży się dopiero pod wieczór.

Ale wbrew sobie zasnął. Myśląc o Valerie. O tym, dlaczego jej nazwisko znajdowało się w palmtopie Larry'ego Olafsona.

Obaj detektywi szybko poradzili sobie ze śniadaniem. Darrel wstał wcześniej i siadł do komputera. Znalazł obecny adres Barta i Emmy Skaggsów.

— W Embudo. Podano numer mieszkania, czyli nie było ich stać na przeprowadzenie się do jakiegoś domku — powiedział Katzowi. — Pomyśleć, że kiedyś hodowali bydło.

— W Embudo jest ładnie — zaproponował Katz.

— To mieszkanie, Steve. — W oczach Darrela błysnęła złość.

— Nie lubisz naszego zabitego.

Darrel popatrzył na Katza bez słowa. Odsunął talerz.

— Chodźmy. Na autostradzie powinno być już pusto.

Embudo leżało osiemdziesiąt kilometrów na północ od Santa Fe, w miejscu, gdzie autostrada spotyka niespokojną Rio Grandę. Miasteczko było ładne i zielone, przypominało oazę na środku pustyni. Chociaż panowała długotrwała susza, dzięki rzece okolica była bujnie zarośnięta i wilgotna.

Skaggsowie mieszkali w wynajmowanym pokoju nad garażem za przydrożnym sklepem, w którym sprzedawano ubrania, chili, marynowane warzywa i kasety z ćwiczeniami jogi. Właścicielką była roztrzepana, siwowłosa kobieta

koło

pięćdziesiątki,

z

jakimś

środkowoeuropejskim akcentem.

— Sprzątają u mnie, a ja opuszczam im czynsz — powiedziała. — Mili ludzie. Po co panowie przyjechaliście?

— Lubimy miłych ludzi — stwierdził Dwa Księżyce.

Katz obejrzał opakowanie chili. Nagroda błękitnej wstążki w ubiegłorocznym konkursie.

— To dobrzy ludzie — powiedziała siwowłosa kobieta. Miała na sobie czarne spodnie od dresu, czerwoną, jedwabną bluzkę i dziesięć kilo bursztynu.

Katz uśmiechnął się do niej, odłożył paczkę i pospieszył za Dwoma Księżycami.

— Policja? — Emma Skaggs otworzyła drzwi i westchnęła. — Proszą wejść, chyba znajdzie się dla panów trochę miejsca.

Mieszkanie nie było większe od szopy Katza. Stał tam taki sam piecyk i identyczna elektryczna maszynka. Maleńka łazienka znajdowała się w głębi. Niski sufit i niewielkie okienka, wycięte w ścianach z prawdziwej glinianej cegły nadawały pokoikowi wygląd więziennej celi. Widać, że ktoś włożył nieco wysiłku w to, by wewnątrz stało się przytulniejsze. Na starej, niewygodnej wiktoriańskiej kanapie leżały wytarte poduszki, na tandetnym regaliku stały wymięte książki w miękkich okładkach, na

kamienną podłogę rzucono poprzecierane, ale ładnie ufarbowane
dywaniki kupione od Indian Navajo, a na blacie aneksu kuchennego stało
kilka sztuk puebloskiej ceramiki.

Nad

ceglanym

kominkiem

wisiało

zdjęcie,

przedstawiające

wychudzone krowy pasące się na żółtej łące.

W łazience ktoś spuścił wodę, ale drzwi się nie otworzyły.

Emma Skaggs zdjęła gazety z dwóch składanych krzeseł i gestem
zaprosiła detektywów, żeby usiedli. Była niską, żylastą, ogorzałą kobietą,
która wyglądała na swój wiek, miała ufarbowane na rudo włosy i
zmarszczki tak głębokie, że mogłaby w nich przemycać drogie kamienie.

Do tego niebieskie dżinsy opięte na twardych biodrach i wełniany,
dziergany sweter. W pomieszczeniu było chłodno. Skaggs miała płaską
pierś. Jej oczy były szare.

— Przyszliście panowie w sprawie Olafsona — powiedziała.

— Słyszała pani.

— Oglądam telewizję. I jeśli się panom wydaje, że dowiecie się tu
czegoś interesującego, marnujecie czas.

— Toczyliście z nim państwo spór — powiedział Darrel.

— Nie — odparła Emma Skaggs. — To on toczył spór z nami.

Radziliśmy sobie, dopóki ten bydlak się nie zjawiał.

— Nie żal go pani.

— Ani trochę. Kawy?

— Nie, dziękujemy.

— A ja się napiję.

Emma dwoma krokami znalazła się przy kuchni i naląła sobie kubek czarnej kawy. Talerze stały na suszarce, puszki, butelki i pojemniki poustawiano równo obok siebie, ale mimo to mieszkanko było zagracone.

Za dużo rzeczy, za mało miejsca.

Drzwi do łazienki otworzyły się i wyszedł z nich Bart Skaggs, wycierając dłonie. Miał krzywe nogi, szerokie bary i zwisający nad klamrą pasa rodeo brzuch. Nie był wiele wyższy od żony, a jego skóra miała ten sam upieczony, zasuszony wygląd — wynik dziesiątek lat działania promieni ultrafioletowych.

Bez wątpienia usłyszał detektywów, bo nie był zaskoczony ich obecnością.

— Kawy? — spytała Emma.

— Aha, jasne.

Bart Skaggs podszedł bliżej, wyciągnął na powitanie szorstką jak papier ścierny lewą dłoń. Prawą miał owiniętą bandażem. Spod opatrunku wystawały spuchnięte palce. Nie usiadł.

— Mówiłam panom — powiedziała Emma — że niczego się od nas nie dowiedzą.

Bart pokiwał głową.

— Pana żona twierdzi — zaczął Dwa Księżyce — że żyło się państwu spokojnie, dopóki nie pojawił się Olafson.

— On i inni. — Bart Skaggs wypchnął językiem policzek.

— Inni, czyli Leśna Przystań.

— Raczej Leśne Piekło — powiedziała Emma. — Banda oszołomów, którzy nie przeżyliby w lesie dwóch godzin, gdyby zostawić ich tam bez komórek. A on był najgorszy.

— Olafson.

— Dopóki on się w to nie wmieszał, tamci ograniczali się do gadania. A potem nagle zaczęliśmy dostawać pisma z sądu. — Jej skóra nabrała różowego odcienia, a oczy koloru burzowych chmur. — To było tak nie w porządku, że chłopak, który nam je przynosił, przeproszał.

Bart Skaggs znów pokiwał głową. Emma podała mu kubek. Bart zgiął nogę, rozprostował kolano i napił się. Oceniał detektywów wzrokiem znad krawędzi kubka.

— Jeśli spodziewaliście się panowie, że będziemy kłamać o tym, jak nas zadusili — powiedziała Emma — to zmarnowaliście czas.

— Często to robimy — powiedział Katz.

— Na pewno — odparła Emma. — Ale my nie marnowaliśmy czasu.

Kiedy jeszcze było nam wolno uczciwie przepracować cały dzień. Nie marnowaliśmy ani minuty i to nie dlatego, że mieliśmy plan, jak się wzbogacić, bo nie da się dojść do bogactwa na bydle. Wiecie panowie, ile teraz płacą od sztuki? A wszystko przez tych wegetarian, co rozpowiadają kłamstwa o dobrym, zdrowym mięsie.

Jej mąż znów przytaknął. Typ silnego milczka?

— Mimo to — ciągnęła Emma — lubiliśmy tę robotę. Nasze rodziny zajmowały się tym od pokoleń. Komu szkodziliśmy, wypasając stado na chwastach i roślinach, które i tak trzeba było skosić, bo tego wymagały przepisy przeciwpożarowe? Przecież losie robią to samo. Łosie nie zostawiają nawozu w strumieniach? A tego nigdy nie robiliśmy, cokolwiek ludzie mogą mówić.

— Czego? — spytał Darrel.

— Nie brudziliśmy wody. Pilnowaliśmy, żeby stado zawsze załatwiała się z dala od wody. Szanowaliśmy ziemię, i to o wiele bardziej niż jakieś oszłomy od ochrony środowiska. Chce pan mieć zdrowe środowisko? Powiem panu, co to jest zdrowe środowisko: ranczo. Zwierzęta, które robią to, co mają robić, i tam, gdzie mają to robić. Wszystko na swoim miejscu. Tak, jak wymyślił to Bóg.

— Larry Olafson położył temu wszystkiemu kres — powiedział Katz.

— Próbowaliśmy z nim rozmawiać, przekonać go. Prawda, Barton?

— Aha.

— Sama do niego dzwoniłam, kiedy dostaliśmy pismo z sądu. Nie chciał nawet odebrać. Miał tam u siebie jakiegoś smarkacza, który powtarzał w kółko to samo, jak zacięta płyta. „Pan Olafson jest zajęty”. O to właśnie chodziło. My też chcieliśmy móc się zająć robotą, którą dał nam Bóg. My też mieliśmy swoje plany.

— Udało się państwu z nim skontaktować? — spytał Dwa Księżyce.

— Musiałam pojechać do Santa Fe, do tej jego galerii sztuki.

— Kiedy to było?

— Parę miesięcy temu, kto by to pamiętał? — Prychnęła. — O ile można to nazwać sztuką. Zajęty? Łaził i popijał kawę z pianką. Przedstawiłam się i powiedziałam mu, że robi wielki błąd, że nie jesteśmy wrogami ziemi, jego ani nikogo innego, że chcemy tylko sprzedawać naszą wołowinę, że jeszcze kilka lat i pewnie przejdziemy na emeryturę, więc czy mógłby dać nam spokój?

— Naprawdę zamierzaliście państwo przejść na emeryturę? — spytał Katz.

Emma Skaggs oklapła.

— Nie było innego wyjścia. Jesteśmy ostatnim pokoleniem zainteresowanym hodowlą.

Katz współczująco pokiwał głową.

— Dzieci mają własne pomysły na życie.

— Nasze na pewno. Dziecko, jedno. Bart Junior. Jest księgowym w Chicago, chodził do szkoły do Northwestern i już tam został.

— Dobrze sobie radzi — powiedział Bart. — Nie lubi się brudzić.

— Nigdy nie lubił — dodała Emma. -1 bardzo dobrze. Wyraz jej twarzy mówił, że to wcale nie tak dobrze.

— A więc powiedziała pani Olafsonowi, że do emerytury brakuje państwu tylko kilku lat — powiedział Dwa Księżyce. — Co on na to?

— Popatrzył na mnie, o tak. Jakbym była niedorozwiniętym dzieckiem. Powiedział: „To nie moja sprawa, droga pani. Ja występuję w imieniu ziemi”.

Emma opuściła głos o oktawę, do parodii barytonu — tonu

zarozumiałego kamerdynera w filmie komediowym. Dłonie zwinęła w pięści.

— Nie chciał pani słuchać — powiedział Katz.

— Jakby był Bogiem — odparła Emma. — Jakby ktoś umarł i uczynił go Bogiem.

— A teraz to on sam nie żyje — powiedział Bart. Wymawiał słowa cicho, ale wyraźnie. Odkąd detektywi tu przyjechali, to była najbliższa niezależnemu stwierdzeniu rzecz, jaką od niego usłyszeli. Odwrócili się do niego.

— Wie pan coś o tym, proszę pana? — spytał Dwa Księżyce.

— O czym?

— O śmierci pana Olafsona.

— Wiem, że dobrze się stało — odparł Bart. — Bardzo dobrze. Upił łyk kawy.

— Co się panu stało w rękę, panie Skaggs? — spytał Darrel.

— Skaleczył się o drut kolczasty — powiedziała Emma. — Zostało nam kilka starych rolek, Bart woził je do komisju, pośliznął się i rozorał sobie rękę. To były duże rolki. Powiedziałam mu, że to robota na dwie osoby, a nie na jedną, ale jak zwykle mnie nie posłuchał. Uparciuch z niego.

— A z ciebie niby nie — odgryzł się Bart.

— Kiedy to się stało? — spytał Dwa Księżyce.

— Cztery dni temu — odparł Skaggs. — W końcu nie zawiozłem tego drutu do komisju.

— Musiało boleć.

Bart wzruszył ramionami. Detektywi zamilkli.

— Robicie panowie błąd, jeśli myślicie, że on miał z tym coś wspólnego. — Emma pokręciła głową. — Bart nigdy w życiu nie zrobił nic okrutnego. Nawet kiedy zabija zwierzę, robi to łagodnie.

— Jak to się robi, panie Skaggs? — zapytał Katz.

— Co?

— Łagodnie zabija.

— Strzela się — powiedział Skaggs. — O, tu. — Sięgnął za głowę i dotknął palcem miejsca, gdzie szyja łączy się z czaszką. — Strzela się pod kątem w górę. Trzeba trafić w rdzeń przedłużony.

— Nie ze strzelby, prawda? — spytał Katz. — Z bliska robi za dużo bałaganu.

Bart spojrział na niego jak na kosmitę.

— Używa się karabinu albo wielkokalibrowego pistoletu z nabojami magnum.

Emma zasłoniła sobą męża.

— Umówmy się co do jednego, nigdy nie zabijaliśmy zwierząt na dużą skalę. To by było wbrew przepisom. Wysyłamy bydło do zakładów w Iowa, oni sami wszystkim się tam zajmują. Chodziło mi o sytuacje, kiedy potrzebowaliśmy mięsa na własny stół. Mówiłam Bartowi, on przyprawdzał starego wołu do zagrody i kończył jego cierpienia. Nigdy nie braliśmy dla siebie najlepszego mięsa. Ale nawet stare, jak sieje przetrzymaw lodówce, aż trochę skruszeje, a potem zamarynuje, na

przykład w piwie, to wychodzi z niego smaczny stek.

Bart Skaggs rozprostował wolną rękę. Opatrunek na jego dłoni poślókł trochę na brzegach i był poznaczony kropkami krwi.

— Żydowscy rabini tną nożem po gardle. Widziałem, jak to robią w Iowa. Jeśli człowiek umie się posługiwać nożem, a nóż jest ostry, to idzie szybko. A ci rabini umieją ciąć. Nawet ich nie ogłuszają. Jeśli nie zrobi się tego dobrze, zaczynają się kłopoty.

— Państwo je ogłuszacie — powiedział Katz.

— Na wszelki wypadek.

— Zanim je zastrzelicie.

— Aha. Żeby je uciszyć.

— Jak to się robi?

— Trzeba odwrócić ich uwagę, mówić do nich, spokojnie i cicho, pocieszająco. A potem wali sieje w łeb.

— W rdzeń?

Bart pokręcił głową.

— Z przodu, między oczy. Żeby je skołować.

— Czym sieje wali? — spytał Katz.

— Łomem — odparł Bart. — Młotem. Miałem kawał ośki od starej ciężarówki. Też się nadawał.

— Próbuję to sobie wyobrazić — powiedział Katz. — Najpierw wali je pan z przodu, a potem biegnie na drugą stronę i strzela z tyłu?

W pokoju zapadło milczenie.

— Czegoś nie zrozumiałem? — spytał Katz.

Twarz Emmy stwardniała.

— Widzę, do czego to wszystko zmierza. Naprawdę marnujecie panowie czas.

Jej mąż nagle chwycił ją za ramię i odsunął, tak że nie zagradzała mu już drogi. Zaczęła coś mówić, ale się rozmyśliła. Bart wbił wzrok w Katza.

— Jeśli się strzela, to się nie głuszy. Ktoś inny je ogłusza, a kiedy nogi się pod nimi ugną, wtedy się strzela. W przeciwnym razie zwierzę zaczyna się miotać, może podskoczyć i się pudłuje. To się zdarza, trzeba strzelać kilka razy i czystą robotę diabli wzięli.

Jak na niego była to cała przemowa. Zapalił się do tematu.

— Wygląda to na zadanie dla dwojga — stwierdził spokojnie Dwa Księżyce.

Znów milczenie.

— Aha — przytaknął w końcu Bart.

— Robiliśmy to razem — powiedziała Emma. — Ja trzymałam młot, a Bart karabin. Tak samo robiliśmy wszystko inne, kiedy jeszcze mieliśmy ran-czo. W zespole. Tak właśnie trzeba. Dlatego udało się nam małżeństwo.

— Krowy to duże zwierzęta — zauważył Darrel. — Żeby uderzyć pod dobrym kątem, musiała pani na czymś stanąć, prawda?

— Czemu to takie ważne? — spytała Emma.

— Powiedzmy, że jesteśmy ciekawi, proszę pani. Spojrzała na niego nieprzyjaźnie.

— Stawała pani na drabinie, pani Skaggs? — spytał Katz.

— Zwierzę jest w zagrodzie -powiedział Bart. — Ciasnej zagrodzie, więc nie może się za bardzo poruszać. Zagrodę na ranchu wkopaliśmy w ziemię, trochę głębiej niż resztę. Sprowadzało się je tam po pochylni. Do tego mieliśmy ławy, żeby stać odpowiednio wysoko.

Mały człowiek czuł się wielki, kiedy zabijał, pomyślał Katz.

— To nie jest fizyka kwantowa. — Emma popatrzyła na nich z niechęcią. — Powinniście się panowie wstydzić... Żeby z dwojga starszych ludzi robić kryminalistów.

Dwa Księżyce wzruszył ramionami.

— Mówię tylko, że ja na państwa miejscu bardzo bym nie lubił

Olafso-na. Zabrał państwu chleb.

— Zrobił coś gorszego. Zabrał ten chleb, a potem go spalił. Wiedział, że ledwie się trzymamy na powierzchni, więc posłał nas na dno. — Machnęła ręką, wskazując mały, ciasny pokoik. — Myśli pan, że chcieliśmy tak wegetować? On nie żyje. Prawda, nie ronię za nim łez. Ale może pan być pewien, że przez nas nie spadł mu włos z głowy. Żywy czy martwy, dla nas to żadna różnica. Sąd powiedział, że nie możemy hodować stada, koniec, kropka.

— Tak jak pani powiedziała — odparł Dwa Księżyce — zanim Olafson nie przyłączył się do grupy, tamci tylko gadali. Skoro on nie żyje, nie moglibyście wrócić z tą sprawą do sądu?

— Za czyje pieniądze? — Emma spojrzała na Darrela. — Jest pan Indianinem, prawda? We mnie płynie krew Czoktawów, z dawnych czasów. Może dlatego uwielbiałam pracować na ranchu. Powinien pan

zrozumieć, o czym mówię. Ten człowiek oskarżał nas o gwałcenie ziemi,
ale to on zgwałcił nas.

— Zemsta potrafi być słodka — powiedział Katz.

— Niech pan nie będzie idiotą! — warknęła Emma. — Dlaczego
miałabym rujnować sobie życie przez tego typu? Mam swoje zdrowie,
Barton też.

Uśmiechnęła się niespodziewanie, trochę jadowicie.

— Poza tym rząd Stanów Zjednoczonych co miesiąc przysyła mi czek,
nieważne, czy leżę w łóżku, czy wstaję. To dopiero raj, prawda? To ziemia
obiecana.

Starsi państwo zaprowadzili detektywów na zewnątrz, do szopy za
garażem, wyglądającej, jakby za chwilę miała się rozsypać. W środku było
zimno jak w psiarni, chłód bijący od ziemi przenikał podeszwy butów.

Bart pokazał detektywom rolkę drutu kolczastego i różne inne rupiecie, w
tym kołowrót do holowania. Wielki, ciężki, miejscami zardzewiały. Jeśli
była gdzieś na nim krew, detektywi jej nie widzieli.

Bez ostrzeżenia Bart odwinął bandaż z dłoni i pokazał im poszarpaną
ranę, długą na jakieś pięć centymetrów, ciągnącą się od błony między
kciukiem a palcem wskazującym do sękatego nadgarstka.

Rana była zszyta najgrubszą nicią chirurgiczną, jaką Katz w życiu
widział. Krawędzie rozcięcia zaczynały pokrywać się strupem, spod
szwów sączyła się krew, a skóra napuchła i poczerwieniała. Rana
wyglądała na kilkudniową.

Katz zapytał o nazwisko doktora, który zakładał szwy.

Emma Skaggs się roześmiała.

— Patrzy pan na tego doktora — powiedział Bart.

— To pani, pani Skaggs?

— Nikt inny.

— Ma pani kwalifikacje pielęgniarki?

— Mam kwalifikacje żony — odparła Emma. — Łatam go od czterdziestu lat.

Bart wyszczerzył się z zadowoleniem i podsunął im ranę pod oczy.

— Mam igły weterynaryjne i nici, zostały mi z rancza — powiedziała

Emma. — Do niego trzeba się brać z grubymi. Ma skórę jak byk. Mam też weterynaryjne antybiotyki. Takie same jak dla ludzi, tyle że dla zwierząt są o wiele tańsze.

— Czym pani znieczuła? — spytał Katz. — Z drugiej strony, może wolę nie wiedzieć.

— Crown royal, czterdzieści trzy procent. — Bart wybuchł głośnym, czkającym śmiechem. Chwilę trwało, zanim się uspokoił. -Napatrzyliście się, koledzy?

Zaczął z powrotem owijać dłoń.

— Wygląda na trochę zakażoną.

— „Trochę” to kluczowe słowo — powiedziała Emma. — „Trochę” jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziło.

— Oprócz pana Olafsona — odparł Katz. — Znają państwo kogoś, kto mógłby go nie lubić?

— Nie — powiedziała Emma. — Ale jeśli innych traktował tak samo jak

nas, musiało być takich ludzi całkiem sporo.

Czy mielibyście państwo coś przeciwko temu, żebyśmy przysłali tu technika, który pobierze od państwa odciski palców?

— Nie mielibyśmy nic przeciwko — powiedział Bart.

— Traktujecie nas jak kryminalistów — mruknęła Emma.

— To rutynowe postępowanie — zaprotestował Dwa Księżycy.

— Odciski Barta muszą gdzieś być — powiedziała Emma. — Z czasów jego służby w Korei. Moich nie ma, ale proszę bardzo.

— Do tego czasu byłoby dobrze — dodał Darrel — gdybyście się państwo nigdzie dalej nie ruszali.

— Jasne -powiedziała Emma. — Właśnie mieliśmy lecieć do El

Moroko, czy jak to się tam nazywa. — Odwróciła się do męża. — No, tam, gdzie uprawiają hazard i noszą drogie garnitury jak na filmach o Jamesie Bondzie?

— Monako — powiedział Bart. — Sean Connery gra tam w bakarata.

— Właśnie. — Odwróciła się znów do detektywów. — Zawsze lubił filmy.

— Polej whisky, stara, i szyjemy — powiedział Katz, kiedy jechali z powrotem.

— Pasują ci do tego morderstwa?

— Wystarczająco go nienawidzili i wiedzą, jak porządnie dać w łeb, ale jeśli Ruiz się nie myli co do kąta zadania ciosu, oboje są zbyt niscy.

— Może przywieźli drabiną. — Sam Darrel uśmiechnął się na tę myśl.

— A do tego dmuchane buty i plastikowy kwiatek, który pryska wodą

-powiedział Katz. — Gdyby byli aż tak przygotowani, przywieźliby ze sobą broń. Użycie przedmiotu znalezionej na miejscu może świadczyć o tym, że nie było to morderstwo z premedytacją. W galeriach sztuki pewnie są drabiny, żeby wieszać wysoko obrazy, więc teoretycznie któraś mogła być akurat wystawiona. Tyle tylko, że u Olafsona ściany nie są aż tak znów wysokie, a pomyśl, że któreś z nich wdrapało się na drabinę, żeby go palnąć, brzmi dość głupio.

— Masz rację — przyznał Darrel. — Gdyby ci dwoje chcieli go ukatrupić, przyjechaliby przygotowani. A ich syn?

— Księgowy w Chicago? Dlaczego on?

— Nie lubił brudzić sobie rąk, ale mógł się wściec, że tatko i mama stracili swoje ranczo. Może uznał, że jako biały kołnierzyk będzie mógł się dogadać z Olafsonem jak równy z równym. A jeśli przyleciał tu, żeby się z nim spotkać, a gość potraktował go tak samo jak jego mamuszkę? Słowo do słowa, Olafson go splawił, odwrócił się z tą swoją arogancją, a Barta Juniora poniosło.

Z tą swoją arogancją. Jakby Darrel go znał.

— Jak się obraża czyjąś matkę, to nigdy nic nie wiadomo — powiedział Katz. — Sprawdźmy też syna.

Tuż za miastem utknęli w korku i na posterunek dojechali za piętnaście druga. Droga z Embudo z powrotem do Santa Fe prowadziła obok zjazdu do puebla Santa Clara, ale Dwa Księżyce wydawał się tego nie zauważać.

Zresztą i tak nic by nie powiedział. Kiedyś Katz próbował porozmawiać z nim o jego indiańskich korzeniach. Darrel zmienił temat. Następnego dnia przyniósł jednak małego, ceramicznego niedźwiadka. Trochę topornego, ale nawet ładnego.

— Mój ojciec robił to przez ostatnie miesiące życia — wyjaśnił Dwa Księżyce. — Zrobił ich około pięciuset, trzymał je w pudłach. Kiedy umarł, dała mi to jego nauczycielka garncarstwa. Powiedziała, że nie był z nich dumny, że chciał poczekać, aż dojdzie do wprawy, zanim pokaże mi wszystkie swoje prace. Że moja aprobata była dla niego ważna. Uznała, że powinienem je zabrać. Możesz go sobie wziąć, jeśli chcesz.

— Ładny — powiedział Katz. — Na pewno, Darrel?

— Tak, jasne. — Dwa Księżyce wzruszył ramionami. — Dałem kilka dziewczynkom, ale ile mogą mieć? Jeśli znasz jeszcze jakieś dzieciaki, mam tego dużo.

Od tamtej pory niedźwiadek dotrzymywał Katzowi towarzystwa, kiedy ten gotował, czy raczej podgrzewał jedzenie. Stał obok elektrycznej maszynki. Katz nie wiedział, co figurka miała symbolizować, ale podejrzewał, że miało to coś wspólnego z siłą.

Dwaj detektywi kupili sobie na posterunku po kanapce z automatu i sprawdzili Bartona Skaggsa Juniora w bazach danych.

Nie był notowany, ale jego nazwisko pojawiło się kilka razy w Google.

Junior był wymieniony jako partner w dużej chicagowskiej firmie, zeszłego lata wygłosił wykład o podatkach. Katz i Dwa Księżycy pogrzebali trochę w Internecie i znaleźli jego adres na Północnym Wybrzeżu Pętli, niedaleko Michigan Avenue.

— Ładna okolica — zauważył Katz. — Chyba nad samą wodą.

— Przegryzanie się przez liczby bije na głowę pędzenie bydła — stwierdził Dwa Księżycy. — Zadzwońmy do niego.

Zastali Skaggsa w firmie. Mówił głosem człowieka wykształconego i odczytanego, wszelkie ślady spędzonego na farmie dzieciństwa dawno zniknęły. Z pozoru wydawał się nie mieć nic wspólnego ze swoimi rodzicami, ale w miarę jak mówił, robił się coraz bardziej asertywny i detektywi usłyszeli w jego głosie cięty ton matki.

— Jestem zdumiony, że w ogóle myślicie panowie o mamie i tacie w tym kontekście.

— Nie myślimy, proszę pana — powiedział Katz. — Zbieramy tylko informacje.

— Czy jedno oskarżenie nie wystarczy? Zostali zniszczeni finansowo i emocjonalnie, a teraz wy podejrzewacie ich o coś tak strasznego? Nie do wiary. Dobrze panom radzę, skierujcie swoje wysiłki gdzie indziej.

— Kiedy ostatni raz był pan w Santa Fe, panie Skaggs?

— Ja? W zeszłe Boże Narodzenie. Czemu?

— A więc nie utrzymywał pan regularnych kontaktów z rodzicami?

— Oczywiście, że się kontaktujemy. Często ze sobą rozmawiamy.

— Ale nie przyjeżdża pan tu?

— Powiedziałem panu przed chwilą: „w zeszłe Boże Narodzenie”.

Spędziłem razem tydzień, przywiozłem swoją rodzinę. Dlaczego pan...

— Zastanawiam się tylko — ciągnął Katz — czy spotkał się pan kiedyś z Lawrencem Olafsonem.

Minęło kilka uderzeń serca, zanim Barton Skaggs Junior

odpowiedział.

— Nigdy. Po co miałbym się z nim spotykać? — Zaśmiał się ochryple.

-To chyba najbardziej niedorzeczna rozmowa, jaką prowadziłem od dawna. I tak sobie myślę, że porają skończyć.

— Proszę pana — powiedział Darrel. — Ciekawi mnie jedna rzecz. Pana rodzice mają kłopoty finansowe. Z tego co widziałem, mieszkają w podłych warunkach. Pan z kolei...

— Zarabiam dużo pieniędzy — przerwał Junior. — Mieszkam na

Północnym Wybrzeżu, jeżdżę mercedesem. Wysyłam dzieci do

prywatnych szkół. Myśli pan, że nie próbowałem im pomóc?

Zaproponowałem, że ich tu sprowadzę, urządzę im ładne mieszkanie,

pokryję wszystkie koszty, chociaż Bóg jeden wie, jak poradziłoby sobie w

mieście. Kupiłbym im nawet nowy dom gdzieś w Nowym Meksyku, tak

żeby mogli trzymać jakieś zwierzęta, a lewicowe oszołomy nie mogli im

dokuczać. Odmówili.

— Dlaczego?

— Dlaczego? — W głosie Juniora zabrzmiało niedowierzanie. — Poznał ich pan. Nie może pan być aż tak... mało spostrzegawczy. Jak pan myśli? Mają swoją dumę. Są uparci. A może to po prostu zwykła inercja. Oni są rodzicami, ja jestem ich dzieckiem, a więc ja biorę od nich. W drugą stronę się nie da. A teraz, na miłość Boską, dajcie im spokój. Dajcie im żyć.

Kilka następnych godzin detektywi spędzili na próbach ustalenia, czy Barton Skaggs Junior odbył niedawno jakieś wycieczki do Santa Fe. Po jedenastym września zadanie to było utrudnione. Linie lotnicze zrobiły się ostrożne, więc pytania grzęzły na kolejnych barykadach biurokracji. Odsyłani z działu do działu, z uszami obolałymi od słuchawek telefonów, Katz i Dwa Księżyce doszli w końcu do przekonania, że Skaggs nie leciał z Chicago do Albuquerque ani z żadnego innego miasta na Środkowym Zachodzie do żadnego w Nowym Meksyku. Nie przyleciał też prywatnym lotem wprost na lotnisko Santa Fe. Żaden z większych hoteli nie miał jego nazwiska w księdze gości.

— Wierzę mu — oznajmił Dwa Księżyce.

— Może przyjechał tu swoim mercedesem — powiedział Katz. —

Mieszkał w samochodzie. W takiej skórze musiało mu być przytulnie.

— Nie wydaje mi się.

— Dlaczego nie?

— Po prostu.

— Przemawiają do ciebie duchy, Darrel?

— Raczej nie wyobrażam sobie, że zostawiłby pracę i rodzinę, żeby

przywlec się do Santa Fe i zatłuc Olafsona. I dlaczego miałby to robić

akurat teraz? To bez sensu. Musi być jakieś lepsze wyjaśnienie.

— Powiedz jakie.

— Powiedziałbym, gdybym je znał. — Dwa Księżyce podrapał się w głowę. — Co teraz?

Katz też podrapał się w głowę. Gest był zaraźliwy.

— Zadzwonimy do doktora powiedział — i sprawdzimy, czy skończył autopsję.

Ruiz skończył oględziny zwłok, ale nie miał im nic nowego do powiedzenia.

— Wszystko pasuje do mojej pierwszej hipotezy. Jeden potężny, miazdzący cios w głowę załatwił sprawę. Widać, w którym miejscu kości zostały wepchnięte w mózg.

— Wciąż pan uważa, że zabójca był wysokim facetem — powiedział Dwa Księżyce.

— Albo niskim facetem na szczudłach.

— Co z badaniem toksykologicznym?

— Dokładne dane jeszcze nie przyszły, ale mogę wam powiedzieć, że w krwiobiegu Olafsona nie było alkoholu ani narkotyków.

— Czyścioch — powiedział Katz.

— Przynajmniej ostatnio — zgodził się doktor Ruiz. — Na wątrobie były jakieś zastarzałe blizny po marskości, co wskazuje na nadużywanie alkoholu w przeszłości.

— Nawrócony pijak.

— Albo po prostu facet, który postanowił wziąć się w garść.

— Tyle na temat dobrych intencji — powiedział Dwa Księżyce.

Darrel zadzwonił do żony. Katz zadzwonił do galerii. Odebrała Summer Riley.

— Dowiedzieliście się czegoś? — spytała.

— Jeszcze nie, panno Riley. Zginęły jakieś dzieła sztuki?

— Dopiero zaczęłam sprawdzać spis. Jak na razie nic, ale są tu całe tony płócien bez ram.

— Czy pan Olafson wspominał coś o swoim dawnym problemie z alkoholem?

— Pewnie — odparła Summer. — Nie krył się z tym. Tak jak ze wszystkim innym.

— Co pani powiedział?

— Chodziliśmy na obiady i zamawiałam kieliszek wina. Larry patrzył na niego... tęsknie, wie pan, o co mi chodzi? Ale zamawiał wodę.

Powiedział, że kiedy był młody, dużo pił, że to był jeden z powodów, dla których rozpadło się jego małżeństwo. Powiedział, że miał szczęście, bo znalazł pomoc.

— Gdzie?

— Jakiegoś duchowego doradcę.

— W Nowym Jorku?

— Właśnie — powiedziała Summer. — Dawno temu.

— Zna pani nazwisko byłej żony pana Olafsona?

— Chantal. Teraz Chantal Groobman. Jak Robert Groobman. — Cisza

w słuchawce. — Groobman i Wspólnicy? Doradztwo inwestycyjne? To olbrzymia firma!

Jej entuzjazm dowiódł tego, co Katz zawsze podejrzewał. Że rozmiar się jednak liczy.

W apartamencie Groobmanów na Park Avenue telefon odebrała kobieta mówiąca z angielskim akcentem. Katz, patrząc na adres, od razu się zorientował, gdzie to jest: między Siedemdziesiątą Trzecią i Siedemdziesiątą Czwartą. Wyobraził sobie dziesięć pokoi o wysokich sufitach, nadętą pokojówkę w uniformie w mieszkaniu i równie nadętego odźwiernego w liberii na dole. Poczul przelotne ukłucie tęsknoty.

— Pani Groobman?

— Mówi Alicia Smali, jej osobista asystentka.

Katz przedstawił się i spróbował nowojorskiej gadki. To był zły ruch.

Kobieta nie miała ochoty na poufalości i z miejsca zrobiła się lodowato nieuprzejma.

— Pani Groobman jest niedysponowana.

— A kiedy przestanie być niedysponowana?

— Nie mam pojęcia. Prześlę jej pana wiadomość.

— Przekáže pani? — spytał Katz. — Czy to znaczy, że nie ma jej w mieście? Chwila milczenia.

— Jest w mieście. Proszę zostawić swój numer, poinformuję ją...

— Czy wie pani, że jej były mąż został zamordowany?

— Tak, wiem o tym — powiedziała Alicia Smali.

— Jak długo pracuje pani dla „madame”?

— Trzy lata. Jeśli to wszystko, panie Katz...

— Detektywie Katz.

— Przepraszam. Detektywie Katz. Jeśli to wszystko...

— Nie, to nie wszystko. Potrzebne mi imiona i nazwiska dzieci pana Olafsona.

— Nie wolno mi rozmawiać o rodzinie.

— To wiedza publiczna. — Katz nie próbował nawet kryć irytacji. —

Dlaczego utrudnia mi pani życie?

— Skąd mam wiedzieć, że jest pan tym, za kogo się podaje?

— Proszę, to mój numer służbowy w Departamencie Policji Santa Fe.

Proszę zadzwonić i sprawdzić mnie, byle nie trwało to za długo.

Większość ludzi nie korzystała z tej propozycji.

— Proszę powtórzyć ten numer — powiedziała Alicia Smali.

Za drugim razem była tak samo chłodna, ale już zrezygnowana.

— Co chciałby pan wiedzieć?

— Imiona i nazwiska dzieci ofiary.

— Tristan i Sebastian Olafsonowie.

— Ile mają lat?

— Tristan dwadzieścia, a Sebastian dwadzieścia trzy.

— A gdzie mogę ich znaleźć?

— Panie Katz, naprawdę, czuję się niezręcznie...

— Detektywie.

— Tak, tak, detektywie Katz.

Była zirytowana, ale Katz też nie miał dobrego humoru.

— Panno Smali, pani samopoczucie nie jest tu najważniejsze. Muszę porozmawiać z chłopcami.

W słuchawce rozległo się westchnienie.

— Tristan jest na Uniwersytecie Browna, a Sebastian podróżuje po Europie.

— Gdzie się udał?

— Do Włoch.

— A dokładniej?

— Do Wenecji.

— Gdzie się zatrzymał?

— Z tego co ostatnio słyszałam, w Hotelu Danieli.

— Wakacje?

— Studiuję kolekcję Peggy Guggenheim.

— Historyk sztuki?

— On maluje. Do widzenia, panie Katz — powiedziała Alicia Smali, akcentując wyraźnie słowo „pan”.

Podzielili się młodymi Olafsonami. Katz zastał Tristana w akademiku w Brown. Chłopak miał niski głos dorosłego mężczyzny, a o śmierci ojca dowiedział się od matki.

— Macie jakieś pomysły? — spytał Katza. — Kto go zabił?

— Jeszcze nie. A pan?

— Mógł to zrobić każdy. On nie był zbyt lubiany.

— Dlaczego?

— Po prostu nie dało się go lubić. — Cyniczny śmiech. — Wiedziałby

pan o tym, gdyby choć trochę się pan tym zainteresował.

Katz zignorował przytyk i spróbował wyciągnąć z chłopaka coś więcej, ale Tristan nie miał już nic do powiedzenia. Wydawał się nieporuszony stratą rodzica. Kiedy Katz odłożył słuchawkę, uświadomił sobie, że chłopak ani razu nie powiedział o Olafsonie inaczej, niż „on”.

Dwa Księżycy powiedział Katzowi, że odnalazł Sebastiana Olafsona.

Spał w swoim pokoju w Danieli.

— Wkurzył się. Nie tylko dlatego, że go obudziłem. Bardziej dlatego, że zwracałem mu głowę, zadając pytania o Olafsona. Powiedział, że ojciec był wrednym człowiekiem.

— Drugi syn tak samo.

— Nie ma to jak rodzinne więzy.

— Powszechnie lubiany trup — powiedział Katz. — To dopiero będzie beczka śmiechu.

O dziewiętnastej byli gotowi się zbierać. Kiedy wkładali marynarki, zadzwonił telefon na biurku Katza. Włączyła się sekretarka. Chantal Groobman odpowiadała na jego wiadomość. Oslupiały Katz popędził z powrotem do biurka. Jednocześnie z Darrelem podnieśli swoje słuchawki.

— Mówi detektyw Steve Katz. Dziękuję, że oddzwoniła pani tak szybko.

— W czym mogę panu pomóc, detektywie Katz?

Miała przyjemny głos, lekki i przyjazny. Po starciu z jej asystentką Katz spodziewał się muru niechęci.

— Cokolwiek może nam pani powiedzieć o swoim byłym mężu, będzie

nam pomocne, proszę pani.

— Biedny Larry — powiedziała. — Mógł mieć dobre zamiary, ale miał talent do rozdrażniania ludzi. Jestem przekonana, że to wynikało po części z jego zachowania, z prób zwracania na siebie uwagi. Reszta to czysta strategia. Kiedy Larry zaczynał pracę w swojej branży, odkrył, że sztuka odbiera ludziom, nawet bogatym ludziom, poczucie

bezpieczeństwa. Stał się mistrzem subtelnego zastraszania. Zrozumiał, że dawka wykalkulowanej podłości może pomóc mu w karierze.

— Kupujący dzieła sztuki lubią, kiedy się nimi pomiata? — spytał Katz.

— Niektórzy tak, niektórzy nie. Klucz to wiedzieć, kogo maltretować, a do kogo się łąsić. Larry był w tym niezły. Ale czasami nawet najlepszy tancerz myli krok. Ma pan jakichś podejrzanych?

— Jeszcze nie.

— Biedny Larry — powtórzyła. — Naprawdę uważał, że jest nieśmiertelny.

— Przepraszam, że o to pytam, ale czy przykre zachowanie pana Olaf-sona było powodem państwa rozwodu?

— W jakiejś części na pewno — powiedziała Chantal Groobman. — Ale

głównym powodem było to, że oboje odkryliśmy, iż Larry nie jest do końca pewien.

— Czego?

— Niech pan zgaduje, detektywie Katz.

Gardłowy śmiech. Jak Valerie, gdy zamieniała się w tygrysicę.

— Swojej orientacji seksualnej.

— Zgadza się. Ma pan nowojorski akcent. Jest pan stąd?

— Tak, proszę pani.

— Ależ jesteśmy sprytni, my, nowojorczycy.

— A więc pan Olafson się ujawnił? — spytał Katz.

— Kiedy go poznałam, szukał swojego prawdziwego ja. Pan pewnie wie lepiej, jak się ułożyło jego życie miłosne. Nie widziałam Larry'ego od lat.

Moi synowie też nie. Wiem, że się państwo z nimi kontaktowaliście, i przypuszczam, że to było konieczne. Ale prosiłabym, żebyście zostawili ich państwo w spokoju. Śmierć Larry'ego bardzo ich wzburzyła.

— Proszę pani — powiedział Katz — z całym szacunkiem, nie wydawali się bardzo wzburzeni.

— Nie zna ich pan, detektywie Katz. Jestem ich matką.

— Jak układało im się z ojcem?

— Gardzili nim. Kiedy byli mali, Larry ich ignorował. Kiedy weszli w wiek dojrzewania, poświęcił im trochę uwagi, ale pod postacią jadowitej krytyki. Larry potrafił być zjadliwy. Tak czy inaczej, brak więzi rodzicielskich nie miał nic wspólnego z jego śmiercią. Wczoraj Tristan bronił pracy dyplomowej na uniwersytecie i jestem gotowa poświadczyć

to na piśmie. Sebastian pracował w muzeum, jak to robił od czterech miesięcy, cały czas w towarzystwie tamtejszego personelu.

— Dobrze się pani przygotowała, pani Groobman.

— Tak zrobiłby każdy rodzic. Każdy prawdziwy rodzic.

— Kiedy ujawniło się seksualne niezdecydowanie pana Olafsona?

— Zawsze był niezdecydowany, detektywie. To ja byłam zbyt głupia, żeby to dostrzec. Problem pojawił się, kiedy sam Larry zdał sobie z tego sprawę.

— Wtedy zaczął pić?

— Ach — powiedziała. — A więc wie pan i o tym. Czy Larry się wygadał?

— Autopsja wykazała stare blizny na wątrobie. .

— Och — powiedziała Chantal Groobman. — Jakie to... smutne.

Głos naprawdę się jej załamał przed tym słowem.

— Pan Olafson opowiadał swoim przyjaciołom, że pomógł mu duchowy doradca.

— Tak to nazywał? — zdziwiła się. — Nigdy nie uważałam doktora

Weem-sa za osobę szczególnie uduchowioną. Raczej za religijnego... trenera.

Nazwisko wydało się Katzowi znajome, ale nie potrafił sobie przypomnieć dlaczego.

— Jaką specjalizację ma ten doktor?

— Chyba nawet nie wiem. Larry nie mówił, a ja nie pytałam.

Wtedy Katz przypomniał sobie obraz w domu Olafsona. Małe dzieci tańczące wokół gaika; podpisany Michael Weems.

— Czy to możliwe, że doktor Weems szukał innego rodzaju związku z pani mężem?

— Jakiego? Seksualnego? — Zaśmiała się. — Nie sądzę.

— Myślałem raczej o mecenacie. Skoro on był artystą, a pani mąż mar-szandem.

— Weems artystą? — Znów śmiech. — Pan żartuje! Pan wybaczy, w to nie uwierzę.

— Dlaczego, proszę pani?

— Myron Weems to ostatnia osoba, którą podejrzewałabym o zainteresowanie sztuką.

— Chodziło mi o Michaela Weemsa — powiedział Katz.

— Ach... oczywiście. Teraz rozumiem pana zdziwienie. Tak, Michael Weems to znany artysta. A także kobieta, detektywie. Myron był jej mężem.

— Był?

— Jeszcze jedna więź małżeńska, która pękła. Mimo uduchowienia, którym chlubi się Myron.

— Artystka i pastor. Ciekawa para.

— Pochodzą z Nebraski — powiedziała Groobman. — Czy z jakiegoś innego płaskiego miejsca. Prości ludzie, sól ziemi. Oboje chodzili do szkółki niedzielnej. Michael miała talent i przyjechała do Nowego Jorku, bo przecież tu ściągają wszystkie talenty, prawda? Szybko się wybiła, to artystka pierwszej klasy. Myron przyjechał razem z nią i próbował wspiąć się po drabinie towarzyskiej.

— Doradca duchowy w świecie sztuki? — spytał Katz.

— Coś w tym rodzaju. Potem doszedł do wniosku, że ten świat mu się nie podoba, rozwiódł się z żoną i wrócił do Nebraski. Czy skąd tam oboje byli.

— Ale najpierw pomógł panu Olafsonowi.

— Jeśli tak Larry opowiadał ludziom, to musiało tak być. A teraz naprawdę muszę kończyć, detektywie. Już jestem spóźniona na przyjęcie.

Klik.

Katz miał jeszcze parę pytań, ale kiedy zadzwonił jeszcze raz, usłyszał, że telefon dzwoni, a sekretarka się nie włączyła.

Wraz z Darrelem znów ruszyli do wyjścia, dotarli po schodach na parter, kiedy zawołał ich Bobby Boatwright.

— Hej! — krzyknął z głębi korytarza.

Włamał się do komputera Olafsona i pokrótce streścił, co tam znalazł.

— Nie miał żadnych poważniejszych zabezpieczeń. Hasło brzmiało „Olafsonszuka”. Nie miał też za wiele do ukrycia. W „zakładkach” miał kilka serwisów o wycenie dzieł sztuki i największe domy aukcyjne. Trochę pornosów, głównie gejowskich, ale też hetero, i sporo przewodników po restauracjach, tutejszych i nowojorskich. Ma konto giełdowe w Merrill Lynch, akcje i obligacje. Stracił trochę po boomie technologicznym, ale do dna mu jeszcze daleko.

— A finanse jego firmy? — spytał Dwa Księżycy.

— W komputerze tego nie miał — odparł Bobby. — Spróbujcie u jego księgowego.

Była dwudziesta, za późno, żeby do kogoś dzwonić. Tak naprawdę niczego się nie dowiedzieli. Już niedługo szefostwo aż do komisarz włącznie miało zacząć zadawać pytania. Dwa Księżyce wiedział, ile miejsca poświęci temu „Santa Fe New Mexican”— lokalna gazeta o dziale sportowym równie obszernym, co dział wiadomości. (Kiedy ojciec powiedział mu, że miejscowa drużyna nazywa się Izotopy, Darrel był pewien, że stary go nabiera). Tak prestiżowa sprawa byłaby świetnym materiałem nawet dla „Albuquerque Journal”. Miał nadzieję, że dzieci nie będą miały przez to nieprzyjemności. Wszyscy ich koledzy i koleżanki wiedzieli, co ich tata robił dla chleba. Wyszli na zimne nocne powietrze i poszli do swoich samochodów.

— Powinieneś o czymś wiedzieć — zaczął Darrel. — Miałem... Nie wiem, jak to nazwać. Starcie, chyba. Z Olafsonem.

— Poważnie?

— Aha.

Dwa Księżyce opowiedział partnerowi całą historię.

— Ja też bym się wkurzył — powiedział Katz.

— Wiesz, pomyślałem, że powinieneś o tym wiedzieć. Katz się uśmiechnął.

— To chyba nie ma znaczenia, wodzu. Chyba że to ty go zabiłeś.

— Gdybym to ja go zabił, nikt nie znalazłby trupa.

— Bardzo śmieszne, partnerze. — Chwila milczenia. — Właściwie też mi to przyszło do głowy.

Dwa Księżyce pozwolił sobie na drobny uśmieszek. Przeszli kilka kroków.

— Skoro już się sobie spowiadamy, to teraz ja: w palmtopie Olafsona było nazwisko Valerie.

— To artystka — powiedział Darrel. — Powód wydaje się logiczny.

— Jej się wydaje, że jest artystką Darrel. Widziałeś jej prace.

— Prawda.

— Tak naprawdę — ciągnął Katz — z tego, co ostatnio mówiła, chyba nawet ona przestała w to wierzyć. Olafson to była najwyższa półka.

Niemożliwe, żeby zastanawiał się nad wystawieniem jej u siebie.

— A więc jest jakiś inny powód, dla którego była w jego spisie telefonów — powiedział Darrel.

— Właśnie. — Katz westchnął. — Pomyślałem sobie, że pojedę do niej i o to zapytam. Chciałem najpierw to zrobić, a potem ci powiedzieć. Bo nie wydaje mi się, żeby to mogło być coś ważnego.

— Racja.

— Nie chcę, żebyś myślał, że coś przed tobą ukrywam.

— Nie myślę.

— To dobrze — stwierdził Katz. — Chciałem zostawić to na jutro, ale chyba pojedę do niej teraz. Moglibyśmy pojechać obaj.

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu — odparł Dwa Księżyce — wolalbym wracać do domu.

— Nie ma sprawy, Darrel. Mogę załatwić to sam.

— Tak, tak chyba będzie lepiej.

Katz wsiadł do swojej toyoty, odpalił silnik, włączył ogrzewanie i zadzwonił pod domowy numer Valerie. Włączyła się jej sekretarka, nikt nie podniósł słuchawki, kiedy Steve się przedstawił. Pojechał wobec tego do Plaża, zaparkował na dolnym poziomie parkingu przy hotelu La Fonda i poszedł do Galerii Sary Levy. Na drzwiach wisiała tabliczka Zamknięte. Lokal był niemal całkowicie przeszklony, w środku paliły się światła, i Katz zobaczył Sarę, siedzącą za biurkiem w otoczeniu prześlicznej, czarno-białej ceramiki z San Ildefonso i figurek z pue-blo Cochiti. Na nosie miała okulary do czytania. Katz postukał lekko w futrynę drzwi. Sarah spojrziała na niego znad okularów, uśmiechnęła się, podeszła i otworzyła.

— Steve.

— Pracujesz do późna, Sarah?

— Zawsze. — Największa marszand puebloskiej ceramiki w Santa Fe miała pięćdziesiąt pięć lat, była szczupła i olśniewająco piękna.

Błękit-no-białe włosy sięgały jej do kształtnych pośladków, a owalna twarz nie potrzebowała makijażu. Jej mąż był chirurgiem plastycznym i chodziły plotki, że korzystała z jego usług. Katz wiedział, że to nieprawda. Sarah miała naturalnie młodą cerę.

— Jest u ciebie Val?

— Tutaj nie, ale wiesz gdzie. — Zerknęła wzdłuż ulicy.

— Dobra, dzięki.

— Nie ma sprawy, Steve. — Dotknęła jego rękawa. — Kiedy wychodziła, była w dobrym humorze.

Ostrzegała go, że może się narzucać.

— Postaram się go nie zepsuć.

Bar Papuga znajdował się kawalek dalej, na San Francisco Street, między sklepem ze skamielinami a drugim, w którym sprzedawano tylko białe ubrania. Jakiś zespół grał kawałki Doobie Brothers; uderzenia basu słyhać było aż na zewnątrz. *O, o, o... listen to the music.* Na prawo od wejścia trzech motocykliści pili piwo na chodniku. To było nielegalne, do tego prawie wszyscy wiedzieli, że Katz jest gliniarzem. Wiedzieli też, że ma to gdzieś. Motocykliści pozdrowili go po imieniu, a on odpowiedział im niedbałym salutem.

Przepchnął się między pijącymi i tańczącymi do zbyt mocno polakiero-wanego baru, przy którym spodziewał się zastać Valerie.

I zastał ją, na środkowym stołku, ubraną w czarną bluzkę na ramiączka, niebieskie džinsy i wysokie buty. Siedziała wciśnięta między dwóch zgarbionych facetów z kucykami. Stary kożuszek, który nosiła zimą, zsunął się jej z kolan i leżał zdeптany na podłodze.

Kucyk po lewej miał siwe włosy i rzadką brodę. Rękę trzymał na plecach Valerie, zakrywając częściowo tatuaż mieczyka, który zrobiła sobie zeszłego lata. Prawy Kucyk miał obwisłe brzuszysko. Krótkimi, grubymi paluchami pieścił tyłek Val, ale ona nie zwracała na niego uwagi.

Szeroki tyłek, zauważył Katz. Pięć kilo nadwagi zamieniło się w dziesięć. Wciąż rozmieszczone w dobrych miejscach, ale plecy Valerie

zrobiły się trochę miękkie, zaczynały się wylewać z nad górnej krawędzi bluzki.

Obcięła też włosy. Bardzo krótko, prawie po męsku. A kiedy się odwróciła, Katz zobaczył luźną skórę wokół jej szczęki, zaczątki drugiego podbródka. Jak zawsze była blada. W słabym świetle baru wręcz chorobliwie blada, ale wszystko to nie miało znaczenia. Mężczyźni się do niej garnęli. Zawsze tak było i zawsze miało tak być. I nie dlatego, że była łatwa. Nie była. Na swój sposób była najbardziej wybredną kobietą, jaką Katz znał.

Może to przez jej nieprzewidywalność.

Jej ciało, pełne, zaokrąglone i — spójrzmy prawdzie w oczy — miękkie, emanowało upajającą, seksualną obietnicą, a czy obietnica ta miała się spełnić, pozostawało wielką tajemnicą. Valerie była taka nawet podczas małżeństwa z Katzem.

To było to, uznał. Val była tajemnicza.

Popieprzona, złośliwa, nieobecna, nękana napadami niskiej samooceny karmionej brakiem talentu, ale bystra, zabawna i miła, kiedy miała na to ochotę. Tygrysica, jeśli była we właściwym nastroju.

Facet po prawej wsunął jej rękę pod tyłek. Odrzuciła głowę w tył, zaśmiała się i wyciągnęła ją. Dotknęła jego nosa ostrym, różowym paznokciem.

Katz podszedł do niej i podniósł z ziemi kożuszek. Bardzo lekko postukał ją w ramię. Odwróciła się, a potem bezgłośnie, samym ruchem ust powiedziała „To ty”, zagłuszana energetycznym wykonaniem *China*

Grove.

Nie było w tym zaskoczenia. Irytacji też nie.

Po prostu „To ty”.

Katz pochlebił sobie, że wydawała się zadowolona, że go widzi.

Wyciągnął do niej kożuszek. Wskazał podłogę.

Uśmiechnęła się, wzięła od niego palto. Zsunęła się ze stolka, splotła swoje palce z jego palcami, spojrzała mu w oczy.

Gamonie przy barze wyglądali na oszołomionych, kiedy wyszła razem z Katzem.

Val nie włożyła kożuszka, dopóki nie znaleźli się na zewnątrz, pół przeczniczy od Papugi. Jej białe ramiona pokryła gęsia skórka. Tak samo rozcięcie między piersiami. Biały biust luźno się kołysał. Katz zwalczył chęć objęcia jej ramieniem, osłonięcia przed chłodem i całą resztą.

— Fantazjujesz, Steve — powiedziała.

Uniósł brwi.

Zatrzymała się i rozłożyła ramiona.

— Przytul mnie. Porządnie. Usłuchał. Objęła go i ugryzła w ucho.

— Dobrze wyglądasz, były mężu — szepnęła.

— Ty też, była żono.

— Jestem gruba jak świnia.

— Nic z tych rzeczy. Wy, kobiety, macie zniekształcony obraz samych siebie...

Uciszyła go, kładąc mu palec na ustach.

— Nie bądź dla mnie miły, Steve. Bo jeszcze wrócę z tobą do domu.

Odsunął się i spojrział jej w piwne oczy. Przestrzeń między
wyskubanymi brwiami zajmowało kilka pryszczycy. W kącikach oczu
pojawiły się nowe zmarszczki. Jego oczy wszystko to widziały, ale mózg
niczego nie zarejestrował. Tylko tajemnicę.

Ruszyli dalej.

— Czy to by była tragedia? — spytał.

— Co?

— Powrót ze mną do domu.

— Prawdopodobnie — odparła. — Nie sprawdzajmy.

Przyspieszyła kroku, oddychając ustami i wydmuchując kłęby pary.

Dogonił ją. Doszli do skweru na środku Plaża. W ciepłe noce

przesiadywały

tu dzieciaki, czasem pijane, często rozhukane. Zdarzało się, że ławki
zajmowali bezdomni, dopóki mundurowi wszystkich nie wygonili. Tego
wieczoru na skwerze nie było nikogo oprócz nich dwojga. Plaża skrzyła
się świątecznymi lampkami, srebrnoniebieskimi zaspami, setkami
białych, brylantowych gwiazd i czystą magią. Za dużo radości dla
człowieka, który mieszkał w składzie granitu. Katz nagle poczuł się
przybity.

— Chodzi o Olafsona? — zapytała Valerie.

— Skąd wiesz?

— Bo Olafson nie żyje, a wiem, gdzie pracujesz. O co chodzi, Steve?

Trafiłeś gdzieś na moje nazwisko?

— W jego palmtopie.

— No i proszę. — Roztarła dłonie. — Ja też mogę być detektywem.

Usiadła na ławce i wcisnęła zgrabiałe palce w kieszenie kożucha.

— Siedziałam sobie w miłym, ciepłym barze, cieszyłam się miłym, ciepłym męskim towarzystwem...

— Schowajmy się gdzieś — powiedział Katz. — Możemy wsiąść do mnie do samochodu, włączę ogrzewanie?

Uśmiechnęła się.

— I się popieścimy?

— Przestań — powiedział, zaskoczony złością, jaką było słyhać w jego głosie.

— Przepraszam, że cię uraziłam. — Skrzyżowała ramiona na piersi.

Zacisnęła usta, zimniej sza niż powietrze.

— Wybacz. Pracuję od dwudziestu czterech godzin, prawie nie spałam.

— Sam tak wybrałeś, Steve.

— Przepraszam, Val. Dobrze? Zacznijmy od początku.

— Jasne — powiedziała. — A skoro już tak dobrze nam idzie, zaprowadźmy pokój na całym świecie.

Odwróciła się, spojrzała na niego tak, że zaczął się zastanawiać, czy za chwilę się nie rozplacze. Co teraz?

— Val...

— Byłeś ostatnio w Bandelier, Steve?

— Ostatnio nie — odparł. Czasami w wolne dni jeździł do parku

narodowego, gdzie strażnik leśny wpuszczał go za darmo — solidarność mundurowych. Jeśli byli tam turyści, po prostu się włóczył. W spokojne

dni wspinał się po drabince do jednej ze starożytnych jaskiń Anasazi i siadał w niej, patrząc na rozciągające się w dole ruiny targowiska puebla. Dwa Księżycy by się z tego śmiał, ale Katz czuł w takich chwilach jedność z duchami tej krainy. Odkrył park zaraz po rozwodzie, kiedy jeździł bez celu, poznając okolicę. W przeciwieństwie do Nowego Jorku w Nowym Meksyku otwartych przestrzeni było w bród.

Nie przypominał sobie, żeby opowiadał Valerie o swoich wycieczkach do Ban-delier. Z drugiej strony nie pamiętał zbyt dokładnie, o czym w ogóle rozmawiali.

Siedzieli tak we dwoje na ławce chyba dość długo. Potem, nagle, Valerie ujęła jego twarz w zziębnięte dłonie i mocno go pocałowała. Miała chłodne wargi, ale ciepły język.

Odsunęła się i powiedziała:

— Jedźmy do mnie.

Val wyprowadziła swojego volkswagena furgonetkę z za galerii, a Katz pojechał za nią krętą drogą do jej kawalerki przy bezimiennej uliczce odchodzącej od Paseo de Peralta, niedaleko miejsca morderstwa. Val mieszkała w domku dla gości na terenie dużej posiadłości, której właścicielami

było

dwoje

starszych

Kalifornijczyków,

rzadko

przyjeżdżających do Santa Fe. Miała zajmować się drobnymi naprawami.

Najczęściej całą, mierzącą osiem tysięcy metrów kwadratowych, otoczoną płotem przeciw kojotom posesję miała dla siebie. Raz zaprowadziła Katza do domu właścicieli. Tam kochali się na ich wielkim, sosnowym łóżu z baldachimem, otoczeni zdjęciami dzieci starszych państwa. Kiedy skończyli, Katz zaczął sprzątać, ale powiedziała mu, żeby dał sobie spokój, że sama się tym zajmie.

Zaparkowali obok siebie na żwirowym placu. Val zostawiała drzwi wejściowe otwarte; pchnęła je i weszła do środka. Katz zdławił chęć pouczenia jej i wszedł za nią. Przyjął zimnego Sama Adamsa, którego mu podała. Usiadła na łóżku; Steve starał sienie zwracać uwagi na paskudne abstrakcje, kalające ściany niczym skazy.

Val stanęła kilkanaście centymetrów od niego i szybko się rozebrała.

— Na co czekasz? — zapytała.

Dobre pytanie. Było ostro, szybko i wspaniale. Katz musiał zaciskać zęby, żeby nie krzyknąć.

— Wpisał mnie do palmtopa — powiedziała Valerie, kiedy skończyli i leżeli nadzy na łóżku — bo chciał mnie mieć.

— Och.

— Nie w znaczeniu seksualnym, chociaż to też. Mimo tego, że był głównie gejem. Ale nie do końca. Było w nim też trochę hetero, kobieta czuje takie rzeczy. Chciał, żebym zostawiła Sarę i przyszła pracować do niego.

— Dlaczego?

— Bo jestem geniuszem. — Zaśmiała się. — Zamierzał zająć się puebloską ceramiką. Powiedział mi, że sztuka indiańska robi karierę na wschodnim wybrzeżu. Ze swoimi nowojorskimi powiązaniem mógłby zarabiać trzy razy tyle, co Sarah. Zamierzał też otworzyć sprzedaż internetową. Tańsze rzeczy wrzucałby do serwisów aukcyjnych, a te z wyższej półki umieszczał na stronach o sztuce, reklamowałby je też na swojej własnej. Planował bardzo poszerzyć rynek. Powiedział, że w przeciągu roku Sarah zaczęłyby mieć kłopoty, a po następnych sześciu miesiącach byłaby skończona.

— Miły facet.

— Wstrętny typ. — Val zakreśliła palcem kółko wokół lewego sutka Katza. — Wydaje mi się, że to go w tym wszystkim najbardziej pociągało. Nie własny sukces, ale porażka Sary.

— Czym cię zachęcał do odejścia?

— Pięćdziesięcioprocentowa podwyżka i perspektywa partnerstwa. Co do podwyżki, spodziewałam się, że dotrzyma słowa, przynajmniej początkowo. Partnerstwo to była ścierna. Wykorzystałby mnie, żeby się ustawić, a potem pogonił i zatrudnił jakiegoś lizusa.

— Odmówiłaś mu.

— Powiedziałam, że się zastanowię. A potem zaczęłam go ignorować.

-Zaczęła się bawić wąsami Katza. — Tydzień później do mnie zadzwonił.

Nie oddzwoniłam. Kilka dni potem znów zadzwonił. Powiedziałam mu, że ciągle się zastanawiam. Trochę się zjeżył, najwyraźniej przywykł, że wszystko zawsze idzie po jego myśli. Trzeci raz zadzwonił po dwóch

tygodniach. Powiedziałam mu, że mam klienta, że oddzwonię. Wtedy się uniósł. „Czy pani wie, kim ja jestem”, wołał. „Czy pani wie, co ja mogę z panią zrobić”.

Opadła na plecy; jej ciężkie piersi rozplaszczyły się i rozsunęły.

— Nie podjęłam rękawicy. Byłam cały czas bardzo uprzejma, powiedziałam, że rozważyłam jego hojną propozycję i dalej będę ją mieć na uwadze, ale tymczasem nie mogę na nią przystać. Tak go tym zaszokowałam, że bez słowa odłożył słuchawkę. Niedługo później spotkałam go na Plaży, siedł prosto na mnie. Kiedy mnie zobaczył, przeszedł na drugą stronę ulicy.

— Dlaczego nie powiedziałaś mu po prostu „nie”? Uśmiechnęła się.

— Znasz mnie, Steve. Wiesz, jak postępuję z mężczyznami.

Przygotowała spaghetti i kielbaski sojowe, które zjedli razem w milczeniu. Kiedy Katz zmywał naczynia, zauważył, że Valerie dyskretnie ziewa.

Zdjął szlafrok, który mu dała -jeden z jego własnych, ale tkanina frotte przeszła zapachem innych mężczyzn. Nie przeszkadzało mu to. Sam był już tylko jednym z nich.

Ubrał się i pocałował ją na dobranoc. Uprzejmie i bez podtekstów.

Kiedy jechał do składu granitu, pomyślał, że tej nocy chyba będzie mu się dobrze spało.

Obaj detektywi spali do późna i przyjechali na komisariat o dziesiątej.

Na biurkach czekała na nich ta sama wiadomość — za godzinę mieli spotkanie z komisarz Bacon.

Spotkanie trwało dwie minuty — komisarz zapytała, co mają, Dwa

Księżyce i Katz odparli, że na razie nic. Ofiara miała zbyt wielu potencjalnych wrogów.

— Czy są szanse, że to zamkniemy?

— Może — powiedział Dwa Księżyce. — Może nie. Komisarz przez chwilę się zastanawiała.

— Nie byłoby dobrze, ale żadnych konsekwencji raczej być nie powinno.

Ani w kwestii turystycznej, ani w kwestii poczucia bezpieczeństwa obywateli. Przez to właśnie, że miał tak wielu wrogów, można to uznać za aberrację.

Żaden z detektywów się nie odezwał.

— Ale nie zamierzam być pesymistką, panowie — powiedziała komisarz Bacon. — Dobra, wynocha i róbcie, co do was należy.

Co do nich należało? Pierwszy zapytał o to Dwa Księżyce.

— Sprawdźmy, czy przyszły wyniki odcisków palców Skaggsów — powiedział Katz.

— Mają być jutro.

— Czemu nie dziś?

— Znasz tych gości, zawsze jest jakiś powód. — Dwa Księżyce

zadzwoił do stanowego laboratorium kryminalistycznego i poprosił o pośpiech. Odłożył słuchawkę i pokręcił głową.

— Są zajęci gwałtem w Bernalillo.

— Gwałt przebija morderstwo? — zdziwił się Katz.

— Ofiara miała dwanaście lat, mieszkała w przyczepie kempingowej z matką pijaczką. Dupek przypelził do jej łóżka. Prawdopodobnie to któryś z dawnych chłopaków matki, a to szeroka kategoria.

Katz opowiedział to, co usłyszał od Yalerie, że Olafson zamierzał przejąć galerię Sary Levy.

— Może to Sarah go stuknęła — powiedział Dwa Księżyce. Podniósł ołówek, zwiesił bezwładnie dłoń, niezdarnie i słabo machnął ręką.

— Ale jej mąż mógł — zauważył Katz.

— Kto to?

— Doktor Oded Levy. To chirurg plastyczny. Izraelczyk, był tam w wojsku. Poza tym to kawał chłopca.

— Porywczy?

— Kiedy się z nim widywałem, nie. Ale to zawsze były spokojne okazje.

Wiesz... towarzyskie.

— Spoufalasz się z chirurgami?

— Raz — powiedział Katz. — Kiedy Val zaczęła pracować dla Sary,

Sarah zaprosiła ją na obiad do nich do domu. Val potrzebowała

towarzystwa, więc zaprosiła mnie.

— Musiało być wesoło.

Wręcz przeciwnie. Val cały wieczór flirtowała z jednym ortopedą.

Niedługo potem się do niego wprowadziła.

— Potem spotykałem go kilka razy — ciągnął Katz. — Wiesz, jak to jest, jak raz się kogoś pozna, to potem się go zauważa. Zawsze wydawał mi się spokojnym facetem. Przy okazji, jest młodszy od Sary.

— A to znaczy...

Katz rozłożył ręce i wzruszył ramionami.

— Nic. Wtedy, u nich w domu, wyglądał na zakochanego w niej po uszy.

— To piękna kobieta — powiedział Dwa Księżycy. — Pamiętam, jaki byłem wściekły po tym, jak Olafson skrytykował Kristin. Nie wiadomo, co mógłby zrobić Izraelczyk z przeszkoleniem wojskowym, gdyby się dowiedział, że Olafson planuje zniszczyć firmę jego żony.

Gabinet doktora Odeda Levy'ego zajmował cały parter budynku przy St. Michael's, na wschód od Hospital Drive i na południe od szpitala St. Vincent. Poczekalnia była pusta i dyskretna, urządzona skórzanymi kanapami w kolorze masła i indiańskimi makatami na podłodze z szerokich, dębowych desek. Na granitowych blatach stolików leżały egzemplarze „Architectural Digest” i „Santa Fe Style”.

Katz natychmiast rozpoznał kamień. Plamisty gnejs wstęgowy. Całe kupy takiego samego leżały kilka metrów od jego okna.

Przywitała ich ładna recepcjonistka. Kiedy zapytali o doktora Levy'ego, nie przestała być ładna i przyjazna.

— Dopiero co wyszedł na obiad.

— Wie pani dokąd? — spytał Darrel.

— Do Pałace — odparła. — Lubi jeść w ogródku, ale przy takiej pogodzie na pewno jest w środku.

Pojechali do Plaża, znaleźli miejsce do parkowania przy krawężniku, a potem poszli do hotelu Pałace. Doktor Oded Levy siedział w zabytkowej, wiktoriańskiej sali jadalnej, sam, wciśnięty w kąt narożnej budki obitej czerwoną skórą. Jadł wędzonego łososa i popijał dietetyczną colę.

— Steve — powiedział. Nawet kiedy siedział, widać było wyraźnie, jaki jest potężny. Katz wiedział, że doktor mierzył ponad metr dziewięćdziesiąt pięć, był smukły i barczysty. Miał opaloną skórę i krótko przycięte, czarne, kręcone włosy.

— Doktorze Levy. — Katz przedstawił Dwa Księżyce.

— Pewnie ciężko pracujecie — powiedział Levy. — Zasłużyliście na porządny obiad.

Doktor mówił ze słabym, ledwie zauważalnym akcentem. Dłonie miał wielkości bejsbolowych rękawic, długie, wąskie palce czyste i zadbane. Rozluźnił karmazynowy, jedwabny krawat pod rozpiętym kołnierzykiem błękitnej koszuli. Granatowy kaszmirowy sweter leżał równo złożony obok niego.

— Skąd pan wie, że ciężko pracujemy? — spytał Katz.

— Morderstwo pana Olafsona. Piszą o tym bez przerwy w „Santa Fe New Mexican”. W „Albuquerque Journal” też.

— Nie miałem czasu przejrzeć gazet — powiedział Dwa Księżyce.

— Pewnie nic pan nie stracił — zauważył Levy. — Poza tym Valerie

mówiła Sarze, że zajmujecie się panowie tą sprawą. — Wskazał miejsce po swojej prawej stronie. Tam, gdzie leżał sweter. — Skoro już tu jesteście, może się panowie przysiądziecie?

— Właściwie — oznajmił Darrel — przyszliśmy z panem porozmawiać.

Levy uniósł brwi.

— Doprawdy. Cóż, w takim razie siadajcie panowie i powiedzcie, o co chodzi.

Katz mówił, chirurg tymczasem wrócił do jedzenia. Bardzo dokładnie kroił łososia na równe kwadraciki, które nadziewał na widelec i wkładał do ust, uprzednio uważnie każdy obejrząwszy.

— W zeszłym roku próbował wykupić Sarę — powiedział, kiedy Katz skończył — a kiedy to się nie udało, groził, że ją zniszczy.

— Miał jakiś konkretny powód, żeby to zrobić? — spytał Katz. Levy się nad tym zastanowił.

— Nie sędzę. Sarah uważała, że to przez *schadenfreude*.

— Co to takiego? — spytał Darrel.

— To niemieckie słowo — powiedział Levy. — Oznacza radość z cierpienia innych. Olafson był człowiekiem żądnym władzy, według Sary chciał zdominować scenę artystyczną Santa Fe. Sarze się powiodło, jest ceniona i lubiana. Dla kogoś takiego jak on była atrakcyjnym celem.

— Paskudna sprawa, doktorze — powiedział Katz. — Jakiś facet próbował zestrzelić pana żonę.

— Interesujące określenie. — Levy się uśmiechnął. — Sprawa była paskudna, ale nie przejąłem się zbytnio.

— Dlaczego?

— Sarah umie o siebie zadbać. — Chirurg zjadł następny kawałek

lososia, napił się coli, spojrzął na zegarek cienki jak karta do gry i położył na stoliku gotówkę. — Pora wracać do pracy.

— Odsysanie tłuszczu? — spytał Darrel.

— Rekonstrukcja twarzy — odparł Levy. — Pięcioletnia dziewczynka została ranna w wypadku na Dwudziestej Piątej. Takie operacje lubię najbardziej.

— Przeciwnieństwo tego *schaden-coś* tam — zauważył Dwa Księżyce.

Levy spojrzął na niego nierozumiejącym wzrokiem.

— Radość z wyzdrowienia innych.

— Ach — powiedział lekarz. — Nigdy o tym tak nie myślałem, ale ma pan rację. Bardzo to lubię.

— Jak myślisz? — spytał Dwa Księżyce, kiedy wychodzili z restauracji.

— Wzrostem i masą pasuje — odparł Katz. — Widziałeś, jakie miał łapska?

— Powinniśmy mieć jego odciski palców. Stanowa komisja lekarska.

Wyprowadzili *crowna victorię* z miejskiego parkingu. Dwa Księżyce siadł za kierownicą.

— To musi być dziwne uczucie... składać twarz dzieciaka.

— Robi wrażenie — stwierdził Katz.

— Szkoda by było zamykać takiego faceta — powiedział Dwa Księżyce kilometr później.

Po powrocie na posterunek zadzwonili do komisji lekarskiej i

poprosili o odciski palców doktora Odeda Levy'ego. Znalezienie ich i odebranie miało potrwać kilka dni. Nie było możliwości przesłania ich faksem prosto do laboratorium kryminalistycznego.

— Chyba że posadzimy do tego szefową — powiedział Dwa Księżycy.

— Żeby to zrobić, musimy mieć coś więcej.

— Levy raczej nigdzie się nie wybiera.

— Podpasował ci? — spytał Katz.

— Raczej nie, rebe. A tobie?

— Na razie sam nie wiem, co mi pasuje, a co nie. — Katz westchnął.

-Zaczynam czuć ten zapaszek. Smrodek niepowodzenia.

Pod koniec dnia spotkała ich drobna, ale miła niespodzianka.

Technicy pojechali do Embudo zebrać odciski palców Skaggsów i zakończyli pracę. Zaczął się komputerowy skan; wstępne dane miały przyjść o siedemnastej. Gdyby znaleziono coś podejrzanego, odciski miała przejrzeć ręcznie główna specjalistka laboratorium, analityczka Karen Blevins.

Dwa Księżycy i Katz czekali na wyniki. Poszli na hamburgera z frytkami, dokończyli papierkową robotę z innych spraw i zachodzili w głowę, jak znaleźć nowy trop w sprawie Olafsona.

O siódmej trzydzieści trop ten stał się im potrzebny jeszcze bardziej.

Odciski żadnego ze Skaggsów nie pasowały do tych znalezionych w Olaf-son Southwest i w domu zabitego. Emma była w galerii, ale po jej wizycie nie został żaden ślad.

O ósmej, zniechęceni i zmęczeni, Katz i Dwa Księżycy szykowali się do

wyjścia. Zanim doszli do drzwi, zadzwonił telefon Katza. Dzwoniła funkcjonariusz Debbie Santana.

— Zostałam przydzielona do pilnowania galerii, kiedy Summer Riley sprawdza spis dzieł sztuki. Wygląda na to, że coś znalazła.

Zanim Katz zdążył coś powiedzieć, w słuchawce odezwała się Summer.

— Wie pan co? To jednak jest kradzież! Brakuje czterech obrazów z listy. Katz poczuł falę radości. Motyw! Teraz musieli tylko znaleźć złodzieja!

— Ale to trochę dziwne — dodała Summer.

— Jak to?

— Mamy dużo o wiele cenniejszych prac, które nie zostały zabrane. A te brakujące namalował ten sam artysta.

— Kto?

— Michael Weems. Wygląda na to, że ma jakiegoś wielkiego wielbiciela. Michael się liczy, w znaczeniu artystycznym, ale to nie jest najwyższa półka. Jeszcze nie. Lany zamierzał wprowadzić ją na wyższy poziom.

— Jaka jest wartość tych czterech obrazów?

— Około trzydziestu pięciu tysięcy. To detaliczna cena Larry'ego.

Zazwyczaj dziesięć procent opuszcza na dzień dobry. To spora suma, ale obok tych czterech Weemsów leżał Wendt wart sto pięćdziesiąt tysięcy i mały Guy Rosę, wart jeszcze więcej. Oba wciąż tu są. Wszystko jest oprócz Weemsów.

— Sprawdziła pani wszystko?

— Przynajmniej dwie trzecie. Istnieje baza danych kradzionych dzieł sztuki. Mogłabym wpisać je tam sama, ale uznałam, że najpierw zadzwonię do pana. Podać panu tytuły obrazów?

— Nie trzeba, Summer. Już do pani jedziemy.

Merry i Max w basenie, 2003, 36x48,

olej na płótnie, 7000,00

Merry i Max jedzą płatki, 2002, 54x60,

olej na płótnie, 15 000,00

Merry i Max z gumowymi kaczuszkami, 2003, 16x24,

olej na płótnie, 5000,00

Merry i Max rozmarzeni, 2003, 16x24

olej na płótnie, 7500,00

Katz i Dwa Księżycy oglądali fotki obrazów.

— Do czego to służy? — spytał Darrel Summer Riley.

— Wysyłamy je do klientów, którzy pytają nas o danego artystę. A czasami po prostu do tych, którym według Larry'ego mogłyby się spodobać.

Wciąż mówiła o zabitym szefie w czasie teraźniejszym.

Katz jeszcze raz przyjrzał się zdjęciom.

Cztery obrazy, wszystkie obracające się wokół tego samego tematu.

Dwójka nagich, jasnowłosych dzieci o urodzie cherubinków, malutka dziewczynka i trochę starszy chłopiec.

Katz już je widział. Tańczące wokół gaika, na większym płótnie, wiszącym w salonie Larry'ego Olafsona. Tamten obraz przykuł jego wzrok, chociaż Katz był amatorem. Temat nie popadł w ckliwość, bo Michael Weems była dobrą malarką. To, że Olafson powiesił jej pracę we

własnym domu mogło być chwytem marketingowym — wprowadzaniem jej na nowy poziom, jak powiedziała Summer.

A może po prostu podobał mu się jej styl.

Tak jak komuś innemu.

Dwa Księżyce zmrużył oczy, patrząc na jedno ze zdjęć.

Zmarszczył brew. Katz zajrzał mu przez ramię. *Merry i Max z gumowymi kaczuszkami.* Dzieci siedziały na krawędzi wanny i patrzyły na żółte zabawki. Pełna nagość, u stóp dziewczynki na zielonych płytkach podłogi leżał zmięty ręcznik.

Katz odchrząknął. Dwa Księżyce schował zdjęcia do torebki na dowody i podał je Debbie Santanie. Kazał Summer Riley poczekać w biurze galerii, a sam zaprowadził Katza do sali wystawowej. Na drewnianej podłodze wciąż pozostawał wyklejony taśmą zarys zwłok Olafsona. Katzowi przyszła na myśl martwa natura. Wyobraził sobie, że rdzawe drobinki zaschniętej krwi to czerwona kropka przy obrazie, oznaczająca, że został sprzedany.

— Co myślisz o tych obrazach? — spytał Dwa Księżyce.

— Nieważne, co ja myślę — odparł Katz. — Ty myślisz, że to dziecięce porno.

Darrel podrapał się w bok nosa.

— A może to ty tak myślisz i, jak to mówią psychologowie... przenosisz to na mnie.

— Dzięki, doktorze Freud.

— Doktorze Schadenfreude.

Katz się zaśmiał.

— Prawdę mówiąc, nie wiem, co o nich myśleć. Widziałem jeden z nich wiszący w domu Olafsona i uznałem, że jest niezły, z artystycznego punktu widzenia. Kiedy widzi się wszystkie cztery razem, zwłaszcza ten, na który ty patrzyłeś...

— To, jak ta dziewczynka siedzi — powiedział Darrel. — Nogi szeroko, ręcznik na podłodze... Już to widzieliśmy.

— Tak — przyznał Katz. — Mimo to Michael Weems musi znać te dzieci. Może to jej własne. Artyści mają swoje... muzy. Ludzi, których bez przerwy malują.

— Powiesiłbyś coś takiego w domu?

— Nie.

— Olafson powiesił — powiedział Darrel. — Co znaczy, że może Weems interesowała go nie tylko zawodowo. Może kręciła go ta tematyka.

— *Gej, hetero, zбочony i wredny* — podsumował Katz. — Wszystko jest możliwe.

— Zwłaszcza z tym facetem, Steve. Jest jak cebula, im więcej obieramy z niego warstw, tym gorzej śmierdzi.

— Wszystko jedno, co zrobił czy czego nie zrobił, ktoś chciał mieć te obrazy tak bardzo, że był gotów dla nich zabić. Co również pasuje do scenariusza z morderstwem bez premedytacji. Nasz koleżka przyszedł po obrazy, nie po Olafsona. Próbował się zakraść do galerii, Olafson go przyłapał i doszło do konfrontacji. Albo przyszedł otwarcie, zażądał, żeby mu je dać, i wtedy doszło do konfrontacji.

— Brzmi logicznie — stwierdził Dwa Księżyce. — Tak czy inaczej, zaczęli się klócić, Olafson jak zwykle był arogancki i zadufany w sobie. Odwrócił się plecami do tamtego i lup.

— Duże lup — powiedział Katz. — Summer mówiła, że Olafson wysyłał zdjęcia wszystkim, którzy wykazywali zainteresowanie artystą.

Zobaczmy, kogo Weems interesowała.

Reklamówki Michael Weems otrzymało piętnaścioro klientów: czworo w Europie, dwoje w Japonii, siedmioro na Wschodnim Wybrzeżu i dwoje miejscowych. Byli to pani Alma Maarten oraz Nelson Evans Aidren z żoną, wszyscy z ekskluzywnymi adresami w Las Campanas — zamkniętym osiedlu z polem golfowym, stajniami i wspaniałymi widokami.

Katz zapytał Summer Riley, czy zna Maarten i Aldrenów.

— Jasne — odparła. — Alma Maarten jest cudowna. Ma około osiemdziesiątki i jest przykuta do wózka. Najwyraźniej za młodu nieźle balowała. Larry nie usuwał jej z listy adresów, żeby miała wrażenie, że wciąż tworzy scenę. Aldrenowie są trochę młodszy, ale niewiele.

Siedemdziesiąt dwa, trzy lata, powiedzmy. Joyce, to jest pani Aidren, to ona interesuje się sztuką.

— Jaką specjalizację ma jej mąż?

— Był chyba kardiologiem. Jest już na emeryturze. Widziałam go tylko raz.

— Kawał chłopca?

Summer się roześmiała.

— Może metr sześćdziesiąt pięć. Dlaczego panowie o to wszystko pytacie? Larry'ego nie zabił żaden z jego klientów. Tego jestem pewna.

— Dlaczego? — spytał Dwa Księżycy.

— Bo wszyscy go uwielbiali. Właśnie tym musi się cechować dobry marszand.

— Czym?

— Właściwym podejściem do ludzi. Trzeba wiedzieć, który artysta pasuje do którego klienta. To jak swatanie.

— Larry był dobrym swatem — powiedział Katz.

— Najlepszym. — Oczy młodej kobiety zaszyły łzami.

— Tęskni pani za nim.

— Tak wiele miał mnie nauczyć — powiedziała. — Mówił, że mam przed sobą świetlaną przyszłość.

— Jako marszand?

Summer żywo pokiwała głową.

— Larry mówił, że mam to coś. Zamierzał umieścić mnie w filii sprzedającej indiańską ceramikę. Miałam być jego partnerką. A teraz... —

Załamala ręce. — Mogę już iść? Muszę odpocząć.

— Dzieci na obrazach — powiedział Darrel.

— Merry i Max. To dzieci Michael. Są naprawdę słodkie, a ona potrafi genialnie uchwycić ich istotę.

Zabrzmiało to jak tekst z katalogu.

— Gdzie mieszka Michael? — spytał Katz.

— Tutaj, w Santa Fe. Ma dom kawalek na północ od Plaża.

— Może by tak adres?

Summer westchnęła teatralnie i przejrzała obrotowy notes. Znalazła odpowiednią kartkę, wskazała ulicę i numer domu. Michael Weems mieszkał na Artist Road.

— Mogę już iść? — spytała. — Cholera! — dodała ciszej, bardziej do siebie niż do detektywów. — Pora zacząć od nowa.

Plakała, kiedy wychodziła.

Zanim wyruszyli porozmawiać z portrecistką Merry i Maksa, detektywi siedli do komputera.

Michael Weems nie była notowana w kartotekach policyjnych, chociaż ustalenie tego faktu przyszło im nie bez trudu. Mężczyzna o tym samym imieniu i nazwisku został aresztowany za napad w Marion w stanie Illinois. Michael Horis Weems, czarnoskóry mężczyzna, lat dwadzieścia sześć.

— Może przeszła operację zmiany płci — powiedział Dwa Księżyce.

— Możliwe. — Katz uniósł rude wąsy. — W tym momencie jestem gotów uwierzyć we wszystko.

Michael Andrea Weems pojawiła się w Google pięćdziesiąt cztery razy, głównie w recenzjach wystaw, organizowanych niemal wyłącznie przez galerię Olafsona w Nowym Jorku i Santa Fe.

Trafienie pięćdziesiąte drugie okazało się wyjątkiem. Obaj detektywi wstrzymali oddech.

Mały akapit w „New York Daily News”; sądząc po kąśliwym stylu, prawdopodobnie kronika towarzyska.

W zeszłym roku wystawa Michael Weems, na której pokazała tuzin nowych obrazów z cyklu *Merry i Max*, została przerwana, gdy pojawił się na niej mąż artystki, z którym pozostawała w separacji, pastor i sa-mozwańczy „doradca duchowy” Myron Weems.

Rozgniewany Myron zaszokował gości — zbeształ ich za wspieranie jaskini niegodziwości i „napawanie oczu plugastwem”. Zanim personel galerii zdolał zareagować, Myron rzucił się na jeden z obrazów, zerwał go ze ściany, podeptał płótno i zniszczył je bezpowrotnie. Kiedy próbował powtórzyć to samo z drugim, świadkowie i pracownik ochrony galerii zdolali go obezwładnić.

Wezwano policję i Myron Weems został aresztowany.

Nic więcej.

— To już jakby coś — powiedział Katz.

— Sprawdźmy Myrona — zaproponował Dwa Księżyce.

Pięć z sześciu trafień dotyczyło kazań, które Weems wygłosił w swoim kościele w Enid w stanie Oklahoma. Często wspominał o „grzechu” i „ohydzie”. Parę razy powiedział wprost o „plugastwie, którym jest pornografia”. Szósty odnośnik zawierał poprzedni artykuł z „Daily News”.

— Nie wniesiono oskarżenia? — zdziwił się Katz.

— Sprawdźmy archiwa — zaproponował Dwa Księżyce. — Może trafimy coś z powództwa cywilnego.

Pół godziny później wciąż nie mieli nic, co wskazywałoby, że Myrona Weemsa pociągnięto do odpowiedzialności za jego napad szału. Dwa Księżyce wstał i przeciągnął się.

— Upokarza żonę, depreczuje jej prace, a ona nie składa skargi?

— Pozostawali w separacji — powiedział Katz. — To znaczy, że byli w trakcie rozwodu. Sytuacja obojga z nich mogła się skomplikować. Może Michael wykorzystwała ten incydent, żeby wytargować lepsze warunki opieki nad dziećmi albo układ finansowy. A może Myron trochę się uspokoił. Ona wciąż maluje te dzieciaki.

— Nie wiem, Steve, facet ma swoje przekonania, a to dotyczy jego dzieci. Jakoś nie chce mi się wierzyć, żeby szedł na układy.

Witaj w świecie małżeńskiej niezgody, partnerze, pomyślał Katz.

— Trzeba wziąć pod uwagę coś jeszcze — powiedział. — Myron był związany z Olafsonem poza światem sztuki. Pomógł Olafsonowi odstawić gorzałę.

— Tym bardziej miał prawo się wściec, Steve. Doradza facetowi, a ten urządza wystawę jego bylej żonie i wywiesza na niej to, co tamten uważa za świństwa. Zaczynam się zastanawiać, ile ten Myron ma wzrostu.

Telefon do wydziału komunikacji w Oklahomie pozwolił odpowiedzieć na to pytanie. Myron Manning Weems był białym mężczyzną, według podanej daty urodzenia miał pięćdziesiąt pięć lat. Co ważniejsze, mierzył metr dziewięćdziesiąt sześć wzrostu i ważył sto czterdzieści kilo.

Detektywi poprosili o faks prawa jazdy Weemsa.

— Jeśli napisali tu sto czterdzieści, to waży sto pięćdziesiąt —

stwierdził Dwa Księżycy. — Ludzie zawsze kłamią.

Zahuczał faks. Kopia zdjęcia była mała, więc powiększyli ją na kserokopiarce.

Myron Weems miał okrągłą twarz, krzaczaste, siwe włosy i mięsisty, grubo ciosany podbródek. Na kartoflanym nosie wspierały się absurdalnie małe okulary. Szyję Weems miał jeszcze szerszą niż twarz, z przodu podzieloną na kręgi jak ściśnięta sznurkiem szynka. Ogólnie robił wrażenie nawróconego futbolisty.

— Kawał chłopca — stwierdził Dwa Księżycy.

— Duży kawał — dodał Katz. — Ciekaw jestem, czy jest w mieście.

Kiedy detektywi zadzwonili do domu Myrona Weemsa w Enid w Oklahomie, usłyszeli nagranie automatycznej sekretarki.

— Tu wielebny doktor Myron Weems...

Aksamitny głos miał zaskakująco chłopięce brzmienie. Wiadomość Weemsa kończyła się błogosławieństwem „duchowego i osobistego rozwoju”, udzielonym dzwoniącemu.

W jego kościele też nikt nie podniósł słuchawki. Z danych lotniska wynikało, że Weems nie przyleciał ani nie wyleciał z Albuquerque w przeciągu ostatnich sześćdziesięciu dni.

Katz i Dwa Księżycy następne trzy godziny spędzili, obdzwanając wszystkie hotele w Santa Fe. Potem rozszerzyli zasięg poszukiwań i znaleźli to, czego szukali, w tanim moteliku w południowej części miasta, trzy kilometry od posterunku.

Pojechali tam i porozmawiali z recepcjonistą— młodym Navajo, ledwie

pełnoletnim, z prostymi, czarnymi włosami i zaczątkami wąsów. Trzy dni

temu Myron Weems zameldował się pod swoim własnym nazwiskiem.

Przyjechał samochodem, którego oklahomskie numery zostały należycie zapisane. Jeep cherokee, rocznik dziewięćdziesiąt cztery, co pasowało do danych otrzymanych z wydziału komunikacji w Enid. Weems zapłacił za tydzień z góry. Recepcjonista, który nazywał się Leonard Cole, widział go wczoraj.

— Na pewno? — spytał Katz.

— Na pewno — odparł Cole. — Ciężko go nie zauważyć. To olbrzym.

— I od tamtej pory go pan nie widział — powiedział Dwa Księżyce.

— Nie, proszę pana.

Cole spojrział na zegar. Z zalecza recepcji ryczał telewizor. Chłopak miał najwyraźniej ochotę jak najszybciej wrócić do oglądania. Wyjął klucz.

— Chcecie panowie zajrzeć do jego pokoju?

— Bez nakazu nie możemy. Ale panu wolno to zrobić, gdyby coś pana martwiło.

— Na przykład co? — spytał Leonard Cole.

— Wyciek gazu, wody, coś w tym rodzaju.

— Nie mamy gazu, wszystko jest na prąd — powiedział Cole. — Ale czasami ciekną prysznice.

Poszli za nim do pokoju na parterze. Cole zapukał, zaczekał i znów zapukał, a potem, używając swojego klucza, otworzył drzwi. Wpuścili go pierwszego. Chłopak otworzył drzwi szeroko i zajrzał do środka.

W pokoju było czysto i schludnie. Cztery obrazy stały oparte o ścianę obok posłanego pojedynczego łóżka.

Dla takiego wielkiego faceta spanie na tym łóżku musiało być mało przyjemne, pomyślał Katz. Łatwiej poradzić sobie z czymś takim, jeśli ma się porządną motywację.

Dowodu takiej motywacji nie trzeba było daleko szukać. Na komodzie z imitacji drewna leżał nóż tapicerski. Pierwszy z zewnątrz obraz był pociętą masą pozwijanych płóciennych wstążek, wciąż tkwiącą w ramie.

Leonard Cole zajrzał za obraz.

— Wszystkie są pocięte. Niezły odjazd.

Dwa Księżyce kazał mu wyjść z pokoju i zamknąć drzwi.

— Przyślemy kilku funkcjonariuszy, żeby mieli na to oko. Tymczasem niech pan nikogo tu nie wpuszcza ani nie wypuszcza. Gdyby Weems się pojawił, proszę natychmiast dać nam znać.

— Czy ten facet jest niebezpieczny?

— Prawdopodobnie dla pana nie. — Katz wyjął komórkę. — Ale niech mu pan nie wchodzi w drogę.

Zadzwoił po wsparcie mundurowych i kazał patrolom wypatrywać jeepa Myrona Weemsa. Potem spojrział na swojego partnera.

— Myślisz o tym, co ja?

— Chyba tak — powiedział Dwa Księżyce. — Jedziemy.

Obaj pospieszyli do samochodu.

Tyle gniewu. Była żona.

Pod podanym adresem stał niesymetryczny, rzeźbiony ceglany dom, niedaleko Bishop's Lodge Road, kilka przecznic na wschód, tuż przed Hyde Park. Dwadzieścia pięć kilometrów dalej zaczynały się trasy narciarskie. Powietrze już tutaj wydawało się rzadsze i słodsze.

Dom był oświetlony słabymi reflektorami, ukazującymi naturalnie zaprojektowany ogród — rodzime trawy i krzewy, ciosana skała, rząd araukarii z czapami śniegu. Podjazd był wyłożony arizońskim granitem, a drzwi wejściowe zrobiono ze starego, poszarzałego drewna tekowego; miedziane okucia pokryła patyna. Na pukanie Dwóch Księżyców nikt nie odpowiedział. Detektyw nacisnął klamkę. Otwarte.

Jeszcze jedna, która nie zamykała frontowych drzwi, pomyślał Katz.

W tym wypadku to była zwykła głupota. Kobieta musiała podejrzewać swojego stukniętego byłego o zamordowanie Olafsona. Katz wyciągnął pistolet z ręcznie szytej kabury.

Tak samo Dwa Księżyce. Trzymając broń w obu dłoniach, Darrel zawołał Michael Weems po nazwisku.

Cisza.

Przez hol weszli do salonu. Nie było tam nikogo, ale paliło się światło.

Wysoki sufit wspierał się na pięknych krokwiach. W kącie stał obowiązkowy kominek kiva. Wnętrze zostało urządzone ze smakiem — stare, ciężkie meble, które dobrze znosiły suchy klimat, do tego trochę azjatyckich antyków, które czyniły wystrój przytulniejszym. Ładne,

skórzane kanapy. Wytarte, ale drogie na oko dywany.

Za cicho, cholera.

Na ścianach nie było żadnych obrazów, tylko goły gips — złamana biel z odcieniem bladego błękitu. Dziwne, pomyślał Dwa Księżyce. Ale jak to mówią? Szewc bez butów chodzi, jego dzieci też.

Ale skoro o tym mowa! Gdzie są dzieci?!

Serce Dwóch Księżyców zaczęło bić szybciej.

Może spały u znajomych. Dwa Księżyce miał ogromną nadzieję, że tak było.

Podwójne, przeszklone drzwi w głębi salonu prowadziły na zaciemiony *portal*. Stały tam meble ogrodowe i grill na kółkach, jak na każdym tarasie.

Kuchnia z drugiej strony była zagracona, jak w każdym domu.

Zdjęcia dzieci na kamiennym gzymsie.

Zdjęcia ze szkoły. Merry i Max, wesoło uśmiechnięci.

Gdzie do cholery są te bachory!

— Pani Weems! — wrzasnął Dwa Księżyce. Żołądek zaczął mu się nieprzyjemnie kurczyć. Myślał o własnych dzieciach. Spróbował odepchnąć tę myśl, ale im mocniej się starał, tym wyraźniej widział ich twarze. Jak w cholernych puzzlach.

Spokojnie, Darrel.

Usłyszał głos ojca.

Spokojnie.

To mu trochę pomogło. Zerknął na Katza, skinął głową w lewo, w

stronę łukowatego przejścia na korytarz.

Nie było innej drogi, jeśli nie chcieli zawracać. Katz pilnował pleców partnera.

Pierwsze drzwi po prawej należały do pokoju dziewczynki. Dwa Księżycy bał się tam zajrzeć, ale nie miał innego wyjścia. Skierował pistolet w podłogę, na wypadek, gdyby dziecko spało w swoim łóżku i nie słyszało ich wrzasków. Nie chciał, żeby doszło do jakiegoś nieszczęścia. Pusto.

Nie tak dobrze, jak śpiąca dziewczynka, ale znacznie lepiej niż trup dziewczynki.

Pokój był różowy, pełen falbanek i ładny, łóżko nieposłane. Na ścianie nad łóżkiem widniał wyklejony plastikowymi, samoprzylepnymi literami napis: Merry.

Następny był pokój Maksa. Też pusty. Stuprocentowo chłopięcy — wyglądał jak muzeum samochodzików i żołnierzyków.

Ostatni pokój był sypialnią dorosłych. Bielone ściany, łóżko na żelaznej ramie, samotna, sosnowa szafka nocna i nic więcej. Zwłok także nie było.

Gdzie ona jest?

Gdzie są dzieci?

— Pani Weems? — wrzasnął Katz. — Policja!

Nic.

Po prawej kolejne oszklone drzwi prowadziły na jeszcze jeden *portal*.

Dwa Księżycy głośno odetchnął. Katz podążył wzrokiem za jego

spojrzeniem, przez szybę.

Na zewnątrz, w rozżarzonej do białości snopie światła z reflektora, przy przenośnej sztaludze stała malująca kobieta. W ustach trzymała jeden pędzel, drugi w dłoni w welnianej rękawiczce. Patrzyła na płótno...

Oceniała je, badała. Za nią wznosiło się strome, ośnieżone zbocze wzgórza.

Ruszyła serią maźnięć, potem zatrzymała się, żeby jeszcze raz szybko ocenić swoje dzieło.

Katz i Dwa Księżyce patrzyli na tył sztalugi. Malarka zobaczyłaby ich jak na dłoni, gdyby spojrzała w ich stronę.

Nie spojrzała.

Michael Weems wyglądała na trzydzieści kilka lat, czyli przynajmniej piętnaście lat młodziej od męża. Miała wydatne kości policzkowe, wąskie wargi i ostry, cienki nos. Ładna figura, długie, smukłe nogi. Była ubrana w pikowaną, białą narciarską kurtkę i legginsy wpuszczone w traperskie buty. Siwiejące blond włosy związała z tyłu głowy i zaplotła w długi warkocz, przewieszony przez lewe ramię. Szyję owinęła czarną, postrzępioną chustą. Nie miała makijażu, ale na policzkach i brodzie miała plamy opalenizny. Dużo zmarszczek, więc wydawała się starsza niż w rzeczywistości.

Następna bawi się w Georgię O'Keeffe, pomyślał Katz.

Dwa Księżyce lekko postukał w szybę drzwi i Michael Weems w końcu uniosła wzrok znad sztalugi.

Krótkie zerknięcie, potem wróciła do malowania.

Detektywi wyszli na taras.

— Jesteście z policji — powiedziała, wyjmując pędzel z ust i kładąc go na stoliku obok. Stała tam puszka terpentyny, duży stos szmat i szklana paleta z kólkami farb.

— Mówi pani, jakby się nas spodziewała. Michael Weems uśmiechnęła się i zaczęła malować.

— Gdzie są dzieci, pani Weems? — spytał Dwa Księżycy.

— Bezpieczne.

Darrel poczuł, że kamień spada mu z serca.

— Bezpieczne? — spytał Katz. — To znaczy, że są ukryte przed pani byłym mężem?

Michael uśmiechnęła się tajemniczo.

— On jest w mieście, wie pani o tym? — zapytał Katz.

Malarka nie odpowiedziała.

— Znaleźliśmy cztery pani obrazy w jego pokoju w motelu.

Michael Weems przestała malować. Położyła pędzel na stole, obok stosu szmat. Zamknęła oczy.

— Niech was Bóg błogosławi — szepnęła.

— Niestety, proszę pani, wszystkie są zniszczone.

Weems gwałtownie otworzyła oczy. Ciemne oczy, odcinające się wyraźnie na tle jej jasnych włosów. Jastrzębie i bezlitosne.

— Niestety — powtórzyła. Zabrzmiało to jak kpina. Wbiła wzrok gdzieś za detektywów.

— Przykro mi, pani Weems — powiedział Katz.

— Doprawdy?

— Tak, proszę pani. Włożyła pani dużo pracy w te...

— To był diabeł — powiedziała Michael Weems.

— Kto?

Wskazała palcem za siebie, na zbocze. Łagodnie opadające zbocze, z czerwonymi głazami, araukariami, jałowcami i kaktusami.

Michael Weems odwróciła się, podeszła do skraju *portal* i spojrzała w dół.

Światło reflektora pozwoliło detektywom dostrzec płytki rów, biegnący równolegle do terenu posesji. Za mały, żeby nazwać go parowem, przypominał bardziej bruzdę, pełną żwiru, chwastów i kamieni.

Jakieś pięć metrów na prawo, trochę na ukos, leżało coś większego.

Ciało mężczyzny.

Na plecach, do góry brzuchem.

Olbrzymim brzuchem.

Otwarte usta Myrona Weemsa zastygły w wiecznym wyrazie zaskoczenia. Jedną rękę wyciągał nienaturalnie w bok, druga spoczywała wzdłuż grubego niczym pień drzewa uda.

Nawet w ciemnościach i z tej odległości Katz i Dwa Księżyce widzieli dziurę w jego czole.

Michael Weems wróciła do stolika i podniosła stos szmat. Pod spodem leżał rewolwer — chyba stary Smith & Wesson.

Kowbojska spluwa.

— Kryj mnie — szepnął Dwa Księżyce.

Katz kiwnął głową.

Darrel podszedł powoli do malarki, nie odrywając wzroku od jej rąk.

Nie wydawała się zaniepokojona, nawet kiedy podniósł broń i wysypał z bębenka pięć naboí.

Weems całą uwagę skupiła na swoim obrazie.

Z miejsca, w którym teraz stali, Katz i Dwa Księżyce mogli zobaczyć to, co malowała.

Merry i Maksa, stojących na skraju *portal*, oboje nagich. Dzieci patrzyły z mieszaniną grozy i rozkoszy — rozkoszy przebudzenia z dziecięcego koszmaru — na zwłoki ojca.

Michael Weems wycelowała pędzel w kółko czerwieni na palecie, poprawiła dziurę w czole.

Malowała z pamięci, nie oglądając się na prawdziwy obiekt.

Wyszło jej doskonale.

Naprawdę miała talent.

*

Specjalne podziękowania dla Michaela McGarrity 'ego, szefa policji

Santa Fe w Nowym Meksyku oraz dla sierżanta Jerry 'ego Trujillo

Powieści JONATHANA KELLERMANA w Wydawnictwie

Amber

ALBUM MORDERSTW BOMBA ZEGAROWA

CIAŁO 1 KREW

CICHA WSPÓLNICZKA

DIABELSKI WALC

DOKTOR ŚMIERĆ

KLINIKA

KLUB SPISKOWCÓW

NIEDOBRA MIŁOŚĆ

OCZY DO WYNAJĘCIA

PAJĘCZYNA

POKRĘTNY UMYSŁ

POTWÓR

SELEKCJA

TERAPIA

W OBRONIE WŁASNE)

Z ZIMNĄ KRWIĄ

oraz

FAYE & JONATHAN KELLERMAN

PODWÓJNE ZABÓJSTWO

Boston, Santa Fe